

16.  
MARCYAN KORDYSZ.

~~~~~  
POWIEŚĆ

JANA ZACHARYASIEWICZA.

---

*Wydanie nowe.*

---

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—  
1888.





92487

Дозволено Цензурою.  
Варшава, дня 3 Мая 1888 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krak.-Przedm. Nr. 66.

K-41/79/98 838

# I.

**W**ózek chłopski toczył się drogą leśną. Koła jego skrzypiały tak przeraźliwie wśród nocnej ciszy, że ptactwo leśne zrywało się z jodeł i sosen, i z wielkim krzykiem krążyło ponad lasem. Jazda na wozie podróżny nie słyszał tego wszystkiego. Owinięty ciemnym płaszczem, spał sobie smacznie, ruszając głowę to na prawo to na lewo.

W lesie było ciemno, jak w rogu. Wprawdzie świecił gdzieś tam na niebie księżyc w pełni, ale szerokie konary sosen i jodeł chwytaly jego światło, nie dopuszczając go do ziemi.

Po długim wreszcie wahaniu się to na prawo, to na lewo, zwiesił podróżny w tył głowę i począł właśnie na piękne chrapać, gdy wózek nagle w bok się zatoczył i tak gwałtownie o pień uderzył, że dwa okłoty słomy razem z podróżnym szerokim łukiem na ziemię wypadły.

Rzecz była widoczna, że konie czegoś się przelekły i w bok skoczyły. I w samej rzeczy tak było. Zaledwie bowiem podróżny oczy przetarł i w nowej swojej sytuacji rozpatrywać się zaczął, zobaczył tuż



nad sobą figurę tak dziwną, że trzy razy krzyżem świętym się przeżegnał, i tyleż razy splunął przed sobą, mówiąc w duchu: „Wszelki duch Pana Boga chwali!”

— Krzyż święty—rzekł nieznajomy—jest wypróbowane *arcanum* przeciw rzeczom nieczystym, a jam człowiek zwykły mości panie; jeżeli zaś mnie tu zastałeś w ciemnych krzakach, to już sprawa inna! Dowiesz się o tém później, lecz pierwej powiedz mi waszeć, czyś nie odniósł szwanku, bo wyleciałeś z wozu, jak kamień z procy.

Podróżny obmacał na prędce boki i nogi, a nie znalazłszy nigdzie szwanku, zwrócił się ku nieznajomemu i ciekawie począł mu się przyglądać, o ile tego ciemność nocy dozwalała.

W samej rzeczy, nieznajomy miał tak dziwny ubiór na sobie, że można się było w każdym czasie trzy razy przed nim przeżegnać, chociaż zdarzenie, które tu opowiadamy, zaszło przed trzydziestu laty.

Kilka promieni księżyca przekradło się pomiędzy konary sosny i oświeciło postać nieznajomego. Był to mężczyzna sześćdziesiąt-letni, chociaż twarz miał jeszcze mocno ożywioną i wyrazistą. Na głowie sterczała ogromna peruka, nakryta kapeluszem z olbrzymimi kresami. Najdziwniej wyglądał jego frak staroświecki, albo raczej surdut z podpiętymi połami, jakiegoś jasnego koloru, o błyszczących, metalowych guzikach. Kolnierz tego fraka sięgał wyżej uszu i wprost wskazywał modę, z czasów Dyrektoryatu francuzkiego, którą do Polski wniosła emigracja komatów i markizów. Biała chustka, grubo w około szyi owinięta, wypełniała należycie przestrzeń między tym

kolosalnym kolnierzem a szyją nieznajomego. Dodajmy do tego obcisłe aksamitne pantalone i tak zwane półbuty ze sztylpami, a w rękę dużą hiszpańską trzcinę ze świecą galką, a będziemy mieli całą postać nieznajomego, który nagle z ciemnych krzaków wyrósł, jakby zaklęta postać ubiegłego stulecia.

Widząc, że przestraszony podróżny już do syta na niego się napatrzył i nieco do siebie przyszedł, rzekł do niego nieznajomy:

— Najprzód powiedz mi waszeć, jak się nazywasz i kto jesteś?

— Nazywam się Stefan — odparł zdziwiony tém zapytaniem dwudziestoletni podróżny — i jestem biedny sierota, nie mam przy sobie żadnych znacznych pieniędzy, prócz pięciu dukatów, które mi dał opiekun...

— Hola! — zawołał nieznajomy, machając potężnie trzciną — hola! — złodziejem ani rabusiem nie jestem! Nie lękaj się o twoje dukaty, które zapewne są z Matką Bożką...

— Nie lękaj się o dukaty z Matką Bożką — powiedział dalej z uśmiechem nieznajomy, — ja tylko miałbym ochotę przysiąc się do ciebie na wózek.

— To proszę, już zładzony — podchwycił szybko podróżny, ucieszony ocaleniem pięciu dukatów.

— O nie, bratku! Poczekajno! — odparł flegmatycznie nieznajomy. — Widać, żeś młodziak! A czy to nie wiesz, co to znaczyło, gdy nasi ojcowie mówili: „On jedzie z nim na jednym wózku?”

— To jest...

— To jest, że trzeba wiedzieć, z kim się jedzie!

— Nie mam ojca, ani matki — odparł szybko podróżny — a opiekunem moim jest ksiądz proboszcz



z Dąbrowy. Przyszedłem do wioski przed ośmiu laty, a proboszcz wziął mię do siebie i dotąd chował. Wy-  
ręczałem niekiedy kościelnego, dzwoniłem i deptałem  
miechy organiście, gdy dziad kościelny, stary Marek,  
upił się, lub z jegomością pokłócił!

Nieznajomy odchrząknął kilka razy, zakreslił  
trzcina w powietrzu duże koło i rzekł:

— *Amice!* Jesteś *magnum zero!*... wielkie nie!  
Kolyszysz dzwony i depcesz miechy! A przecież jesteś  
stworzony na obraz boży! Rozumiesz bratku? Co!...  
Ale nie jest to jeszcze tak źle, jak sądzisz! Nie smuć  
się! Jeżeli dzwony kolyszysz i koło kościoła chodzisz,  
to chodzisz zawsze koło wielkiej rzeczy, wielkiej idei!...  
Kościół to wielka rzecz, bo nie ludzka—to największa  
idea!...

Podróżny znów wytrzeszczył oczy na niezna-  
mego, bo go nic a nic nie rozumiał. W jego oczach  
zakrawał w tej chwili na waryata. Ale w sam czas  
przypomniał sobie słowa opiekuna, który wysyłając  
go do miasta, wyraźnie mu powiedział, że tam będzie  
słyszał wiele, czego dotąd nie rozumie. A chociaż to  
wcale nie było miasto, ale las gęsty, mniemał jednak,  
że już do miasta zbliżać się musi, jeżeli spotyka ludzi,  
którzy niezrozumiale mówią. Tymczasem prawil nie-  
znajomy dalej:

— Kościół *amice*, to tak, jak największa wosko-  
wa świeca przed wielkim ołtarzem, a ty, bratku, to  
tak, jakby owa muszka mizerna, owa ćma ślepa, która  
w około zapalonej świecy krąży!... Tak, tak *amice*, czy  
to za powrót od dzwona ciągniesz, czy miechy depcesz,  
gdy stary Marek się upije, lub z jegomością pokłóci,  
to zawsze chodzisz koło wielkiej rzeczy, największej

w świecie idei... a więc mogę z tobą „na jednym  
wózku jechać.“

To rzekłszy, nieznajomy już jedną nogą na koło  
stał, nie czekając wcale przyzwolenia gospodarza,  
gdy nagle się zatrzymał i rzekł:

— Jeszcze o jedną rzecz się zapytam. Najwię-  
cej plugawi człowieka zarozumiałość. Jak ci się zda-  
je? Czy depcąc miechy, zamiast starego Marka, są-  
dzisz, że te ładne tony i melodye są twojem dziełem?

— Uchowaj Boże!—odparł szybko podróżny—ja  
tylko dmucham, a pan Obrumpalski przebiera palcami  
po klawiszach!

— Dobrze bratku, podobasz mi się! Bo są lu-  
dzie, którzy tylko miechy depcą, a im się zdaje, że ca-  
ła harmonia jest ich dziełem. A tu tymczasem kto  
inny, a najwięcej sam Pan Bóg palcami po klawiszach  
przebiera!

Podróżny znów się począł przyglądać mówiące-  
mu, bo trudno mu było, na miejscu Obrumpalskiego,  
organisty z Dąbrowy, wyobrazić sobie Pana Boga!

— Ale powiedz mi jeszcze bratku—zagadnął go  
znowu nieznajomy, czyli nie przyszła ci kiedy chętka,  
siedzieć tak sobie, jak pan Obrumpalski, przed orga-  
nami i palcami po klawiszach przebierać?

Podróżny przeżegnał się, bo już nie wiedział, co  
dalej myśleć o tym dziwnym człowieku. Nie tyl-  
ko wiedział o pięciu dukatach z Matką Bożką, ale na-  
wet czytał w najsłynniejszych jego zamysłach!...

— Kiedy tak—odrzekł po chwili— to cóż mam  
powiedzieć, kiedy w. pan wiesz już o wszystkim? Ja-  
dę do miasta, bo jegomość mój opiekun mówił mi, że  
tam ma być szkoła organistów. Chcę się nauczyć tej



sztuki, jaką posiada pan Obrumpalski. Bo to, jak zacznie przebierać, to aż się dusza raduje!...

— A więc organistą chcesz być... no to i dobrze. Chcesz z małej, ślepej muszki, która koło wielkiego światła krąży, stać się muszką brzęczącą... to dobrze. Masz na to od jegomości pięć dukatów z Matką Bozką... i to dobrze. Reszta, będzie to jakoś, mości Stefanie!

Po tych słowach wskoczył na wózek i utonął w słomie, aż po sam kołnierz. Stefan z trwogą zajął miejsce na drugim okłocie, a gdy wjechali znowu w las ciemny, kandydat muzyki uczył mimowoli jakiś dreszcz nieprzyjemny, który wychodził z pod czapki a kończył się, aż w bucie u wielkiego palca. W każdym razie widział przed sobą człowieka niezwykłego, który nie tylko wie, co jest w jego mieszkaniu, ale nawet i to, co po jego głowie się roi.

Po niejakiem milczeniu ozwał się nieznajomy:

— Więc powiedziałeś mi, bratku, kto jesteś, dokąd i po co jedziesz. Mnie jednak wcale nie pytasz!... Tak być powinno. Starzy ludzie, to książka otwarta i cała zapisana. Każdy może czytać... Mimo to, mógłbyś przecież zapytać: cóż do stu katów robisz waść po nocy w ciemnym lesie? No!...

— W samą rzecz... myślałem o tym—nieśmiało odpowiedział Stefan.

— Otóż słuchaj! Chciałem wiedzieć, jakie wrażenie robi nocna ciemność w lesie!

Stefan spojrzał przestraszony na amatora nocnych ciemności w lesie.

— Bo musisz bratku wiedzieć — ciągnął dalej — że ciemność nocna w lesie, to jest, jakby *vacuum* w na-

turze, jak twoje miechy bez powietrza, jak organy bez pana Obrumpalskiego!

Niebawiem wyjechali z lasu, a za chwil kilka stanął wózek na tak zwaną winną górę, z której spuszczała się droga wprost do miasta.

Księżyc świecił w pełni na niebie. Przecudny, czarowny widok otwierał się przed oczyma.

Na samym dole widać było białą wstęgę Sann. Wiła się pomiędzy ciemnymi zaroślami i ginęła na leśnym zakręcie. Po drugiej stronie brzegu migwały białe kamienice miasta we mgle wieczornej, a po za niemi piętrzyło się wysokie pasmo gór, na które dla odpoczynku nocnego pokładły się chmury i drzemały razem z miastem. Na prawo wystrzeliły aż pod niebiosa dwie baszty zamku starożytnego, i bezsennym okiem patrzyły na mieszkańców w dolinie. Została je tutaj przeszłość na straży, i odtąd stoją — jak straż zapomniana! W strzelnicach zamku gnieźdzą się sowy i puszczyki, i tylko księżyc czasami obleka je w złudną armaturę...

Obaj podróżni milczeli upojeni widokiem. Wreszcie zbliżyli się do wielkiego, krytego mostu, który podówczas prowadził przez San do miasta.

— *Halt! wer da!* — zawołał żołnierz, stojący na moście.

Towarzysz Stefana mruknął coś niezrozumiałego, czego się jednak Stefan przestraszył. Żołnierz



jednak kontentował się głosem ludzkim i pozwolił im wjechać do miasta. Przy końcu mostu rzekł nieznanomy do woźnicy:

— W rynek, na prawo—do Starego cyrkułu!

Stefan znał dobrze miasto, do którego wjeżdżali. Kilka lat przetulał się w nim w sieroctwie swoim. Dlatego wspomnienie „Starego cyrkułu“ zbudziło w nim przestroch niemały.

Na pozór była to kamienica wcale zwyczajna: długi jednopiętrowy budynek, podobny raczej do magazynu, niżeli do pomieszczeń ludzkich. Nazwa jego ztąd pochodziła, że dawnymi czasy mieścił się tam urząd cyrkularny; nie dalej bowiem sięgała tradycja miejska. Starsi jednak ludzie przypominali sobie, że w tych zabudowaniach był kiedyś klasztor, jeden z owych, które „filozof“ Józef II pozniósł dla szczęścia ludzkości i zasilenia skarbu austriackiego.

Pamięć owych czasów przypominała się pewnego razu żywo mieszkańcom miasta. Kiedy bowiem równano rynek i duże, darnią i zielonemi drzewami okryte miejsce przed owym długim budynkiem rozkopywano: trafiono na gęsty pokład trumien i kości ludzkich, które niegdyś na tym cmentarzu klasztornym, gwoli wiecznego odpoczynku, pochowane były. Ręka niwelatorów przerwała ich ciszą grobową. Kościół jednak dopełnił swego obowiązku. Zabrał kości strupieszale, na nowo pokropił wodą święconą, a składając je na nowym cmentarzu za miastem, prosił powtórnie Boga, aby im dał wieczne odpoczywanie!

Stała się nawet przy tej sposobności rzecz głośna w całym mieście. Niedaleko fundamentów owej długiej kamienicy znaleziono trumnę, której drzewo tak

było zdrowe, jakby dopiero wczoraj do ziemi była złożona. Starannie wydobyto ją na wierzch i z wielkiem zdziwieniem wyczytano na wieku rok śmierci nieboszczyka, wybity wyłaczanemi gwoździami. Trumna ta miała blisko sto lat... Zadziwienie jednak robotników było jeszcze większe, gdy trumnę otworzono i ujrzano leżącego w niej nieboszczyka, który według wszelkiego prawdopodobieństwa był daleko starszy od trumny swojej, a tak zdrowo wyglądał, jakby dopiero wczoraj z tym światem się pożegnał...

Mnóstwo ludzi zgromadziło się przed tak zwanym „Starym cyrkułem“, aby oglądać ów cud mniemany. I w samą rzecz trudno było pojąć, jakim sposobem mógł się nieboszczyk tak doskonale zakonserwować.

Był to mężczyzna, pięćdziesiąt lat z górą mający. Miał na sobie ciemnogrnatowy kontusz w sutych fałdach spływający mu aż do nóg. Fałdy te były nawet artystycznie ułożone. Nie mniej artystycznie związany był pas lity na żółtym, jedwabnym żupanie, grubo złotem przerabianym. Ręce miał na piersi w krzyż złożone i trzymał w nich mały krzyżyk, misternie z kości słoniowej wyrobiony. Twarz jego zachowała nawet kolor cielisty. Ocieniały ją wąsy i włosy długie, na pół siwe. Wyraz twarzy był spokojny; czoło znamionowało człowieka łagodnego.

Ludzie uczeni mozolili sobie głowy nad tym szczególnym zdarzeniem. Doszli wprawdzie do tego, że nieboszczyk zapewne dawniej spoczywał pod sklepieniami fundamentów kościoła i tam na przyszłe swoje losy dobrze się zakonserwował; lecz na pewno nic nie wiedziano. Po rozebraniu kościoła, snadź położono szlachcica obok innych plebejuszów w ziemi surowej,



z czego jednak mimo przesądów wieku, nie tak bardzo się gniewał, bo twarz miał pogodną, jakby był między swymi.

Tyle tylko doszli lub raczej nie doszli ludzie uczeni. Daléj, ani krok nie mogli postąpić. Jakim sposobem mógł szlachcic w żółtym żupanie oprzeć się prawom przyrodzonym? Dlaczego wszyscy towarzysze w proch się rozsypali, a on sam jeden na dużym cmentarzu pozostał, jak gospodarz, kiedy goście jego już się rozeszli? Dlaczego ta dziwna straż nie spotkała któregośkolwiek z jego sąsiadów? Dlaczego te złote lamy i to sukno holenderskie takie świeże, jakby je dopiero wczoraj łokciem odmierzano?... Na te pytania nie mogli odpowiedzieć ludzie uczeni. A trudnoż znowu było pójść za zdaniem niektórych pokątnych głosów, że nieboszczyk dla tego nie zgnął w ziemi, bo był, jak się zdaje, szlachcicem, a wszyscy jego sąsiedzi plebejuszami...

Nie tak długo mozolił się nad tém zdarzeniem lud prostaczek. Od razu wytłumaczył sobie to, czego medrey zrozumieć nie mogli.

— I co tu długo gadać!—zawołał trębacz z miejskiej wieży, gdy żona jego w obowiązku go wyręczyła — co tu gadać, dlaczego nieboszczyk w ziemi nie zgnął! Był poczciwym człowiekiem, jak mu to z twarzy widać, żył świętobliwiej od innych, bał się Pana Boga, a bliźnich kochał lepiej, niżeli ci wszyscy, którzy koło niego leżeli—i kwita! Dziś bogacze każą ciała swoje balsamować, wypychają je zagranicznymi ziołami, a przecież gniją! Furda sztuka doktorska, jeżeli ciało nieboszczyka nie nasiąkło za życia dobrymi uczynkami, jeżeli gnieździły się w niem złe myśli

i chciwe! Dobry, pocziwy żywot, to balsam najlepszy. Kto nim sobie trumnę wyściele, temu i wilgoć ziemi nie zaszkodzi i robak do niego się nie dostanie! A kto źle i bezbożnie żyje, tego i za życia robactwo roztoczy, jak to się stało z Herodem!

Lud słuchający uznał argumenta trębacza za bardzo naturalne. Ukłakł około szlachcica w żółtym żupanie i oddał mu cześć świątobliwego człowieka. Byli nawet tacy, którzy go wprost kanonizować chcieli, a nawet wymagano od duchowieństwa, aby mu dano jaki niepośledni dzień w kalendarzu gospodarskim. Duchowieństwo poszło drogą pośrednią. Czci „świętego“ nie przyznano szlachcicowi bo nawet nie wiadano, jak mu było na imię. Wniesiono go jednak z wielką uroczystością do kościoła OO. Franciszkanów, a po solennem nabożeństwie, zawieziono na cmentarz koło traktu lwowskiego i tam w osobnym grobie złożono.

Uspokoiła się tém opinia publiczna. Miejsce przed „Starym cyrkułem“ zrównano i wybrukowano rzecznymi kamieniami. Dzieci grały w piłki, jak dawniej na dawnym cmentarzu, i w dzień jako tako wyglądała ta część rynku. Ze zmrokiem jednak głuchło tam życie miejskie. Szerokie miejsce przed „Starym cyrkułem“ było puste, a w samym długim budynku błyszczały tylko światłem zaledwie dwa okna.

„Stary cyrkuł“ już przez sam swój rozkład klasztorny, nie miał nigdy wielu lokatorów. Długi, szeroki kurytarz nadawał mu coś tak ponurego, że każdy z niego uciekał na świeże powietrze. Toż izby tego budynku stały najczęściej próżne, albo zamieszkane były przez ubóstwo; zdarzenie jednak, które powyżej



opowiedzieliśmy tudzież odkrycie dawnego cmentarza, który cały dom ten otaczał, były powodem, że „Stary cyrkuł“ zupełnie stał się pustym, i w całym mieście do takiej przyszedł sławy, że nim niegrzeczne dzieci straszono!

Otóż teraz zrozumiemy przestrach biednego Stefana, gdy z ust zagadkowego jego towarzysza wyszły tak fatalne słowa:

— Na lewo! Do „Starego cyrkułu!“

## II.

**W**ózek nareszcie stanął przed długim posępnym budynkiem. Z wieży miejskiej uderzył dzwon dwa razy. Było pół do dziesiątej. Na rynku świeciły się tylko dwie latarnie, około głównej straży. Resztę ulic pozostawiono łaskawemu niebieskiemu oświetleniu. I nieźle wcale wypadła tej nocy oszczędna dyspozycja magistratu. Jasne światło księżyca oświecało dostatecznie nierówny bruk rynku, przyczém dopomagały mu także migocące na niebie gwiazdy. Wprawdzie ciasne, do góry wijące się uliczki nie najlepiej wychodziły na tej ryczałtowej dystrybucyi światła, ale mieszkańcy przyzwyczaili się jakoś do tych kaprysów nieba i magistratu, i równo ze zmierzchem kładli się do łózek, czekając bożego słońka.

Toż kiedy nasi podróżni stanęli przed „Starym cyrkułem“, była już w całym mieście taka cisza, jakby wszyscy wymarli. Na rynku było pusto, jak na cmentarzu, tylko cień chodzącego na straży żołnierza odbijał się posępnie o białe ściany kamienic. Rzadko gdzie błyszczało w oknie światełko. Zdawało się, że całe miasto zasnęło dzisiejszym snem sprawiedliwego.



Tém smutniejsze wrażenie zrobił na Stefanie „Stary cyrkuł.“ Ściany jego były blade, jak twarz nieboszczyka. Jeszcze straszniej wyglądał dzisiaj przy tém oświeceniu księżycowém. Tylko w dwóch skrajnych oknach błyszczały światła, które z daleka wyglądały, jak dwoje oczu konającego.

— Więc bratku, dobre za nadobne!—ozwał się jegomość w peruce, zsiadając z wozu:—przejechałem się na twoim wózku, za to prześpisz się na moim tapczanie! I tak noc późna, a w oberżach już ciemno. Do tego nie wiele masz do tracenia, bo pięć dukatów z Matką Bożką, to tyle, co pięć bez Matki Bożki! Złóż bratku i bierz manatki z sobą, a ja cię poprowadzę!

Stefan z przestachem spojrział na jegomościa z peruką i na niezmiernie dużą, otwartą bramę fatalnej kamienicy, która go właśnie żywcem pochłonąć miała. Wiele dałby za to w tej chwili, gdyby mógł się od jegomości w peruce i od tej czarnej bramy uwolnić. Przed peruką i bramą czuł jakąś obawę, której sobie nie mógł wytłumaczyć, bo przecież miał już lat dwadzieścia i z cmentarzami dosyć był obeznany. Bywało, w Dąbrowie, nieraz o samej północy przechodził popod cmentarz, a przecież żaden nieboszczyk nie przemówił do niego, choć wielu z nich znał doskonale. Tutaj niegdyś sami nieznani mu leżeli, a gdy ich kości za trakt lwowski wyniesiono, toż trudno przypuszczać, aby ich dusze wałęsały się jeszcze po tém miejscu!

Ale nie tylko „Stary cyrkuł“ budził w nim tę obawę. Jegomość w peruce zakrawał także coś strasznie na jednego z tych nieboszczyków, których ztamtąd na Lwowską ulicę przekwaterowano. Może on był

tym samym cudownym szlachcicem, który sto lat zdrów, jak ryba w ziemi leżał, i teraz tylko kontusz granatowy na ten frak markizowski zamienił, jak to wielu jemu równych czyniło! Może tylko jaki pilny, chwilowy sprawunek odwołał go z ulicy Lwowskiej, a nim kur o północy zapieje, jegomość i peruka jego rozleją się w maź cuchnącą, jak to bywa, kiedy nieboszczyk nie dotrzyma terminu, w którym miał napowrót do trumny zdążyć!...

Bądź co bądź, jegomość w peruce i fraku markizowskim nie był bardzo bezpiecznym towarzyszem dla człowieka, który spokojnie chciał się wyspać, aby nazajutrz dowiedzieć się coś o szkole dla organistów. A gdyby nawet był zupełnie zwyczajnym śmiertelnikiem, który jeszcze nie brał „ostatniego pomazania“ i w trumnie nigdy nie leżał, to przecież zagadką było nie lada, zkąd mógł wiedzieć o jego dukatach z Matką Bożką i o skrytych marzeniach jego przebierania palcami po klawiszach, jak to pan Obrumpalski z taką godnością czynić potrafił... W najlepszym razie mógł to być oszust jakiś, *recte* złodziej, albo rozbójnik, który w lesie na podróжных czatuje!... Ale trudna rada, bądź co bądź, mimo tak oczywistego niebezpieczeństwa, a jeszcze większego strachu, nie mógł Stefan znaleźć odwagi, aby najkrótszą linią na drugą stronę rynku uciec i z pazurów tego niegodziwego człowieka na zawsze się uwolnić. Czuł wyraźnie, że ten człowiek jakiś sznur niewidzialny zarzucił mu na szyję i ciągnął go, jak Murzyna za sobą! Byłby i w przepaść za nim skoczył, gdyby wśród przepaści obaczył podeszwy swego towarzysza. Westchnąwszy więc do Pana Boga i zawiąawszy na dwa węzłki skórzaną



kaletkę, wziął z woza manatki i wskoczył do czarnej, wiecznie otwartej bramy „Starego cyrkułu“

Najprzód przedsięwziął Stefan śledzić z uwagą wszystkie kroki i ruchy towarzysza, a przytém wziąć na oko całą miejscowość.

W sieni wyjął towarzysz jego flaszeczkę z fosforem i zapalił stoczek woskowy, który miał przy sobie. Tak przeszli kilkanaście schodów i zdążyli na piętro, na którym prawdopodobnie mieszkał gospodarz Stefana.

Kurytarz, na który z kolei weszli, zrobił na nim dziwne wrażenie. Był długi i szeroki, jak ulica stołecznego miasta. Końca jego nie można było dojrzeć, tylko błędne jakieś linie framug i sklepienia niknęły w dziwnej, potwornej perspektywie!... A do tego na ścianach cóż to za straszne były tam rzeczy! Biednemu Stefanowi stanęły włosy na głowie! Zamknął oczy, aby już nie patrzeć, ale to wszystko nic nie pomogło! Widział przez zamknięte powieki, a to było jeszcze daleko straszniejsze!... Cały długi kurytarz zaludnił się nagle dziwnymi mieszkańcami! Ciasno mu było i lękał się, aby którego z nich nie potracić. Otworzył więc oczy i uznał za stosowne, iść dalej z otwartemi oczyma.

A cóż to za dziwne rzeczy widział teraz przy bladym świetle stoczka?

Mury te, jak wyżej powiedziano, stanowiły niegdyś pobożny przybytek mnichów. Wszystko więc, co ich otaczało, musiało się przyczyniać do kontem-

placy ascetycznej. Toż wszystkie ściany pokryte były malowidłami, które wyobrażały bądź sceny z Piśma Świętego, bądź stanowiły obfity materiał martyrologii chrześcijańskiej. Przytém korzystał artysta zakonny z najrozmaitszych linii architektonicznych, aby stosownie do efektu i perspektywy poumieszczać płody ekscentrycznej wyobraźni swojej. Wprawdzie później zabielono te malowidła wapnem, a świeccy tych murów mieszkańcy pozbyli się na czas niejaki widoków ascetycznych, aby tём swobodniej darów bożych używać. Mimo to przypominało im się pierwotne przeznaczenie tych murów w sposób okropny!...

Powracający późną nocą lokator obaczył nagle po nad swemi drzwiami wystającą z pod wapna olbrzymią rękę z dyscypliną, która niegdyś biczowanie jakiegoś męczennika wyobrażała, a dzisiaj, gdy wapno wieczorem odpadło, zawisła niespodzianie nad głową przestraszonego mieszkańca!... Tam we framudze wystąpił o zmroku z poza wapna tułów bez głowy, a tuż na przeciwniej stronie leżała w kałuży krwi głowa odcięta!... Na wysokiem sklepieniu wystawił szatan apokaliptyczne rogi, oraz język dyszący siarką i płomieniem... a był tём straszniejszy dla wszystkich terminatorów ślusarza, że nie było jeszcze z pod wapna widać ani łańcucha, ani miecza św. Michała, którym go trzymał w należytej subordynacji!... A ileż to trupich głów, niby plam wilgotnych, występowało codziennie z pod wapna!... całe szeregi szkieletów stanęły w końcu kurytarza i zdawały się czekać na nieszczęśliwych lokatorów „Starego cyrkułu!...”

Za każdym krokiem występowała tu przeszłość w ułamkach, i tём potworniejsze robiła wrażenie, że



nigdy całego nie odsłoniła obrazu, tylko zostawiała wolne wodze wyobraźni.

Toż w mózgu biednego Stefana działały się dziwne rzeczy. Ani we śnie, ani na jawie nie widział nigdy czegoś podobnego. Wszak często bywało, że jegomość ksiądz proboszcz posyłał go do kościoła wieczorem. Ale tam znał już wszystkie figury, zacząwszy od św. Piotra z kluczami, aż do Szymona Judy, z ciemną, na piersi wgniecioną brodą! I widział wszędzie obraz cały, zacząwszy od łysiny aż do sandałów na nogach. A tu same ułamki! Nogi bez głowy, głowy bez ramion, szatan puszczonej samopas, bez łańcucha na szyi!... A to trupie wojsko, stojące w końcu kurytarza!... Gdy do tego jeszcze spojrzał na swego przewodnika, na jego frak markizowski, perukę i sztylpy, a osobiwie na tę twarz pełną i wyrazistą, na tę trzcinę hiszpańską... biedny Stefan omal ducha Bogu nie oddał!

Odmawiając w duchu: „Kto się w opiekę...” kroczył zwolna za gospodarzem, czekając kiedy ten rozleje się w siarkę i maż cuchnącą, a z podłogi wybuchną płomienie i pochłona go!... Szedł ze spuszczonej w ziemię oczyma, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo.

Jegomość w peruce szedł śmiało, a nawet uśmiechnął się do dyabła na pułapie, jakby dobrego znajomego pozdrowił. I tak mu jakoś miło było na tym kurytarzu, jakby był między swymi. Do śmierci, stojąc z kosą we framudze, kiwnął głową, a na tułów, z którego krew buchała do góry, spojrzał długim, sympatycznym wzrokiem. Do każdej trupięj główki uśmiechnął się, jakby ją witał po długim niewidzeniu!...

Zachowanie się to poufałe gospodarza z ukazu-

jącymi się z po za wapna. ośmieliło także i Stefana. Powoli podnosił oczy z podłogi na ścianę i z mniejszą już trwogą przypatrywał się uwiązaniu do drzewa św. Sebastjana, w którego ciele mnóstwo strzał sterczało... Wtém jegomość w peruce nagle zatrzymał się przede drzwiami, na których napisane było:

„Marcin Szot, chirurg egzaminowany.“

Biednemu Stefankowi spadł jeden kamień z serca. Wiedział już, że zagadkowy gospodarz jego jest zwykłym człowiekiem, a tylko o wiele mędrszym od niego, bo go często nie rozumiał. Mimo to nie mógł jakoś swobodnie oddychać. Cała atmosfera tego „Starego cyrkułu“ była duszną.

Weszli do izby.

Był to duży czworobok o dwóch oknach i szczególnie umeblowany. Około ścian stały czarne, zaszlcone szafy, w których mnóstwo było kości trupich. Czaszki, piszczele, żebra, łby jakichś zwierząt, wszystko leżało w malowniczym nieporządku. A w każdym kącie stał wspaniały, pięknie wypolerowany szkielet!

Stefanek uczył mrowie w pacierzu, ale odwrotu już nie było. Eskulap zamknął drzwi na dwa spusty i klucz schował do kieszeni.

— No, teraz bratku—rzekł, zapaliwszy świecę—zostawię cię w tém wyborném towarzystwie na czas krótki.

Rzekłszy to, pocisnął klamkę u drzwi przeciwnych i zniknął z oczu. Stefanek klapnął zębami, a włosy zjeżyły mu się do góry. Chcąc się czémś prędko



zatrudnić, aby wyobraźni nie dać folgi, zestawił dwa stołki razem, na których potem położył swoje manatki. Skończywszy tę robotę, począł liczyć deski w podłodze, a gdy i z temi się uporał, liczył gwoździe czyli raczej drewniane kołki, potem szyby w oknach, nareszcie zaczął w głowie wyrabiać różne zadania algebracyjne, odmówił całą ministranturę i już poczynął się pocić na całym ciele, gdy drzwi znowu się otworzyły, a eskulap wyszedł do niego uśmiechnięty w humorze różowym. Za kołnierzem eskulapa ciągnęła się jakaś woń, znana Stefankowi, która przekonała go, że gospodarz jego nie tylko z nieboszczykami mieszka.

— A co? spocileś się widzę!—rzekł z uśmiechem eskulap.—Nie to, nie. To nauka i umiejętność. Jedni ludzie używają życia, i nie wiedzą, co tam jest w głębi, a inni muszą iść aż na dno! Patrz, te szafy, te kości, to wszystko—dno życia!

Stefanek poskrobał się w głowę i pociągnął długim haustem woń kwaskowatą, wychodzącą z drugiej izby. Nieubłagany eskulap mówił dalej:

— Patrz, ten pyszny szkielet w kącie! to sławny opryszek. Nazabijał on się niemało ludzi, a za to wszystko popsuto mu tylko dwa kręgi w karku—*alias* powieszono go. Patrz!

Tu podniósł rękę Stefanka do góry i kazał mu obmacać kark szkieletu. Stefanek schował prędko rękę do kieszeni.

— A tamten niski, krępy kościotrup—to żołnierz z pułku siedmiogrodzkiego, podobno Sas *alias* Niemiec. Pięciu ich napadło w nocy Żyda na Szajbówce.

Wszystkich powieszono, jeden egzemplarz dostał się do mego gabinetu.

— A te trupie główki tam w szafie?—zapytał Stefanek, chcąc jak najprędzej odejść od wisielców.

— Te trupie główki... to czaszki obłąkanych, *alias* waryatów!

— Waryatów! — krzyknął Stefanek, uciekłszy z deszczu pod rynnę.

— Tak jest waryatów, czyli obłąkanych!—patecznie zawołał eskulap, i z dumą spojrzął na szereg pysznych egzemplarzy.

Po chwili uroczystego milczenia ozwał się smutno do Stefanka:

— Widzę, że jesteś jednym z gminu, który o waryatach ma, jak najgorsze wyobrażenie. Myślą, że to wyrzutek, że to śmiecie społeczeństwa. A to są ludzie najszlachetniejsi, najlepsi!... Gdybyś znał historią waryata, tobyś sam przyznał, że on dla tego zwaryował, iż nie mógł wyrzec się raz powziętej myśli lub uczucia szlachetnego, których to rzeczy świat zwykły tak łatwo się wyrzeka, jeżeli mu one zawadzają w egoistycznych celach jego!...

Tu spoczął eskulap chwil kilka, a twarz jego przybrała tak piękny wyraz, że Stefanek w tej chwili cały przylgnął do niego. Utopił w tę twarz duże siwe oczy, i rzekł w duchu do siebie:

— Ten człowiek musi być wielkiej poczciwości, widzę, że go tak kochać mogę, jak mego opiekuna z Dąbrowy.

Kilka chwil stał eskulap w jakimś dziwnym, bolesnym rozdrażnieniu. W pełnych jego oczach zaświe-



ciło coś, jakby dwie łzy. Prędko jednak cofnął je napowrót, a przystępując do szafki, rzekł:

— Ta czaszka pierwsza z rzędu, to najlepszy mój dawny przyjaciel. Chodziliśmy razem do szkoły. Był biedny i żywił się pomiędzy nami. Razu pewnego zachorował. Bogaty kolega wziął go w dom swój i otoczył wszelkimi wygodami. Wyzdrowiawszy, powrócił do swego ubóstwa, bo nie mógł znieść téj myśli, aby był komuś ciężarem. Ale odtąd ciążyło mu na duszy, że jako biedny, nie może się niczém swemu dobrodziejowi odpłacić! I ta myśl stawała się coraz cięższą, coraz okropniejszą. Wpadał w dziwaczne pomysły. Chciał być u niego sługą, lokajem, furmanem, prosił, błagał ze łzami, żeby mu dał jakiś sposób okazania się wdzięcznym za doznane dobrodziejstwa, bo ten dług pali go w duszy, jak rozżarzone żelazo!... I cóż się stało? Oto pewnego dnia przekonano się, że go rozum odstąpił! Wychodził na rynek i dał się najmować do najniższej roboty, za co jednak nigdy zapłaty wziąć nie chciał, utrzymując, że odrabia dług, zaciągniiony podczas choroby swojej!... Biedny Skotnicki!... Umarł w szpitalu!... Umarł, bo nie mógł dług wdzięczności spłacić, a iluz to dzisiaj zapomina o doznanych dobrodziejstwach!... I cóż ty o tym wariacie sądzisz, bratku?

Stefanek na to nic nie odpowiedział. W duchu myślał o opiece swojem z Dąbrowy. Eskulap nie czekał jego odpowiedzi, bo zapytanie było u niego prawdopodobnie figurą mówienia. Wziąwszy drugą czaszkę do ręki, rzekł:

— Była to niegdyś najpiękniejsza kobieta w świecie! Znałem ją doskonale, a nawet tańczyłem z nią

gawota u św. pamięci starościca Buczackiego. Pewnego razu przybłąkał się jakiś markiz, których pełno podówczas było w kraju naszym. Umiał grać na wszystkich instrumentach, i tak tém graniem rozkołysał serduszko panny Zofii, że poprzysięgła mu wieczną miłość, a on jęj nawzajem poprzysiągł, że się z nią ożeni, tylko z Francyi powróci, dokąd go uregulowanie majątkowych stosunków powoływało. Biedna Zofia! tak wierzyła téj przysiędze, że czekała lat dwadzieścia—napróżno! To ustawiczne nasłuchiwanie we dnie i w nocy, czy nie jedzie—osłabiło cały jęj system nerwowy i spowodowało obłąkanie! Do końca życia siedziała w oknie i czekała narzeczonego!... Dzisiaj pozbywamy się w lot przysięg i przyrzeczeń, jeżeli się zjawi konkurent bogatszy, albo panna z większym posagiem!...

— Ja, gdybym raz pokochał!—zawołał Stefanek z zapalem, i zarumienił się cały, jak alķermes, bo w téj chwili otworzyły się drzwi przeciwległe i na progu pojawiła się dziewczynka o jasnych włosach:

I ona zarumieniła się, ujrzawszy Stefanka, i uciekła co żywo, zostawiwszy drzwi otworem.

Wrażenie, jakie na Stefanku zrobiła, było tak dziwne, tak niespodziewane, że dopiero po kilku chwilach mógł sobie napowrót jęj obraz przed oczyma postawić.

Mogła mieć około lat szesnastu. Jasne włosy w długich lokach osłaniały jęj białe czoło. Była wiotka, jak trzcina na stawie w Dąbrowie, a w ustach na pół otwartych trzymała jakieś słówko tak słodkie i przyjemne! Biedny Stefanek nie mógł odzalaować, że



tego słówka nie słyszał. Wróciło ono razem z nią w głąb izby tajemniczej.

Eskulap nie zważał na to wszystko. Pojawienie się dziewczynki we drzwiach było tylko dla niego jakimś znakiem. Zasuważąc więc szafę, wskazał na ostatnią próżną miseczkę i rzekł:

— A tu zrobiłem już miejsce dla ojca Paulinki, którą teraz widziałeś.

— Paulinki! — powtórzył uderzony Stefanek i zdawało mu się, że słyszy najpiękniejszą melodyą pana Obrumpalskiego!...

— Biedny, pocziwy Kordysz! — mruknął pod nosem eskulap, a wzięwszy świecę do ręki, wyszedł do drugiej izby, prowadząc za sobą oszołomionego Stefanka.

### III.

W izbie nie było nikogo. Daremnie wodził Stefanek oczyma po wszystkich kątach, badał szczególnie wszystkie sprzęty. Paulinki nigdzie nie było. Między dwoma oknami stała duża, starożytna sofa. W jednym kącie przypierał do muru klawikord i uśmiechał się do Stefanka białymi zębami. I nie wiedzieć, czy w tej chwili wołał Stefanek, czy Paulinkę z jasnemi oczyma, czy ten klawicybale o zębach słoniowych!... Oczy jego zaiskrzyły się na widok instrumentu, z którym wiązały się najskrytsze jego marzenia. I byłby może długo, długo marzył to o Paulinie, to o klawikordzie, gdyby gospodarz nie był go pociągnął za rękę i nie wskazał na duży stół przed sobą, na którym dymila się miska odgrzanego bigosu.

Znana z Dąbrowy woń silnie zajęła niezajęty dotąd zmysł Stefanka, a widząc, że gospodarz zabiera się żwawo do misy, poszedł za jego przykładem, zostawiając Paulinkę i klawikord późniejszym dumaniom.

— Tnij bratku — ozwał się eskulap — bo to bigos podług recepty zeszłego stulecia. Moja matka



była mistrzynią w tym względzie, a św. pamięci staroście Buczacki nigdy innego bigosu nie jadał.

Stefanek nie dał sobie dwa razy mówić, a chociaż wrażenia, jakich tego wieczora doznał, były dosyć wyjątkowe, kwaskowata woń bigosu, tak jakoś dziwnie wpłynęła na niego, że wszystkie obrazy na kurytarzu, czaszki waryatów, a nawet Paulinka i klawikord wydały mu się, jakby sen jaki męczący, po którym obudził go wzmacniający bigos.

Dobre więc pół godziny przeminęło, nim w umyśle Stefanka mogły znowu odżyć najnowsze wrażenia. Gdy dojadał ostatniego kawałka chleba, przyszedł mu nagle przed oczy szatan z rogami, a za nim ręka z dyscypliną i tułów bez głowy. Napiwszy się wody, zobaczył między sobą a próżną misą kilka szkieletów i czaszki leżące w szafie. A gdy usta obtarł i krzesło od stołu odsunął, pojawiła się przed jego duszą mglista postać Paulinki, klawikord zaś wyszczerzył białe zęby i śmiał się z niego, aż cała izba z nim chodziła.

Gospodarz przyrzadził sobie tymczasem fajkę, a usiadłszy na sofie, począł się otaczać coraz większemi kłębami dymu. Po chwili skinął na Stefanka, aby usiadł, a wypuściwszy kilka potężnych kłębow dymu, rzekł do niego:

— No, bratku, kiedy ciało zaspokoiliśmy, wróćmy w krainę duszy. Dusza potrzebuje także pokarmu. Kto ciało i duszę należycie karmi, ten jest zdrow. Zaniedbanie jednego lub drugiego sprowadza chorobę. Tylko zwierz nie myśli o pokarmie dla duszy... I tak na przykład; powiedz mi bratku, czém też karmisz swą duszę?

— Ja... ja... ja nie wiem—odparł zakłopotany Stefanek i zarumienił się zlekka.

— Widzę, że twoja dusza jest, jak brzoskwinia z pyłkiem jesiennym. Nikt tego pyłku jeszcze nie stał, a lekkie trącenie słowem wywołuje rumieniec na twoje lica. Jest to najpiękniejszy czas w życiu. Uważaj tylko, aby ci burze światowe tego pyłku nie strąciły, a kto się go dotknie i na nim ślady zostawi, tego trzymaj i nie puszczaj od siebie!...

Rzekłszy to, odłożył fajkę, a głowę w tył zarzucił i oparł o poręcz sofy. Siedział tak czas niejaki, a twarz jego nabierała coraz piękniejszego wyrazu. W końcu zaczęła promieniść szczęściem i tajemniczym jakimś zadowoleniem. Wreszcie otworzył usta i pięknym, dźwięcznym głosem zanucił:

Ona rzekła: „Nawet w grobie,  
Kocham ciebie, wierna tobie“—  
Ona wierną i wzajemną,  
Zawsze przy mnie, zawsze zemną!...

Ostatni wiersz powtórzył kilka razy, coraz słabiej, coraz ciszej, wreszcie zdawało się, że tylko szepce. A w oczach jego było jakieś natchnienie, zachwycenie. Ze starca stał się nagle młodym człowiekiem!

Patrząc na tę dziwną przemianę, nie mógł Stefanek tego wszystkiego dobrze pojąć. Słyszał słowa piękne, przyjemne, ale myśli nie rozumiał. Śpiewka zaimprovizowana obudziła w nim wprawdzie jakąś myśl, jakieś marzenie, ale to wszystko było tak mgliste, tak niejasne, że nie umiał sobie z tego zdać sprawy.

Eskulap ocknął się i wziął napowrót fajkę do ręki.



ki. Twarz jego promieniła się jeszcze. Widać było, że jest szczęśliwy.

— Więc nie masz jeszcze pokarmu dla duszy?— rzekł po chwili do Stefanka.—Nie obawiaj się, wszystko z czasem nastąpi. Dotąd marzysz tylko o tém, jak pan Obrumpalski palcami po klawiszach przebierał. A gdy to sam potrafiś, gdy pod twemi palcami zaczną odzywać się struny lub piszczalki, toś nauczył się dopiero abecadła. Czytać i rozumieć te struny, to znowu rzecz inna, rzecz dłuższej i mozolnej nauki! A gdy w końcu poznasz, że te struny to nie dźwięk metalu, ale głos duszy — wtedy będziesz mistrzem!... Twój Obrumpalski zapewne mistrzem nie jest. On tylko palcami przebierał

— A jakże to zostać mistrzem?—zapytał nieśmiało Stefank.

— Trzeba uczuć największą radość i największą boleść na ziemi!

Rzekłszy to, posmutniał trochę eskulap, a zwiśszy głowę, dodał:

— I ja wzbiłbym się może wyżej, gdybym był... mniej szczęśliwym!

Dziwnemi wydały się Stefankowi te słowa gospodarza. Jakże to można narzekać na swoje szczęście? Pierwszego człowiek poznał w życiu, który sam siebie nazywał zanadto szczęśliwym! I jakby błyskawica mignęła mu w tej chwili, owa próżna miseczka przed oczyma, którą eskulap przeznaczył na czaszkę ojca Paulinkil...

Eskulap mówił dalej:

— Bolesne ciosy tém są dla duszy, czém dla win-

nój macicy nóż ogrodnika!... Czy Obrumpalski zawsze gra jednak?

Zapytanie to obudziło w głowie Stefanka jakieś wspomnienie. Błada twarz jego ożywiła się.

— To prawda,—odrzekł — Obrumpalski na pogrzebie żony swojej tak przecudownie grał na organach, a takim głosem *Requiem* wyciągał, że aż wszyscy ludzie łzy mieli w oczach!... Był to właśnie ten sam dzień, w którym memu opiekunowi do nóg upadłem, i opowiedziałem mu, że chcę być organistą!...

Eskulap zerwał się szybko z sofy, i począł szerokimi krokami chodzić po izbie.

— Widzisz bratku—mówił do Stefana— widzisz co to jest potęga uczucia! Potęga serca, potęga silnej duszy! Ona wiąże łańcuchem świat cały i podbija go. Napróżno zimni ludzie wystawiają cyfry i powiadają: „To potęga!“ Cyfry to kolumny wojsk—ale generałem potęga ducha, uczucie, idea!...

Stefanek wrócił w duchu do Obrumpalskiego, bo słów eskulapa wcale nie rozumiał. Tymczasem uspokoił się eskulap, a wzięwszy Stefanka za rękę, przysunął go z krzesłem bliżej do sofki i rzekł:

— Mój bratku, sprawiasz mi wielką radość. Ze szczerotą wymawiasz rzeczy, nad którymi mędrzec głowę sobie suszy. Słuchaj! mistrz, który z prawdziwem uczuciem gra, maluje lub pisze, panuje nad sercami całego świata. Obrumpalski grał z głębi duszy, toż wszyscy płakali, a ty w tej chwili powziąłeś myśl zostać organistą. Tyś miał najwrażliwszą duszę, nad tobą odniósł organista tryumf największy, a wiesz dla czego?... bo jesteś sierotą, boś wiele cierpiał, wiele płakał!...



Stefankowi stanęły łzy w oczach. Zdawało mu się, że eskulap wziął go wprost za serce i ciągnął ku sobie. Byłby mu się w tej chwili rzucił na szyję, albo przynajmniej do nóg upadł, gdyby miał więcej odwagi. Przed godziną wydawał mu się ten człowiek, jakby złowrogi czarnoksiężnik jaki, który sztuką kuglarską wiedział, co ma w kaletce, w głowie i w sercu ukrytego, a teraz widział w nim pocziwego spowiednika w konfesjonale, który potęgą miłości daną mu od Boga, odgaduje grzechy i czyta w sercu. Spojrzał więc na niego tak szczerze i otwarcie, jakby mu całą duszę i całe serce chciał otworzyć...

— Słowa pańskie—rzekł po chwili—są dla mnie tak słodkie, jak słowa mego opiekuna. Słuchałbym dzień i noc, tak jak nieraz słuchałem melodj Obrumpalskiego, które na klawikordzie długo wygrywał po śmierci żony...

Eskulap uśmiechnął się, zatarł ręce i rzekł:

— Wybornie, nie omyliłem się na tobie! Widzę, że i ty potrzebujesz pokarmu duszy. Otóż wiele mamy z sobą do mówienia. A długo już nic do nikogo nie mówiłem. Ze starym Kordyszem już prawie mówić nie można!

Przy wspomnieniu Kordysza, przyszła Stefankowi znowu na myśl Paulinka z owym tajemniczym słowem na ustach różowych. Obejrzał się na wszystkie cztery strony, ale prócz klawikordu, kilku krzeseł i dużego pieca w kącie, nic w izbie nie widział. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, jakim sposobem mogła ta tajemnicza dziewczyna zniknąć z tej izby? Właśnie szukał po głowie jakiego konceptu, aby za-

pytać eskulapa o tajemniczą Paulinkę, kiedy ten mu przerwał:

— Najprzód powiedz mi, mój bratku, jakie najprzyjemniejsze wrażenie odniosłeś w życiu?

Zagadnięty znienacka Stefanek oderwał się od Paulinki, zaczął szukać po głowie tędy i owędy, ale na zapytanie eskulapa nie mógł zadawalająco odpowiedzieć. Wybąknął coś o swoim opiekunie, gdy go raz w czoło pocałował, to znowu coś o Obrumpalskim, który grał *Requiem* na pogrzebie żony, to miał już na języku owe pięć dukatów z Matką Bozką... ale w końcu zaciął się, i już ani słowa więcej nie mógł wydobyć.

Eskulap słuchał go z uwagą. Widząc jednak, że Stefanek w uporczywe zapadł milczenie, namyslał się chwil kilka. Twarz jego poczęła się ożywiać, i przybrała wyraz nieokreślonego uczucia szczęścia. Przysunawszy się do Stefanka, wziął go za rękę i zapytał głosem słodkim:

— Czyś ukochał kogo?

Stefanek znowu zaczął coś mówić to o proboszczu z Dąbrowy, to o organiście, zrobił nawet jakąś aluzją do eskulapa, i jeszcze czegoś po głowie szukał, kiedy eskulap nagle mu przerwał:

— Nie o to, bratku, pytałem ciebie. Chciałem wiedzieć, czy nie uderzyło cię co tak gwałtownie, że całą twoją istotę zajęło, że ci stało przed oczyma dzień i noc, że wszędzie i zawsze widziałeś tuż obok siebie...

— Kogo? — zapytał przestraszony Stefanek, i obejrzał się po wszystkich kątach izby, bo zdawało mu się, że obok niego musi być ta dziewczynka jasnowłosa, z tajemniczym słówkiem na ustach...



— Kogo? pytasz się... kobiety!—odparł eskulap i wlepił oczy w Stefanka.

Stefanek nagle zarumienił się, jakby go na gorącym uczynku schwytano.

— A widzisz, bratku, złapałem cię. Mów, mów bez ogródki, twoja dusza brzydzi się kłamstwem.

Mówiąc to, wpatrywał się ciągle w twarz Stefanka. Stefanek spuścił oczy i długo wodził niemi po ziemi. Zapytanie eskulapa wydało mu się dziwnem. Ale rady na to nie było. Musiał prawdę powiedzieć, choć go to trochę bolało, bo tego jeszcze przed nikim, nawet przed samym sobą głośno nie wymówił. A zresztą to był tylko sen jakiś, a jakże to opisać, jak sen wyglądał! Czy kto opisał kiedy dobrze sny swoje?... Czy kontent był z opowiedzenia tego, co mu się tak uroczo śniło?...

Długo myślał Stefanek, a twarz jego zaczęła się coraz więcej rumienić. Czuł, że mu pulsa na skroniach gwałtownie biją, że w sercu jego odbywa się jakaś dziwna rewolucja. Tak go nikt jeszcze w życiu nie pytał, tak jeszcze nikomu nie odpowiadał... Zwiesiwszy więc głowę na piersi, jak grzesznik przed konfesyonałem, ozwał się cichym głosem:

— Ja tak mało znam świata!

— Wiem o tém, i dla tego właśnie pytam. Każdy robaczek ma swoją przestrzeń, w której znajduje się to wszystko, czego inni po szerokim świecie szukać muszą.

— Opiekun mój — zaczął po chwili Stefanek — mówił nieraz, że ten świat jest tak wielki, szeroki... że na nim jest tyle rzeczy, o jakich ja jeszcze nie mam wyobrażenia... są ludzie, jakich nie widziałem...

— To wszystko leży poza tobą—wpadł eskulap —a ja pytam o to, co ciebie w twoim małym światku dosięgło?

Stefanek czuł w żyłach krew coraz gorętszą, coraz silniej biły pulsa na jego skroniach. Przed oczyma duszy roztoczył mu się jakiś nowy świat, a gdy się weń wpatrzył, poznał pleban swego opiekuna, kościółek, organistówkę i jeszcze coś... coś niewyraźnego, mglistego, białego... Była to okolica dobrze mu znana, tylko oświecona jakimś innem światłem!

Potań ręką gorące czoło i rzekł:

— Coś mi pełno w duszy, ale wymówić tego nie mogę. Staje mi przed oczyma wszystko, com cierpiał i co mnie cieszyło, a nawet to, o czém marzyłem w długich nocach. Ale to wszystko jest takie małe, takie zwyczajne!...

— Między małym znajdzie się wielkie, tylko wszystko opowiedz!

— Świat mój był mały, bardzo mały. Com cierpiał, jako sierota, o tém prawie już zapomniałem. Bywało, że śpiąc pod gołym niebem, na zmarzłej ziemi płakałem bardzo gorzko, a jeszcze bardziej płakałem, gdy mnie ludzie nielitościwi za próg wypychali!... Ale to było już bardzo dawno. Byłem jeszcze dzieckiem. A już wiele lat temu, gdy mnie wziął proboszcz z plebanii do swego domu. Odtąd byłem szczęśliwy. Kościółek w Dąbrowie leży za wsią na pagórku. Koło kościółka plebanja z białym kominem i organistówka pod strzechą. Oto cały mój świat!

Po chwili milczenia mówił dalej:

— Z razu bawiły mnie trawki i kamyczki, potem szukałem robaczków, jakich jeszcze nie znałem. Do



kościółka chodziło mnóstwo ludzi, ale tych prawie nie widziałem, bo albo byłem na chórze przy miechach, albo służąc do mszy, patrzałem tylko na księdza albo na wielki ołtarz. Na plebanii była tylko stara Małgorzata, a żona organisty od wielu lat leżała chora. Ale raz, pamiętam... było to tak przed rokiem...

Tu utknął opowiadający i milczał czas niejaki. Po chwili zaczął znowu:

— Muszę jeszcze panu powiedzieć, że w Dąbrowie jest dwór duży, biały, a z pagórka naszego dobrze go widać. W koło niego są wielkie i gęste drzewa, przesłiczne ulice i altany. Mieszka tam stary dziedzic, który nie ma, ani żony, ani dzieci. Smutno tam i prawie pusto. Przechodząc koło tego dworu i cieniatego ogrodu, nieraz aż strach mnie zbierał. Ale razu pewnego...

— Śmiało, śmiało bratku!—wtrącił rozciekawiony eskulap.

— Razu pewnego, wyszedłszy na pagórek za plebanią, z kąda był najlepszy widok na cały ogród dworski, obaczyłem nagle... w altanie...

— W altanie?

— Była bielutko, jak śnieg marcowy ubrana, a włosy miała na ramiona spuszczone. Zaglądała w kielich kwiatka, który w ręku trzymała... tak mi się przynajmniej zdawało... bo tak ją w ten sam dzień we śnie widziałem... i odtąd tak samo stoi mi zawsze przed oczyma...

— I kżto był taki?

— Nie wiem, bo od tego czasu nie zbliżałem się nigdy do ogrodu dworskiego. Ale widzę ją zawsze, a nawet, gdy na obłoki wiszące na niebie patrzę, to

zdaje mi się, że ją tam widzę, jakby królowę jaką siedzącą na tronie...

Stefanek zamilkł. Twarz jego pałała ogniem. Eskulap przyłożył mu rękę do czoła i rzekł z uśmiechem:

— Uspokój się bratku. Każdemu z nas przeleciała tak powiewna postać przed oczyma. Jedni uchwycili ją za szatę i zatrzymali, drugim wymknęła się, nie dawszy nawet obaczyć oblicza swego... Ale uspokój się, tyś jeszcze nic nie utracił. To, coś widział, i co ci ciągle przed oczyma staje, to nie jest jeszcze istota. To jest myśl, to pierwsze obudzone pragnienie. Bóg trącił duszę twoją, aby ją ze snu obudzić, aby zbudziwszy się, szukała téj, któraby podobną była do owej w altanie!...

Stefanek nie rozumiał tych wyrazów; czuł jednak, że przed jego oczyma świat się rozszerza. A w duszy było mu tak dobrze, tak przyjemnie!... Serce biło mu głośno, a z innych kątów izby wychylała się ku niemu jakaś biała, mglista postać...

Eskulap przeszedł się kilka razy po izbie, patrząc ciągle z ukosa na Stefanka.

— Tak bratku, tak—rzekł, stając przed nim,—każdemu miga coś przed oczyma... A całém naszym szczęściem jest, jeżeli nie zbrukamy téj delikatnej barwy duszy, na której podobne widziadła się odbijają. Ta twarz biała, nieskazitelna, to największy skarb nasz, jaki nam Bóg dał. Toż strzeż się, abyś téj bar-



wy nie zbrukał, abys na niej nie nalepił szeregami obrazków, które wyglądają, jak figurki na parawanie. Wiek twój jest najwrażliwszy. Uważaj więc, aby się tam co niegodnego nie odbiło, a gdy już jaki obrazek przemocą tam się wciśnie, to szanuj go i pielęgnuj starannie, bo to będzie talizman na całe życie!...

Po tej długiej, niebardzo zrozumiałej dla Stefanka perorze, usiadł eskulap znowu na sofie. Stefankowi zaś przyszedł szczególny koncept do głowy. Paulinka tak uporeczywie patrzyła na niego ze wszystkich kątów, że bądźco bądź, powziął postanowienie, trącić w rozmowie o tę zagadkę, która z każdą chwilą zdawała mu się nieznośniejszą. Ale jakże to zacząć? Może to domowa tajemnica gospodarza?... Stefanek myślał i myślał, wreszcie ozwał się nieśmiało:

— Z tego wszystkiego, coś mi pan tak ładnie tutaj nagadał, tyle zrozumiałem, że byłoby dobrze, gdybym się ożenił...

— Pierwój, żebyś kochał — przerwał mu szybko eskulap — i był kochany wzajem!...

— No... to... żebym kochał i mnie, żeby kto także kochał — jękając się, mówił Stefanek.

— Tak, tak, no cóż dalej?

— Ba!

— Co „ba!” Na co „ba!...”

— Ba... bo to jeżeli ktoś komu radzi, to sam także...

— Dobrze, dobrze bratku — żywo odparł eskulap, zacierając ręce z radości — nie omyliłem się na tobie. Lubisz utarczki, a to jest pokarm duszy. Chcesz

mnie zapytać, jak ja tę teorią do siebie zastosowałem, *alias*, czy ja... no bratku co?

— A tak, czy pan ożenił się! — nieśmiało wyrzekł Stefanek w nadziei, że teraz coś o Paulinie usłyszy.

— Chciałeś powiedzieć, czy kochałem kiedy i czy byłem kochany! — poprawił go eskulap.

Stefanek przyjął już i taki zwrot rozmowy, sądząc, że i tak o Paulinkę zaważdzi. Eskulap rozparł się na sofie, poprawił perukę i pogłaskał się po piersi na znak nadzwyczajnego zadowolenia. Na twarzy jego malowało się uszczęśliwienie.

— Wielką radość sprawiasz mi tem pytaniem, mój bratku, bo przywodzisz mi na pamięć najpiękniejsze chwile mego życia i jedyne szczęście moje. Bez tego szczęścia nie mógłbym żyć, umarłbym i rozsypałbym się w proch za dwa dni!..

Stefanek westchnął.

— Słuchaj bratku, w kilku słowach wszystko ci powiem: kocham i jestem kochany!

— To musi być wielkie szczęście! — szepnął z cicha Stefanek.

— To nie jest szczęście — to wszystko, wszystko na świecie! Jest to powietrze, słońce i ziemia! Rozumiesz mnie bratku? Bez tego żadna struna nie wyda ci należytego dźwięku, choćbyś Bóg wie, jak misternie klapał po klawiszach!

Rzekłszy to, zerwał się z sofy i poszedł do klawikordu. Uderzywszy kilka miękkich akordów, odwrócił twarz do Stefanka, na której malowało się wielkie wzruszenie, i zaczął śpiewać pięknym, sympatycznym głosem:



„Ona rzekła: — Nawet w grobie  
Kocham ciebie, wierna tobie! —  
Ona wierna i wzajemną,  
Zawsze przy mnie, zawsze zemną!...“

Przy ostatnim wierszu Stefanek obejrzał się naokoło siebie, ale prócz znanych sprzętów nie widział. Przeciwnie izba wydawała mu się teraz tak pustą, jakby prócz eskulapa żadnej żywej duszy w domu nie było!

Spostrzegł to eskulap i zwrócił się szybko do niego:

— Szukasz zapewne téj, która jest przy mnie i zemną?... O, napróżno!...

— Jakto, nikogo tu niema?—zapytał Stefanek po chwili.

— Nikogo!... Od lat czterdziestu sam jeden mieszkam!

Stefanek zerwał się z krzesła, a przed jego oczyma znowu mignęła owa próżna miseczka w szafie...

— Nie lękaj się, ty jój nie obaczysz tutaj! Ja tylko widzę ją w każdym kącie... zawsze przy mnie, zawsze ze mną!...

Stefankowi na prawdę zaczęło się robić markotno. Wszystko było dziś dla niego tak zagadkowe!

Eskulap tymczasem usiadł na sofie i swobodnie wyciągnął nogi. Spojrzał z uśmiechem na Stefanka i rzekł:

— Wszystko to, co słyszysz, jest nowém dla ciebie. Ale właśnie dla tego mówię o tém z tobą. Słuchaj!

Po chwili milczenia zaczął:

— Byłem wtedy, jak ty teraz. Tylko więcej od ciebie umiałem, bo rodzice moi byli dosyć zamożni i od dziecka starannie mnie edukowali. Otóż Nieba zrzędziły, że na imieninach jw. pana starościca buczackiego poznałem tę, która miała na wieki moją zostać!... Było jój na imię Julia!

— Zapewne była ładna, miała jasne włosy?

— Cyt! Nie bluźnij! Tyś jój nigdy nie widział! A kto jój nie widział, ten nie może mieć wyobrażenia!

— I prędko zaśpiewał organista: *Veni Creator?*...

Eskulap nie słyszał tego pytania. Przełożył nogę za nogę, a rozkoszując się odświeżonemi wspomnieniami, mówił dalej:

— Kilka tygodni spędziłyśmy razem! Mój Boże, co to były za chwile! Jój przesliczne, różowe usta nagadały mi przez ten czas tyle słodyczy! Jój alabastrowe rączki tyle mnie napięściły! Pulchnemi ramiony tak mię tuliła do siebie!...

Stefankowi mignęło coś białego przed oczyma i ciężko westchnął. Eskulap prawił dalej!

— Nareszcie nadeszła wielka, uroczysta chwila. Miała odjeżdżać. Byłem w rozpacz. Pobiegłem do jój matki i wszystko, wszystko wyznałem. Ale to była baba z piekła rodem!

— I odmówiła!—wtrącił szybko Stefanek.

— Odmówiła, ale przecież postawiliśmy na swoim! Tego samego dnia zeszliśmy się na górę, tuż nad Sanem. Płakaliśmy i cieszyli się, jak dzieci. Wreszcie powstała i rzekła do mnie te słowa: „Drogi Marcinie, ludzie nas rozrywają, ale serca, ale dusze nasze wiecznie do siebie należeć będą. Ja nie przestanę cię kochać do grobu. Przysięgnij mi to nawzajem!“



— I pan, naturalnie przysiągłeś?—wtrącił niecierpliwie Stefanek.

— Przysiągłem. Ona mówiła dalej: „Na zakład twojej miłości żądam jeszcze jednej rzeczy od ciebie. Gdziekolwiek losy nas zanoszą, cokolwiek bądź z nami się stanie, wybierzmy ten dzień na wieczną naszego życia pamiątkę. W tym dniu niech każde z nas przyjdzie na tę górę i odżywi w pamięci swojej wzajemną przysięgę! A jeżeli jedno z nas się spóźni i drugiego na tej górze nie zobaczy, niechaj mimo to wierzy, żeśmy oboje byli!...

— I cóż się stało?—zapytał Stefanek.

— Co się stało?...—szybko podchwycił eskulap.— Nie się nie stało! Chodzę co rok na tę górę i jakoś zawsze jedno z nas się spóźnia!

— Więc nigdy nie zeszedł się pan z nią?

— Nigdy.... A jest temu już lat czterdzieści—odpowiedział eskulap z nadzwyczajnym spokojem.

Nastąpiła długa pauza. Eskulap rozkoszował się w czterdziestoletnich wspomnieniach swoich, a biedny Stefanek mozolił się, aby zrozumieć to wszystko, co dzisiaj od swego gospodarza usłyszał. Mianowicie niezrozumiałym wydał mu się ten romans czterdziestoletni, w którym kochanek ani razu bogdanki swojej nie widział, a mimo to kochał i był kochany!... A gdy o tém wszystkiém rozmyślał, migająca mu mimowoli przed oczyma owa próżna miseczka w szafie, przeznaczona pod nowy jakiś egzemplarz... Po chwili ozwał się:

— I nie było panu smutno przez te czterdzieści lat, żeś pan jej nigdy nie widział, czy też raczej, że pan zawsze się spóźniłeś?

— Zrazu było smutno — odparł spokojnie eskulap,—ale potem wybrałem sobie zawód, aby dla społeczeństwa być użytecznym. I tak każdy dzień przynosi z sobą jakiś dobry uczynek, a to uśmierza burzę i boleść mego serca. Zteżtą wiem, że jestem kochany, tylko jakieś nieprzełamane *obstacula* nie pozwalają jej o tej samej, co i ja, godzinie stanąć na górze i dać mi się widzieć.

— Więc od lat czterdziestu jesteś pan doktorem?

-- Tak jest, leczę ubogich, bo to daje mi sposobność pełnić dobre uczynki. Gdybym inaczej robił, to może przestałaby mnie kochać. Dobre przymioty serca i duszy podniecają miłość kobiety. Za każdym dobrym uczynkiem czuję, że mnie mocniej kocha! Więc też najpilniej szukam takich pacjentów, dla których nie tylko trzeba proszku i mikstury, ale serca i duszy!

— A jacyż to pacjenci?

— Fiksaci, obłąkani, waryaci!...

— Obłąkani i waryaci!—zawołał Stefanek, a cały szereg czaszek w czarnej szafie i owa próżna miseczka mignęła mu znowu przed oczyma.

— Mam tu właśnie blisko siebie takiego pacjenta—wyrzekł z radością na twarzy eskulap, zacieraając ręce.—Stary Kordysz to wyborny egzemplarz, a może nawet unikat w dziejach medycyny!...

Możeby jeszcze więcej o wybornym egzemplarzu swoim mówił pocziwy eskulap, gdyby w tej chwili nie dał się nagle słyszeć jakiś szmer za piecem. Obaj zwrócili oczy w tamtą stronę, a Stefanek ujrzał z nie-



małym przestraczem, że z poza pieca odchyliły się małe prawie niewidoczne drzwiczki, i do izby weszła nieśmiało owa jasnowłosa dziewczynka, która przed chwilą z tajemniczym słówkiem na ustach zniknęła mu z oczu...

Stefanek usunął się prędko na bok, ale duże czarne oczy miał wlepione w dziewczynę.

Była to postać zupełnie różna od téj, którą przed chwilą widział na progu. Tamta miała figlarnie przy-mrużone oczy, nosek dowcipnie do góry zadarty i główkę z pewnym kaprysykiem na lewe ramię przechyloną. Na białém czole, z pod złotych loczków połyskiwała jakaś myśl pusta bez troski i chmurki, jak promień majowego słońca. Cała jój figurka była tak lekka i powiewna, jakby ptaszek jaki białopióry stulił skrzydełka i po ziemi stapał, ale z każdego jego kroku widać, że lada chwila może rozwinąć skrzydełka i odlecieć daleko, daleko!...

Taką po raz pierwszy wydała się Paulinka Stefanowi. Teraz była to zupełnie inna postać. Miała głowę spuszczoną, a w oczach jój łzy błyszczały. Białe, okrągłe rączki tak ciężko ku ziemi się spuszczały, jakgdyby je kto nagle ciężkim łańcuchem obciążył. Była to kobieta przygnieciona jakimś cierpieniem, wahająca się między słodką nadzieją, a straszną obawą!... Stefanek uczuł, że ta druga jeszcze bardziej mu się podobała! On ją widział wśród jakiejś wewnętrznej walki.

I stary eskulap poznał zaraz tę zmianę w Paulinie, bo postąpiwszy ku niej kilka kroków, wziął ją pod białą bródkę i rzekł:

— Cóż ci to, złote dziecię moje? Czegóż te oczka znowu zapłakane? Czy ojciec może znowu...?

— Nie, tatuńcio zdrow zupełnie—odpowiedziała Paulinka głosem tak serdecznym, że Stefanek aż drgnął cały.

— A cóż cię tak późno do mnie sprowadza?

— Nie wiem sama, czy to złe, czy dobre mnie tutaj sprowadza. Ale pan jesteś naszym dobrodziejem, a moim drugim ojcem. Jeżeliby coś było niedobrego, to odwróć od biednej Paulisi ten cios okropny!...

To mówiąc, zbliżyła się do eskulapa, a wzięwszy go za rękę, przycisnęła szybko twarz swoją do jego ramienia, aby zakryć łzy, które w tej chwili z jój czarnych oczek trysnęły.

Stefanek patrzył na to zdumiony, bo podobnej sceny jeszcze nigdy nie widział. Osobliwie dziwną wydała mu się Paulinka w takiej postawie. Zdawało mu się, że widzi gałązkę wiotkiej rośliny, która owija się koło konarów starego drzewa!... I uczuł nagle, że wkoło jego serca także się coś owinęło, a było mu z tém tak dobrze, jak nigdy!...

Stary eskulap patrzył z rozrzewnieniem na piękne, pochylone ku niemu ramiona dziewczicy, a odgar-nawszy złote loczki z jój czoła, zwrócił ją twarzą do siebie i rzekł:

— Cóż ci tak strasznego grozi, moje dziecię serdeczne?... Stary Szot kocha cię, jak córkę i nie da ci nic złego uczynić.

— Ta bo to niema nic takiego złego—odparła szybko Paulinka, a uśmiech szczęścia przebił się przez jój łzy—i owszem, powiadają ludzie, że to szczęście, wielkie szczęście... a mnie to tyle łąz już kosztuje!



Ostatnie słowa wymówiła z pewnym kaprysi-kiem, który miał niby boleść oznaczać, a skończył się tylko na ściąganiu pięknych ciemnych brwi.

Eskulap wpatrywał się z rozkoszą w twarz Paulinki, która w tej chwili najrozmaitszemi grała farbami, i rzekł:

— Coś mi kłamią twoje oczka, Paulisin! Chcesz płakać, mówisz o boleści, a serduszek twoje przepelnione jest szczęściem! Oho ho! Nie złapiesz starego lisa! Widzę ja, jak to serce dwa razy prędkiej bije!...

Paulinka przycisnęła znowu do jego ramienia twarz palającą i chwilę milczała. Potem niby ze snu zbudzona, spojrzała spokojnie i z dumą na stojącego opodal Stefanek, i przybierając nagle formy, jakichby jej pozazdrościć mogła niejedna dama salonowa, ukłoniła mu się z powagą i rzekła:

— W roztargnieniu zapomniałam, że pan masz gościa. Tatunio prosi pana na chwilę do siebie.

Rzekłszy to, ukłoniła się po raz drugi Stefanekowi z nadzwyczajnym spokojem. Mimo to spostrzegł Stefanek, że z pod ciemnych, na pół przymkniętych rzęsów strzeliły do niego dwa czarne oczka i przemknęły z wolna po jego bladą twarz.

Nie miał już czasu biedny Stefanek zastanawiać się nad tak nagłą zmianą pięknej Paulinki, bo w tej chwili nie już przed sobą nie widział, prócz tych dwójga czarnych oczu, ciemną rzęsą do pół przykrytych... Nie widział nawet, jak się małe drzwiczki za Paulinką zamknęły, a gdy po chwili przyszedł nieco do siebie, nie było już w izbie żywego ducha, tylko peruka starego eskulapa leżała na klawikordzie.

Samotność była mu w tej chwili tak pożądaną, że obaczywszy się sam w izbie, zatarł z radości ręce i podskoczył do góry. Odgarnął z bladego czoła włosy i machinalnie w tył zarzucił. Twarz jego z odślonionem czołem wydała się teraz prawdziwie piękną. Coś migało ustawicznie po tém ładnem czole, jakoby błędne światelko, wskazujące przebieg palących się wewnątrz marzeń!...

Zaczął chodzić po izbie. Coraz więcej przyspieszał kroku, a twarz jego rozogniała się coraz bardziej.

Rozmowa z eskulapem rozbudziła wszystkie władze jego duszy. Wszystkie tam struny były wyprężone, wszystkie nastrojone do kamertonu. Opowiadaniem owego widzenia w altanie dworskiego ogrodu, rozbudził wszystkie swoje marzenia i pragnienia. Wszystko, co tylko kiedykolwiek wleciało do duszy jego i tam na dnie osiadło, poruszyło się teraz do góry i jakby jakie złote męty podpływało aż pod sam wierzch. Zdawało mu się, że owa wizja w altanie stała się dzisiaj rzeczywistością, a gdy sobie przypominał słowa starego eskulapa, że taką istotą, która o nasze serce trąci, trzeba za szatę uchwycić i na zawsze przy sobie zatrzymać, już był tego świętego przekonania, że ową istotą nie może być kto inny, tylko Paulinka!...

A nawet miał do tego przekonania pewne powody. Skoro się bowiem dowiedziała, że z eskulapem ktoś przyjechał, nie mogła wytrzymać, aby do gabinetu eskulapa swego dowcipnego noska nie wścibić, i niby potem z trwogą uciekać. Druga zaś jej wizyta była już widocznie wyrachowaną. To przymilenie się do starego Szota, te lzy i szlochania i ta radością



promieniejąca twarzyczka, wszystko to było dla dwudziestoletniego Stefanka dostatecznym powodem, aby o sobie mieć lepsze wyobrażenie od tego, jakie był w lesie wypowiedział stary dziwak, kreśląc trzciną w powietrzu wielkie zero!... Do tego jeszcze dodać należy dwoje czarnych oczu, które z pod ciemnej rzęsy strzeliły ku niemu i po jego twarzy powoli ku ziemi się zsunęły... Wszystko to razem wzięwszy, był z siebie w tej chwili bardzo kontent, a nawet stanąwszy na środku izby, wyprostował się, jak Napoleon po bitwie pod Wagramem.

— Jestem dzisiaj bardzo szczęśliwy — rzekł do siebie, — a nawet zdaje mi się szczęśliwszy od starego Szota! Już to my nie będziemy się spóźniali!...

Tak myśląc, usiadł przy otwartym klawikordzie i zaczął szukać akordów, których nauczył go Obrumpalski. I rzecz dziwna! W Dąbrowie musiał nieraz się mozolić, aby pomiędzy licznymi klawiszami wynaleźć te, któreby się z sobą zgadzały, a dzisiaj, gdzie tylko rękę spuści, wszędzie napotyka te klawisze, wszędzie odzywa się i harmonia, i melodia! Zachęcony taką próbą, odważył się wejść na pole najtrudniejszych mutacyi; przebierał nawet palcami daleko przódziej, niżeli sam Obrumpalski, a wszystko szło mu, jak z płatka! I jak niegdyś Fidyasz, ukląkł przed wykutym przez siebie posągiem, oddał mu cześć bożką, — tak samo zaczął Stefanek podziwiać siebie samego. W tém nagłe drzwi za piecem zaskrzypiały.

— Brawo! brawo! — odezwał się stary Szot — toż nic mi nie powiedziałeś, że tak grać umiesz! Tam do katal! Toż z ciebie może być więcej, niż organista!...

— Obrumpalski uczył mnie trochę... — wyjąkał zmieszany Stefanek.

— Tam do katal! Toć on chyba więcej się nauczył od ciebie, niż ty od niego. Śliczne i mocno skomplikowane mutacye!... Dobrze, dobrze mój bratku, będziecie z Paulinką oboje grali!...

— Z Paulinką? — zawołał Stefanek — z Paulinką?... Ona grywa?...

— Jest bardzo muzykalną. Czasami uczę ją na tym klawikordzie!...

Stefanek był najszczęśliwszym z ludzi. Nie wiedząc wcale, że stary eskulap przed nim stoi, puścił znów ręce po klawiszach, które dzisiaj coś szczególnego mu opowiadały!...

— No, zostaw to na później — przerwał marzającemu młodzieńcowi stary eskulap — a teraz weź czapkę i chodź ze mną.

— Dokądże pójdziemy? — zapytał ciekawie Stefanek, i wstrzymał oddech w piersiach.

— Do Kordysza.

— Do Kordysza!

— Musisz wiedzieć, że Kordysz ma dzisiaj u siebie zaloty.

— Zaloty! — wrzasnął Stefanek.

— Zaloty! — ładny, chwały chłopiec! Widać, że się mają ku sobie!

Rzekłszy to eskulap, zdjął z głowy czarną jedwabną czapeczkę i włożył napowrót perukę, bo uroczystość wieczorna tego wymagała. A Stefankowi zdawało się, że nagle z jasnego nieba uderzył w niego piorun i roztrzaskał go na drobne kawałki.



Idącemu machinalnie za starym eskulapem zdawało się, że owe małe, kręcone schodki, które za drzwiami ujrzał, prowadzą go żywcem do zimnego grobowca...

— Trafisz dobrze do starego Kordysza, bo jest w wyśmienitym humorze—mówił do niego eskulap na schodach—i zabawisz się nieźle, bo Paulinka taka dzisiaj wesółka, jak wiewiórka, gdy dostanie do łapek pełny orzech!...

Stefanek na to nic nie odpowiedział, tylko jednym skokiem pięć schodów przesadził i od razu stanął na dole.

— Tam do kata!—ozwał się znowu eskulap—czy Obrumpalski uczy także i gimnastyki?...

#### IV.

**N**im pójdziemy do starego Kordysza na tak zwane „załoty“, musimy pierwój cofnąć się wstecz o kilka tygodni.

Było to właśnie w czasie, kiedy studenci zaczęli się zjeżdżać do szkoły. W „Starym cyrkule“ stało kilka izb otworem. Od rana do wieczora zaglądali tam Żydzi i inni i długo nad tém medytowali, czy tak taniego pomieszkania nie możnaby spożytkować. Ale wszyscy jak wchodzili, tak wychodzili. Jakoś duszną wydawała im się atmosfera tego budynku. Było coś dziwnie niesmacznego w tych białych murach, wązkich a głęboko osadzonych oknach, nierównych, poobijanych; a przerażający widok dużego kurtyarza odbierał nawet odwagę najśmielszemu, obdarzonemu najliczniejszą rodziną, którego taniość najmu wielce kusiła.

Pewnego jednak poranku wszedł do „Starego cyrkulu“ wysoki Żyd z siwą brodą, podpierając się z powagą dużą w srebro okutą trzcina. Był to znany w całym mieście Berko, faktor najzamożniejszej szlachty z całej okolicy.



Berko nie należał bynajmniej do gawiedzi owych nowożytnych faktorów, którym tylko o to chodzi, aby poręczony od szlacheica interes, jak najspieszniej ukończyć, a przytém należycie go oszukać. Berko był prawdziwym typem staropolskiego faktora. Faktor bowiem taki służył nieraz kilku pokoleniom zamężnego domu. A gdy wreszcie legł znużony na żydowskiem okopisku przy trakcie dobromilskim, syn jego spełniał dalej obowiązki ojca, posiadając ku temu całą po ojcu tradycją.

Faktor taki należał prawie *de facto* do rodziny szlacheica. Wiedział najskrytsze tajemnice domu i umiał zachowywać najsumienniejszą dyskrecją. Pierwszy wiedział o zawiązującym się małżeństwie, a nim wieść o tém po sąsiedztwie się rozeszła, faktor wzywany był do gabinetu jegomości na tajną naradę. W takim razie głos jego rozstrzygał nieraz o nadziejach zakochanych, bo nie powodując się złudnemi marzeniami miał zawsze na oku rzeczywiste dobro swego patrona, czyli raczej klienta. Za kilka dni dostarczał szlacheicowi tak szczegółowych danych o stanie majątkowym i moralnym konkurenta, jakichby nikt nie nazbierał, ani w księdze policyjnej, ani w tabuli krajowej. Bywało często, że sama nawet panienska zawołała go skrycie do swego widermachu, i długo, długo z nim pocichu się naradzała. I wtedy był faktor nieubłagany. Nie pomogły ani łzy, ani zakłęcia, a zapłakane oczki i łzy humor panienski okazywały przy obiedzie, że faktor wywiązał się z obowiązku, jak na pocziwego i sumiennego człowieka przystało.

Już to z małymi paniczami miał faktor najwięcej

zgryzoty. Tyle tylko miał spokoju, jak długo trwały wakacje szkolne. Gdy nadchodził miesiąc wrzesień, faktor dostawał list od szlacheica, aby: 1-mo wynajął porządną i suchą stancją; 2-do wyszukał i dobrze wyegzaminował jakiego dyrektora dla paniczów i jego ugodził; 3-tio zajął się kupnem książek potrzebnych i takowe dla paniczów przygotował. Była tam wprawdzie jeszcze osobna karteczka od jejmości, aby nie skąpić bardzo wydatków, byleby tylko panice mieli dobrą wygodę, a nadwyżkę pozwolonego przez jegomości budżetu, obiecywała jejmość z własnego grosza pokryć, o czém nie należy jegomości nic mówić. I Żyd faktor umiał tutaj wybornie pogodzić dyskrecją z należną jegomości otwartością.

A jak tylko z za mostu bryczkę z paniczami i furgony do miasta wprowadził, już nie miał spokoju biedny faktor. Nietylko codziennie chodził do stancji i dyrektorowi rozmaite nauki dawał, ale podczas godzin obchodził w koło zabudowania pojezuickie, czy który z paniczów, jak to mówią, po za szkołę nie chodził! Był na wszystkich ślizgawkach, na bioniu, gdzie w piłki zwykli grywać uczniowie, a nawet i do głosińszych szyneczków zaglądał, czy który z paniczów nie zniży się do kategorii lampartów. A jeżeli kiedy co dojrzał, to stosownie do wykroczeń, pisywał na oddartym kawałku papieru bez żadnych względów na ortografią i formy stylistyczne, albo do jejmości, albo do samego jegomości, z których zazwyczaj jedno do miasta przyjeżdżało, i wytoczoną sprawę sumarycznie załatwiano.

A cóż to za męki musiał biedny faktor wycierpieć, gdy się zbliżał czas egzaminu! Wtedy nie jadał



nawet po całych dniach. Chudy i blady przesunął się, jak cień złowrogi po długim szkolnym kurytarzu, przykładając ucho do drzwi téj lub owéj klasy! A jeźli najokropniejsze jego przewidzenia sprawdziły się i jeden z paniczów promocyi nie otrzymał, wtedy ze łzami w oczach pisał faktor list do rodziców, donosząc im ostrożnie o smutnej katastrofie. Jegomość i jejmość zjeżdżali wtedy do miasta, a wśród narady familijnej, już faktor zaczynał płakać, nim jeszcze jejmość łzy w oczach poczuła. Faktor i jejmość płakali wspólnie, i wyrzekali na delikatne zdrowie panicza, dla którego tak twarda nauka jest rzeczą wprost niepodobną; ale popołgowałszy sercu swemu, miał faktor jeszcze jedną praktyczną radę w zapasie: podarunek, jaki do kuchni pani profesorowój mógł fatalną trójkę z klasyfikacyi wymazać. A poświęcenie się faktora dochodziło wtenczas do takiego stopnia, że własną ręką zawieszał w spiżarni pani profesorowój kamień sadła lub poleć słoniny!...

Dzisiaj taki faktor już do mitów należy. Ostatnim był Berko!

O rannéj godzinie wszedł do „Starego cyrkułu“ i zaczął oglądać próżne, pootwierane izby. Przed każdą plamką na ścianie stanął i sumiennie badał, czy nie pochodzi z wilgoci. Stapał w najrozmaitszych kierunkach po deskach podłogi, czy która się nie ugnie lub nie złamie, aby mieszkający nogi sobie nie wywichnął. Zgiął wreszcie palec i opukał wszystkie cztery ściany, czy gdzie wapno nie odstaje, lub, czy jakiej ukrytej dziury niema. Przystąpił potem do okna, a zlustrowawszy wszystkie szyby, otworzył jedną i drugą kwatere i długo obracał je na zawiasach

Piecowi poświęcił szczególną bacność. Wlaził cały do gruby i długo rozpatrywał się po ciemnościach olbrzymiego komina, choć to nawet nie obeszło się bez szwanku, jak to się okazało na białej jego brodzie. Potém przyszła kolej na drzwi i klamki, oraz na inne należące do tego pomieszkania *partes adnexae*, jak to: sieni, kurytarz, schody, bramę etc.

Około południa dopiero wyszedł Berko z bramy „Starego cyrkułu.“ Muskał siwą brodę i zdawał się być głęboko pogrążony w myślach. Myślałby kto, że już ułożył się z gospodarzem o cenę najmu, a teraz idzie po lokatora. Gdzie tam! Nie tylko ani słówka gospodarzowi nie powiedział, ale nawet i oględzin jeszcze swoich nie skończył!

Wyszedłszy bowiem z bramy, nie poszedł w rynek, ale skierował kroki wzdłuż muru, zaglądając tu i ówdzie do okna. Najmocniej zaintrygowała go czarna tablica nad dolnym oknem, już na samym rogu budynku. Był bowiem na niej szczególny napis. Obok dużego polskiego buta, sownicie łatanymi okrytego, można było wyraźnie przeczytać:

**Marcjan Kordysz.**

A w drugim wierszu drobniejszemi literami stało: „Tu nie przyjmują żadnej roboty, tylko samę łataninę.“

Berko zastanowił się nad tym dziwacznym napisem, przeczytał kilka razy i spokojnie poszedł dalej. Od rogu budynku wrócił się znowu, a spojrzawszy jeszcze raz na but polatany, wszedł znowu do wiecznie otwartej bramy „Starego cyrkułu.“



Już dobrze było z południa, gdy Berko napowrót wychylił się z bramy, i głaszcząc brodę, naprawdę w rynek już zmierzał. Na twarzy jego malowało się już pewne postanowienie. Widać, że już naleźycie wszystko zbadał. Ostatnich kilka godzin poświęcił informacyi o reszcie lokatorów „Starego cyrkułu,” i widać, że był z tego dosyć zadowolony.

A gdy nazajutrz o godzinie jedenastej przed południem za most wyszedł i na węgierskim trakcie pięć minut postał, zobaczył jadącą ku sobie żółtą kolaskę, której prawdopodobnie wyczekiwał o tym czasie.

W kolasie jechał jakiś siwy, dobrej tuszy jegomość. Obok niego siedział młodzieniec około dwudziestu lat mający. Za nimi i przed nimi sterczały wysoko najrozmaitsze tłómoki i tłómczki, a prócz tego ciągnął się jeszcze za kolaską spory furgon pod strażą jakiegoś wąsatego podstarościego.

Berko podał rękę jegomości i paniczowi, mimo siwój brody swojej i historycznego na trakcie węgierskim błota, puścił się tuż obok kolaski kłusem prawie, wołając, kiedy niekiedy furmanowi do ucha: „Pod Opatrzność!”

Zajazd „pod Opatrznością” był przy ulicy Franciszkańskiej, tuż obok wieży „miejskiej.” Stary Berko sam wziął za uzdę lejcowego konia, i mimo tradycyjnego wstrętu do zwierząt dzikich i niesfornych, tak doskonale wycelował dyszlem do ciemnej sieni zajazdu, że cała kolasa z jegomością, paniczem i tłómokami w okamgnieniu z ulicy Franciszkańskiej zniknęła.

Teraz wypadało faktorowi narobić w sieni nieco hałasu. Należało to do dobrego tonu, i cechowało gościa znakomitego pochodzenia, albo dostatniej fortuny. Toż nie szczędził stary Berko gardła, a wkrótce napelniła się cała sień służbą zajazdu, do której nawet i stara gospodyni musiała się dla efektu przyłączyć.

Jegomość milczał uroczyście, paniczowi także nie wolno było do nikogo przemówić, aby się nie pospolitować. Sam tylko faktor mówił, rozkazywał i wszystkiem według swego widzenia rzeczy rozrządzał.

Po chwili zсадził Berko jegomością z kolasy, paniczowi zalecił oprzeć się na jego ramieniu. Tłómoki i tłómczki pomógł odwiązywać, a oddawszy je pod nadzór wąsatemu podstaroścemu, który tymczasem z furgonem zdążył, wziął szlachcica pod ramię i po schodach na pierwsze piętro wywindował.

Wprowadziwszy go pod numer 1-szy, posadził na czerwonej kanapie, a sam znikł znowu na chwil kilka. Niktby nawet nie przypuszczał, że stary Berko ma już na karku lat siedmdziesiąt. Latał nieustannie to na dół, to na górę, od gospodyni do stróża, z kuchni do piwnicy. A gdy już bez najmniejszej interwencyi jegomości, dostateczne powydawał rozkazy, przyszedł znowu pod numer i wprost udał się do małej walizki, jakby tam miał coś upatrzonego. Z pęka kluczy, podanych przez panicza, trafił od razu na klucz od walizki, otworzył i z pod lewego boku wyjął znane mu doskonale puzderko. Pocisnął znajomą sprężynę, i pod wielką nakrywą ze skóry łosiowej, od-



krył dużą, graniastą flaszę i stojący obok niej wyzłacany kubek.

Jegomość patrzył na to wszystko z wielkim spokojem. Był przekonany, że Berko zna wszystkie myśli jego i zadość im uczyni. I wcale się nie omylił. Zaledwie bowiem Berko kubek należycie wytarł połą i flaszę odetkał, już stała na stole misa dymiącego się mięsiwa, a na małych talerzykach rozmaite do tego przynależności. Były to ulubione przysmaczki jegomości, któremi za każdym razem lubił się posilać, gdy do miasta przyjechał. Berko tak doskonale znał cały program takiego posiłku, że wszystko już naprzód w gospodzie przygotował. Dla panicza były ulubione bakalie, a nawet o furmanie i podstarościm nie zapomniał zapobiegliwy faktor.

Gdy para z mięsiwa do nosa jegomości doszła, Berko nalał kubek wyzłacany pod same kresy i podał mu z należytą unizonością. Jegomość przewrócił kubek dnem do góry, a Berko nalał go powtórnie, ale tylko do połowy. Panicz uczynił z kubkiem to samo, co jegomość, a Berko nalał zaraz, ale tym razem pełniusieńki. Potém zdjął gamerkę, pogłaskał brodę, i życząc jegomości, aby żył długo, a paniczowi, aby wyrósł wielki, uczynił z kubkiem to samo, co jegomość i panicz.

Kubek wyzłacany już odbył swoją powinność, ale flaszy graniastój jeszcze Berko nie wypuścił z ręki. Wyjął z puzderka kubek drugi, większy, ale cynowy, nalał pełny i zawołał podstarościego. Sam tymczasem zbliżył się do misy dymiącej, a zatknawszy dwunożny widelec w spory kawał mięsa, podał go

z kawałkiem chleba podstaroścemu na przekąskę. Po podstarościm weszli do izby obaj furmani, a każdy z nich zapoznał się, tak samo, jak podstarości z kubkiem cynowym, z tą tylko różnicą, że stary Berko już do misy jegomości nie sięgał, tylko samym chlebem i sereem ich obdarzył.

Zrobiwszy to wszystko wśród powszechnego milczenia, Berko zamknął puzderko i stanął koło progu w postawie wyczekującej. Tymczasem jegomość i panicz zjadali mięsiwo i w kwaśnym sosie maczali kawałki chleba.

Zatrudnienie to, jak niemniej ruszanie gębą, zbyt jednostajnem wydawało się staremu Berkowi. Z nudów więc szukał dla siebie jakiejś roboty, która by się jednak odnosiła do jegomości lub panicza.

Naprzód obaczył niewidzianej wielkości muchę, która usiadła na łysinie jegomości, chcąc się pożywić kwaskowatą parą, buchającą z misy; Berko zbliżył się natychmiast do kanapy, a po krótkiej, lecz zaciętej walce, udało mu się, nie tylko łysinę jegomości od muchy uwolnić, ale nawet położyć złośnicę trupem tuż niedaleko kołnierza, przyczém uczuł jegomość pewne dobroczynne wstrząśnienie. Uganiając się za muchą, spostrzegł Berko, że paniczowi wystaje z za kołnierza pętelka od surduta. Poszedł więc na drugą stronę, wyciągnął paniczowi kołnierz należycie do góry, a uporczywą pętelkę wsunął kułakiem aż gdzieś na plecy. Za jednym zachodem uporządkował palcami pomierzwioną nieco czuprynę panicza, wyciągnawszy z niej ostrym paznogciem kilka ździebeł siana i jeden wiór stolarski, które to ornamenta panicz gdzieś na popasie sobie przyswoił.



Obszedłszy jeszcze kilka razy do koła czerwoną kanapę, która do muru nie przypierała, otrzepawszy należycie ramiona i boki swoich klientów, wrócił znów Berko na swoje stanowisko koło drzwi.

Tymczasem wypróżniła się misa i na małych talerzykach poczęły się dna białe pokazywać. Widząc to Berko, pośpieszył do kąta izby, a wzięwszy ztamtąd grubą antypkę z bursztynem, udał się z nią do kuchni. Za chwilę ukazał się znowu w progu, a na fajce tureckiej leżał ogromny węgiel, który dopiero co przestał palić się sinym płomykiem.

Wszystko dotąd odbywało się w jak najgłębszym milczeniu. Teraz dopiero, gdy jegomość w wygodniejszej pozycji rozsiadł się na kanapie i podaną antypkę do ust przybliżył, nadeszła dla Berka pożądana chwila rozmowy o interesie.

— No, panie Berkowicz, cóżes zrobił — zaczął jegomość, puszczając kłęb dymu. — Żona moja pozdrawia cię!

Zdawałoby się, że Berko, podziękowawszy za pamięć jejmości, wpadnie zaraz *in medias res* interesu, jak to czynią dziś nasi mecenasi, lub biura wywiadowcze. Ale Berko, jak to wyżej powiedzieliśmy, był ostatnim typem faktora staropolskiego, który nigdy nie uważał interesu za główny przedmiot rozmowy, tylko przyczepiał go, jako dodatek, jako rzecz małej wagi. Na pierwszym miejscu u niego był sentyment dla domu i całej familii jegomości, a po zadośćuczynieniu temu sentymentowi, następował interes w krót-

kim szkicu podany. Nie była to rzecz wyrachowana na efekt, była to rzeczywista, wewnętrzna potrzeba staropolskiego Żyda, który ze szlachcicem żył jego życiem rodzinném i razem z nim cieszył się powodzeniem pojedynczych członków rodziny, lub utyskiwał na nieszczęścia, które nie chcą chodzić po lasach, tylko do ludzi zaglądają.

Otóż ukłoniwszy się jegomości i podziękowawszy za zaszczytną pamięć jejmości, włożył Berko obie ręce za pas i zaczął:

— No, już to jejmość dobrodziejka zawsze pamięta o Berkowiczu... A czy dobre były figi i rozynki? Aj waj, sam pan Gajdeczka dawał!

Jegomość kiwnął głową, a Berko prawił dalej:

— Nu, pani dobrodziejka, dzięki Bogu, zdrowa! W tych latach prawie, co i ja, i trzy razy była mężatką, a dwa razy wdową! A to coś znaczny!

Jegomość kiwnął znów głową.

— Aj waj! W ona nie miałaby takiego zdrowia, gdyby nie była w takich wygodach, jakie ma przy jegomości. Bo to ja widział! Zrana kawa, popołudniu kawa i na wieczór kawa! U jegomości najchudszy Żyd spałby się, jak wieprz, a cóż dopiero jejmość, która ma tak delikatne ciało, jakby wczoraj ślub brała!

Jegomość uznał za rzecz stosowną odpowiedzieć coś Berkowi na te pochwały żony.

— Już to żona moja — mówił wśród dymu z antypki — ma daleko lepsze zdrowie odemnie. I zję, i wypije, i jest zawsze zdrowa. A mnie zaraz szkodzi. Gdybym na śmiech tylko przez kwadrans gębą ruszał, już w nocy spać nie mogę. A gdy zasnę, to zaraz śni mi się, wiesz Berko, ten wół z węgierskimi



rogami, że mnie bodzie i bierze na rogi!... Żonie mojej nic a nic nie szkodzi!

— Nu, to prawda, że jegomość ma delikatniejsze zdrowie—wtrącił Berko, patrząc ze współczuciem na opasłego jegomościa.

— Ha, cóż robić!—odparł smutnie jegomość—trzeba i tём się kontentować! Ot widzisz Berkowicz, co ja tutaj jadłem! Pięć małych sznyclików, sosu trochę, kilka kiełbasek, kawałtoko sałcesonu i szczyptę sera... a już czuję, że mi, jak kamień pod sercem leży! Ot starość nie radość panie Berkowicz! Trochę człowiek zębami pochymła, a cyrulik zaraz krzyczy, że się objadł!

— No, bo on na to cyrulik, aby krzyczał... A śliwki węgierskie dobre były?...

Jegomość kiwnął głową i okrył się chmurą dymu.

— O, jejmość dobrodziejka bardzo dobra gospodyni!—mówił dalej Berko.—Jak ona ze wszystkimi umie gadać! Sam widziałem, jak trzy dziewczki naraz wybiła i jeszcze kucharzowi pono coś się dostało! Byłem wtedy z Judką we dworze! Aj waj, co to był za harmider! A zaraz potem sza, jakby mak siał! Nawet sam jegomość wtedy pocichu do nas o wódce mówił!

Jakieś nieprzyjemne wspomnienia obudził Berko w biednym jegomości, bo dmuchnął dymem aż na sam środek izby.

— O, jejmość dobra gospodyni — prawil dalej niezbity z tropu Berko— a w naszych piśmiejch stoi napisano, że dobra żona to trzy węgly domu! A ja powiadam, że jejmość nie trzy, ale dziesięć węglów, nu, bo co to jest trzy!...

Jegomość i na to kiwnął głową, a przytём lekko westchnął.

— A co panna Rózia?—pytał dalej Berko.— Ja od razu mówił, że z tego nic nie będzie. Zresztą niema co żałować! Pan Michał to nie dla panny Rózi. Wón nie ma takiego delikatnego rozumu, ani takiéj ha duk a cyi! Dla niego dobra ekonomówna!

— Ależ bo widzisz panie Berkowicz — przerwał jegomość—pan Michał ma dwie wioski, a gleba przecieżna!

— Nu, co to dwie wioski? Jak Pan Bóg dopuści, to jegomość może takie dwie wioski za jeden rok kupić!

— Za jeden rok? A to jakim sposobem?—zapytał ciekawie jegomość.

— Nu, jak Pan Bóg chce, to wszystko zrobi!... Jegomość może wygrać na loteryi!

Taka pociecha nie przypadła jakoś jegomości do smaku, a przynajmniej nie mogła mu tak prędko wyrugować z serca dwóch wiosek pana Michała, które do jego gruntów przypierały. Westchnął więc z rezygnacją i rzekł:

— Ha, widać, że tak Bóg chciał!...

— Jak to jegomość ślicznie powiedział!—cmoknął Berko.—Jak Bóg chce, tak jest i tak będzie!... Ale zapomniałem; czy perłowe krupki były dobre?... A co robi pan Aleksander? Zdrow i wielki!

Pan Aleksander miał lat trzydzieści kilka, ale Berko od lat trzydziestu stawiał co rok to samo pytanie.

— Ot i z Aleksandrem kłopot — ozwał się jego-



mość.— Myślałem, że coś się skleci, a tu tymczasem, ani rusz!

— Co pan Aleksander może mieć hrabiankę za żonę! Takich panien, jak panna Katarzyna, te na furę nabrać. Mówią, że ona panu Aleksandrowi dała kosza, a ja powiadam, że nie prawda! Bo co to jest panna Katarzyna?... Ni z pierza, ni z mięsa!...

Jegomość na to nic nie odpowiedział.

— A pan Nanio, jak zdrów wyrósł! — prawil dalej Berko, schodząc już koleją do siedzącego na kanapie panicza.— Będzie kubek w kubek podobny do jegomości!... Jak jeszcze trochę połysieje, to będzie wykapany!

Paniez, który właściwie nazywał się Ignacy, uśmiechnął się do faktora na znak faworu i podgarnął czuprynę, której tak fatalną przyszłość głupi Żyd prorokował.

Berko uczynił już zadość sentymentom dla całej rodziny jegomości, ale na tém nie był jeszcze koniec.

— A co tam proszę jegomości z tą żółtą charciwą, która brać nie chciała?

— Nauczyła się!

— A ta gniada klacz czy jeszcze kuleje?

— Tak, trochę zawsze utyka!

— A co jegomość zrobił z tą czarną krową bez jednego roga?

— Poszła na kloc. Nie było rady!

— Nu, to dzięki Bogu, że u państwa na tém się skończyło!... No, co? możebyśmy poszli do „Starego cyrkułu?“ Obaczmy tam stancję!

Jegomość nie miał właściwie wielkiej ochoty iść do „Starego cyrkułu,“ nie dla tego, aby czuł jaką

trwogę, ale tak był przekonany, że Berko daleko lepiej tę całą rzecz od niego rozważył, że mu nic innego nie pozostawało, tylko usankcjonować to, co Berko zrobił. Jedna tylko myśl przelotna spowodowała go do tej przechadzki. Czuł bowiem, jak najwyraźniej, że owe pięć sznyclików *cum attinentiis* rozpierają mu pętlicę przy czamarce, a równocześnie z tém spostrzeżeniem stanął mu przed oczyma ów fatalny wół z węgierskimi rogami, który niezawodnie tej nocy bość go będzie!.. Postanowił więc zrobić nieco komocyi przed obiadem i przy tej sposobności obejrzyć stancję w „Starym cyrkule.“

Droga od „Opatrzności“ do „Starego cyrkułu,“ odbyła się bez żadnych szczególnych wydarzeń. Nanio przypatrywał się ubiorom najmodniejszym, które na ulicy zoczył, i przez cały rynek odbywał wewnątrz zaciętą walkę między kolorem jasnozielonym, a jasnoszafrowym, jaki podówczas właśnie w modę wchodzić zaczął. A jegomość znów nie mógł się wstrzymać, aby do „Birnbaua“ nie wstąpić i dla lepszej strawności nie wypić butelki węgryzna, czém jedynie mógł się salwować od wołu z węgierskimi rogami.

Wreszcie weszli do „Starego cyrkułu.“

Naniowi jakoś nie w smak były puste klasztorne mury. Skrzywił się i zaczął gwizdać. Była to dla ojca nieomylna oznaka, że spadkobierca jego imienia jest niekontent.

W innym razie byłby jegomość zastosował się do humoru swego Benjaminka, ale dzisiaj jakoś nie miał



do tego ochoty. Naprzód był rozdrażniony nieco niezręczną konwersacją Berka, który mu najwidoczniej dowiódł, że w domu nie on, ale jégomość rządzi. W téj niezręczności widział podejrzliwy jegomość kunsztownie obmyślaną strategią Żydka, który tym sposobem chciał mu dać uczuć jego niedołęztwo! Rozumie się, że butelka węgryzna nie złagodziła téj nieznacznie zadanej rany, owszem dodała mu energii, jakiej właśnie w téj chwili potrzebował.

— Już świstasz—rzekł gniewnie do syna—ale nic nie wyświstasz! Niéma matki przy tobie i kwita! Oboje zawsze mnie pokonacie, to prawda—*nec Hercules contra plures*, mówi przysłowie nasze; ale gdzie ja jestem i do tego jeszcze Berkowicz, tam to się stanie, czego my chcemy.

Rzekłszy to, mrugnął do faktora na znak przy mierza, bo pomimo wszelkiej energii obawiał się sam jeden stawić czoło. Berko pogłaskał brodę i stał spokojnie koło pieca, oczekując jak minister przed królem, kiedy mu ten pozwoli wyłożyć „m o t y w a” swojego projektu.

Zrozumiał to jegomość, i dał Berkowi znak, aby uzasadnił swój projekt i bronił go przeciw możliwej opozycji.

Berek odchrząknął, pogłaskał brodę i rzekł:

— Nu, ja wiedział, że to nie będzie do smaku paniczowi, jeżeli Berko zaprowadzi go do „Starego cyrkułu.” Tu mieszkać, to tak, jak w areszcie siedzieć. A niechno jegomość słucha, jak tu cicho, jak głucho, jak na cmentarzu! Nie słyszać nawet ludzkiej mowy, tylko czasami huczy, jak bryczka po mieście jedzie, albo, jak wiatr kominem dmucha!...

Nanio wstrząsł się cały i skrzywił, jakby mu kto octu do gęby nalał. Jegomość sam przestraszył się takim wstępem, i wypatrzył się na Żyda, czy ten nie oszalał, że tak fatalnie własny swój wniosek popiera.

Nieustraszony jednak Berko uśmiechnął się dowcipnie i rzecz ciągnął dalej:

— Nu, co to w bawełnę owijać! Całe miasto wie, że „Stary cyrkuł” to pustka a nawet student z „parwy” bałby się wieczorem po pod tym murem przechodzić!... Nu, ale stary Berko naumyślnie tu stancją dla panicza wyszukał!

I spojrzawszy z tryumfem to na jegomości, to na panicza, i nader wolnym pociągiem posunął ręką po brodzie.

— Tam do biesa!—ozwał się zniecierpliwiony jegomość—coż chcesz przez to powiedzieć, panie Berkowicz?...

— Czy Berko na starość klepkę jedną z głowy stracił?—dorzucił panicz.

Berko spojrzawszy dowcipnie na jegomości i uśmiechnął się, panicza zaś zmierzzył niebardzo delikatnie wzrokiem.

— Że jegomość nie wie, co Berko ma w głowie, to nie dziwota, bo Berko jeszcze tego nie powiedział. Ale że panicz w siwej głowie Berka nie widzi wszystkich klepek, to mnie mocno dziwi!

Jegomość położył rękę na ramieniu Żyda na znak, że nie podziela zdania syna, a faktor mówił dalej:

— Ja mówił, że naumyślnie tę stancją w téj pustce wybrał, bo ja w tém miał grunt... Przypomina sobie pan Nanio, co to było, kiedy pan Nanio



mieszkał w zielonej kamienicy przy ulicy Franciszkańskiej?...

Panicz zmieszał się trochę i ze znaczeniem spojrzał na Berka. Berko zrozumiał to spojrzenie, ale rozdrażniony urazą, był nieubłagany. Może i bez urazy byłby tak samo mówił, bo Berko przedewszystkiemu służył rodzicom, a nie paniczowi, jak to dzisiejsi faktorowie praktykują.

— A co? nie przypomina sobie pan Nanio, jak to Berko musiał chodzić po pod tę zieloną kamienicę i grozić panu Naniowi do okna, kiedy na pannę Sabinę zaglądał, zamiast zaglądać do książek i skryptów?... A mało Berko miał zmartwienia, gdy naprzeciwko tej zielonej kamienicy „Marszandes modes,” kazała wybić w murze wielkie okno i w niem postawiła trzy czepki a posadziła pięć dziewcząt, a wszystkie były takie ładne, jak malowanie!... *Aj waj!* Co to było! Okno u pana nawet w zimie było otwarte, a z łaciny za to była dwójka i z mores nienajlepszal... A sam Berko musiał chodzić do katechety i całować go po rękach, aby z religii panicza nie zapieczętował! *Oches mir!* Jak jejmość wtedy płakała, aż mi teraz jeszcze markotno koło serca!... He, to pan Nanio o tém wszystkiemu nie pamięta i mówi, że stary Berko klepki w siwój głowie nie ma?...

— Widzisz, widzisz Nanio—ozwał się jegomość, pan Berkowicz jest naszym przyjacielem, a ty tego nie rozumiesz! Prawda, prawda, przypominam sobie. Zmartwiłeś wtedy matkę, choć o tém nie nie wiedziałem, bo Berkowicz zataił przedemną, wiedząc, że jestem słabego zdrowia i dopiero wtedy mi powiedział,

gdy rzecz była naprawioną, chociaż to wiele, wiele kosztował!...

Rzekłszy to, jegomość podał rękę Żydowi i serdecznie ją ścisnął.

Błada twarz Berka zarumieniła się zadowoleniem. Po chwili ozwał się:

— Nu, ja się nie gniewam, że pan Nanio tego teraz nie rozumie. Ale, jak pan Nanio będzie miał tyle lat, co jegomość i takiego syna, jak pan Nanio, to pan Nanio memu Mordkowi rękę ściśnie i powie do niego: „Mordko, twój ojciec wiele dobrego dla mnie zrobił, bądź ty takim dla mego syna, jakim był twój ojciec dla mnie!”

Panicz uznał za stosowne udobruchać rozdasanego Żyda, obawiając się, żeby jeszcze inne skargi nie wyszły przed forum ojcowskie. Podał więc rękę Berkowi i rzekł:

— No, no, panie Berko, ja tak źle nie myślałem,

— Ja wiem, że panicz ma dobre serce — zakłódowną tę sprawę Berko,—ot, tak się tylko mówi! Żeby panicz żył sto lat! A co do tej stancyi, to tak sobie myślałem: Tu niema ani „Marszandes modes,” ani panny Sabiny, ani tych trzech córek pana komisarza, które tam w zielonej kamienicy do wszystkich studentów żeby suszyły, aby którego złapać na męża—słowem, tu nic niema i nikogo, coby przeszkadzał łacinie i coby mores zredukował na jedynek! Tu panicz nie ma w kamienicy ani z okna żadnej rozrywki, więc dobrze będzie siedzieć przy książkach! Bo to już filozofia, a pan Fujara lubi pieczętować!... *Aj waj!* Co ja miał z tego pana Fujary! Już Berko do pana Fujary nie pójdzie, jak będzie trójka z Naturalnej! Bo



Berko przez pięć lat nie słyszał od panów studentów inaczej, niż „pan Fajara!“ Otóż, jak Berko miał interes, to poszedł do niego i powiedział mu: „Wielmożny panie Fajara!..“ Nu, a on za to Berka wziął za kołnierz i ze schodów, z przeproszeniem państwa, zrzucił. Któż wiedział, że pan profesor nazywał się inaczej?...

Jegomość i panicz uśmieci się należycie ze smutnej przygody Berka, poczem ozwał się jegomość:

— A są tu jacy lokatorowie w tym „Starym cyrkule?“

Berek musnął znowu przeciągle po siwej brodzie i rzekł z widocznym zadowoleniem:

— Nu, jeżeli Berko powiada, że tu jest stancya pana Nania, to Berko, nietylko obejrzał każdą cegłę i każdy zawias, ale zaglądał także przez szpary do każdego lokatora i wszystkiego się dowiedział. Bo Berko nie chce, aby tu była druga Sabina, albo „Marszandes modes“, albo co najgorsza, żeby był komisarz z trzema dorosłymi córkami, które gwałt chcą męża, a nie mają szelągów...

— O to mi najbardziej chodzi, kochany panie Berkowicz—wtrącił półgłosem jegomość — bo to nie tylko łacina i mores wtedy szwankują, coby wreszcie było rzeczą najmniejszą, ale zdarza się, że porządnego i majątnego chłopca czepi się jaka miejska flondra i nuż afektem nadrabiać i oczy zawracać, aż się chłopcu rzeczywiście głowa zawróci! O! to niemałe nieszczęście! Pamiętam i mnie to groziło. Ale szczęśliwie umknąłem. Czepiła mnie się była jakaś Lwówianka, mówiąc między nami golusienka, jak święty turek! ale śpiewała, grała, jak Pinetti, co to rąk jego, gdy ruszał, nikt nie widział—umiała mieć spazmy, om-

dlenia i tym podobne fixy-faxy, ale w sam czas umknąłem, bo tak mnie obmotała, że wróciwszy na wieś, przez cały miesiąc chodziłem po lesie i dumałem. Naniol! weź to sobie za przestrożę, bo wszystkie te wasze miejskie panienki, to tylko istne spekulantki. Były złapać bogatego męża, choćby nawet trochę podłyśiałego, gotowe są zrobić ze wszystkiego ofiarę, a nawet z wiernego swego Filona, który te same sztuki omamiania umie, co Pinetti, ale jest chudeusz mospa-niel... a cóż dopiero ty, który jesteś i ładnym chłopcem, dzięki Niebu, i fortunę będziesz miał nieszeptną!... Strzeż się owych Sabineek, „Marszandes modes“, etc!...

Stary Berko głaskał sobie brodę z wielkim upodobaniem. To ją rozdzielał na kilka części, to znowu zbijał w jedną masę, zakręcał na dół i do góry, a czasem zapuścił w nią wszystkie pięć palców i jak puch srebrny rozwał na wszystkie strony. Była to oznaka, że z siebie i z ludzi jest bardzo zadowolony.

— Nu, ja to wszystko miał w głowie, co jegomość tak pięknie powiedział, i wybierając tę stancyę, o tém wszystkiém myślałem. Dla czego u państwa ludzie pobożni zamykają się w klasztorach? Na to, aby im w ich pobożności nic nie przeszkadzało! A jeżeli student chce w książkach siedzieć, to niech tak będzie, jak w klasztorze. A tu tak samo, jak u Reformatów. Cicho, spokojnie, sza, aż miło!

— Ale wspomniałeś coś o lokatorach?—ozwał się wśród pauzy jegomość.

— Nu, wszystkich znam na palcach, i wiem nawet, co dziś gotują. O dwóch niema co mówić. Jeden stolarz, a drugi ślusarz. Ludzie bardzo biedni, pilnują roboty. Oba są wdowcy i nie mają dzieci.



— Ale tam, pod oknem, jakaś tablica czarna?— wtrącił jegomość.

— To biedny szewc, Kordysz! Wszystkim Żydom lata kapcie, a ludzie mówią, że co zarobi, to zaraz przepije. Nieszczęśliwy to człowiek, ale sam sobie winien. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Po co jemu pić wódkę?... A jak się upije, to gada takie rzeczy, aż się bachory z niego śmieją. W ó n był przy Napoleonie, co to wojnę prowadził, i bił się z nim razem we wszystkich bataliach. Jak zacznie po francuzku komenderować, to mu się wasy tak najeżą, jak kolce na tém małym zwierzęciu, co to jabłka kradnie. Czasami nawet, jak się upije, to nabiera sto bachorów i małych studentów i komenderuje nimi: „*Eins zwei*—marsz, marsz!...” Ot, głupi pijak—ale człowiek bardzo pocziwy! Do tego, mówią ludzie... ale co Berkowi do tego! Ani Berkowi, ani paniczowi to nie przeszkadza, co tam głupi Kordysz u siebie mówi i robi—byle tylko na kurytarzu było cicho!

— Więc słowem, to niewinny jakiś pijaczyna i nic więcej!—zakonkludował jegomość.

— Nu, tak — odparł Berko,—a choć tam ma u siebie młodą córkę, ta jest bardzo biedna, gotuje jeść i zapewne przedzie dratew. Aj waj! to nie taka, jak Sabina, co to zawsze za gorsem miała olejki pachnące, albo te pięć dziewcząt za trzema czepkami u „*Marszandes modes*,” a już nie mówię o tych córkach komisarza, z których każda miała takie oczy, jak dwa świderki!

Berko zerknął tutaj z ukosa na panicza, który właśnie dotykał się ostrożnie swego meszku pod nosem, i był przekonany, że wasy podkręca. Wspomnie-

nia zielonej kamienicy stanęły mu żywo przed oczyma. Westchnął, i zbliżywszy się do okna, zaczął na szybko wybębniać jakiś marsz żałobny, do którego melodią słyszał w duszy swojej!

— Nu, córka Kordysza, to nie jest Sabina z pachnącemi olejkami, to jest prosta dziewczyna z kuchni.

Widać, że jegomość uspokoił się już dosyć tą ekspozycją Berka, bo machnąwszy ręką, rzekł:

— Jeżeli tylko innego niebezpieczeństwa niema, to o tém niema co mówić. A gdyby nawet coś tam było między nimi, to przecież żadne z nich nie będzie sądziło, żeby ich to na prawdę do czegoś obowiązywać mogło. I ja byłem młody, i wiem, jak to bywa... Ale cóż więc? Niema już innych lokatorów?

— Tak prawie, jak niema — odparł faktor, pukając trzcina w podłogę;—bo że na pierwszym piętrze mieszka doktor Szot, to przecie o tém musi jegomość wiedzieć!

— Szot... Szot!... nie przypominam sobie — odparł jegomość:

— Jak to? to jegomość go nie zna?—zapytał ciekawie Żydek.

— Widać nie leczy po dworach!—tłumaczył się jegomość.

— No, to prawda, że on po dworach nie leczy, a ja zapomniał o tém. Mu nie się zdawało, że jego każdy człowiek musi znać. Ale on leczy tylko samych ubogich. Aj waj! to człowiek, jak szczere, holenderskie złoto! Na żydowskim przedmieściu znają go wszystkie bachory. Czy we dnie, czy w nocy, to on idzie—pyta tylko, czy biedny?

— To zacny człowiek, ale jakież doktor?



— Jaki doktor?... Dobry doktor, lepszy od innych! Bo to musi pan wiedzieć, że jak zapisze receptę, to nie taki świstek mały, jak pisze doktor Hybell. Jego recepta to taka długa, jak łokieć! Subiekt z apteki ma trzy godziny co robić, bo tam nie jedno jest lekarstwo, ale dziesięć! Jak nie pomoże jedno, to drugie!... A Hybell to zapisuje po jednym, aby do chorego wiele chodził i za to więcej dostał!...

Musiał jegomość zupełnie zgadzać się z wyobrażeniami starego Berka o sztuce lekarskiej, bo nie na to nie odpowiedział, tylko głową poważnie ruszał. Panicz zaś prawdopodobnie musiał już dawno ze „Starego cyrkulu“ umknąć do zielonej kamienicy, gdzie mógł do syta napatrzeć się Sabince, pięciu modniarce i trzem córkami komisarza. Tak przynajmniej wyglądał, stojąc przy oknie i bębniąc po szybie palcami.

— Jest przytém trochę dziwny ten pan doktor Szot—ciągnął dalej Berko;—ale co to do Berka należy!...

— I cóżby to być mogło?—zapytał ciekawie jegomość.

Berko spojrział na panicza, aby uwagę jego zwrócić na siebie, i rzekł:

— Nu, powiadają ludzie, że jak on był tak młody, jak teraz nie przymierzając pan Nanio, to on także miał swoją Sabinę, „marszandes modes“, albo którą z córek komisarza. I powiadają, że jedna z nich tak mu głowę zawróciła, czy czegoś napić się dała, że on odtąd chodzi, jak głupi! A jest to przecież człowiek tak mądry w piśmiech, jakiego ze świecą szukać! A jak zacznie mówić, to jakby kto z książki czytał.

Tylko o téj jego Sabinie, czy tam „marszandes modes“, jak mu wspomnać, to będzie płakał z radości!... Nu, co to komu szkodzi, że on płacze sobie, kiedy on dobry doktor i poczciwy człowiek!

— A przecież brakuje mu jakiegś klepki?

— Aj waj! Albo to niejednemu klepki braknie, a przecież ludzie mu się kłaniają i mówią: „Jaśnie wielmożny pan starosta sędzia...“ i tym podobnie!... A jeżeli komu na sumieniu lub sercu klepki braknie, to wtedy ludzie „sza!“ i także mu się kłaniają!... Aj waj, co to za świat! Cóż temu doktor Szot winien, że, jak był młody i miał się żenić, to panna nie przyszła w to miejsce, gdzie przyjść miała. Cóż to komu szkodzi, że on odtąd przez lat czterdzieści chodzi co roku na to miejsce, aby ją tam znaleźć!... Ja znałem jednego Żyda, co stawiał na loteryę, i wszystko przegrał. Ten Żyd, co sobota chodził i patrzył na każde ciągnięcie, jakie numera wyszły, chociaż już nie stawiał!...

— Masz słusność Berko,—odrzekł jegomość;—każdy z nas ma swoje „ale.“ I ten, co szuka przez lat czterdzieści narzeczonej, i ten, co chodzi patrzeć co sobota na numera, chociaż na loteryę nie stawiał!... Możeby czas pójść na obiad. Nie będę i tak wiele jadł, aby mnie w nocy nie bódl, wiesz, ten wół z węgierskimi rogami!...



V.

**R**eszta dnia zeszła dosyć szczęśliwie. Obiadek był smaczny, furgon zajechał przed „Stary cyrkuł“ i wypróżnił się, a reszty umeblowania dokonał zapobiegliwy Berko. A gdy przed wieczorem rozczulony jegomość zegnał się z synem, był tak w dobrym humorze, jakby najmniejszego złego przeczucia nie miał. Zapomniawszy nawet o wole z węgierskiemi rogami, który go miał tłuc w nocy.

Uczyniwszy tym sposobem zadość ojcowskiemu obowiązkom, rozstał się z synem, polecając mu, aby rad Berka zawsze słuchał, a Berkowi zaraz szepnął na ustroniu, aby czasem, jeśli gwałtowna będzie potrzeba, dał panu Naniowi na rachunek nieco drobnych. Wszystko inne porучzył Berkowi, który w obowiązkach swoich miał również instalowanie kyrepetytora.

Już nad samym wieczorem, gdy skóra tygrysa, dawna puścizna po antenatach, symetrycznie była przed łóżkiem rozciągniona, a para pistoletów i dwa mundsztuki na ścianie, obok siebie wisiały, wymknął się Nanio z pod opieki Berka i na chwilę zajrzał do zielonej kamienicy.

Ale cóż tam za okropne zastał zniszczenie! Sabinka poszła za woźnego, aż gdzieś za Rzeszów! Na miejscu trzech czepków i pięciu szwaczek czarnookich leżały jakieś sztaby żelazne, kłódki i łańcuchy, a komisarza z trzema córkami przeniesiono, aż do trzeciego cyrkułu za to, że wbrew kalendarzowi gospodarskiemu, policzył sobie w jednym roku dyety za dni sześćset dwadzieścia...

Dla Nania były to bardzo bolesne niespodzianki! Tak nagle być оголоconym ze wszystkich marzeń swoich, i wśród ludzi zostać samotnym, jak palma wśród puszczy! A jacyż to ludzie? Zimni, egoiści, gderacze, jak stary Berko, a cóż dopiero pomyśleć o kolegiach, na których obaczy się profesora matematyki z wiecznie rozczochranemi włosami, profesora filozofii z długim, zamyślonym nosem, oraz pana Fujarę, który wykładając historią naturalną, nigdzie z francuzka nie każe wymawiać *g*, tylko tak, jak się pisze!... Gdy o tém wszystkiém Nanio pomyślał, głowa go zabolała, posmutniał jak sum, i z głową spuszczoną udał się napowrót do „Starego cyrkułu“, gdzie wszystko było mu tak obcém, tak pustém!

Ale pierwsze dni minęły jeszcze jako tako. Były pieniądze w kieszeni. Matka i siostry zaszyły mu do bielizny, aby jegomość nie widział, wszystkie swoje nowe talarki i dukaty z Matką Bozką i bez Matki Bozkiej. Było więc czém się rozerwać, a życie kołowe zupełnie inną barwę miało podówczas, niż dzisiaj. Było więcć serca, więcć ciepła i szczerości; a co większa, nie było między młodzieżą owego przesyty, owych angielskich nudów, które dzisiaj stały się istną zarazą.



Pomiędzy kolegami, niemniej też i w towarzystwie korepetytora, który był bardzo zacnym młodzieńcem, zeszedł jakoś cały tydzień; a osierocona zielona kamienica tylko dwa razy śniła mu się w nocy: raz po pierwszej prelekcji matematyki, drugi raz po filozofii.

Dopóki zresztą były talarki i dukaty z Matką Bożką, dopóty jakoś omijały go smutne myśli. Ale talary i dukaty przebrały się prędko; a choć najpierwsze potrzeby życia były z góry przez jegomości zapłacone na cały miesiąc, przecież dobry humor zaczął po odrobinie od chłopca uciekać, a w końcu ulotnił się gdzieś cały, jak kamfora.

Biedny Nanio począł się nudzić. Wiedział on wprawdzie, że korepetytor jego siedzi po całych dniach nad książkami, i że go jakoś to bawi. Ale było to rzeczą bardzo naturalną. Korepetytor był ubogim młodzieńcem, który musiał kawałka chleba dorabiać się gorzką pracą. On zaś tego wcale nie potrzebował, a często nawet, w chwilach najczarniejszej melancholii, nie mógł pojąć nierozumu ojca własnego, który, Bóg raczy wiedzieć po co, sadowi go na ławach szkolnych i po kilka godzin dziennie każe słuchać i uczyć się rzeczy, jakich, ani do ożenienia się, ani do zrobienia fortuny wcale nie potrzeba. Nie mógł więc iść w ślady swego korepetytora i ślęczyć nad książką. Ale przecież wypadło się czems zająć...

Poszedł znów do zielonéj kamienicy, ale tam zastał te same pustki, co i wprzód. Zmęczony i udręczony wrócił do stancyi i zaczął rozmyślać nad nowym planem życia w tym roku szkolnym. Postanowił więc wrócić do rysunków i brać lekcye tańca.

Ale biedny Nanio nie wiedział o łacińskim przy-

słowiu, które powiada: *Homo proponit, Deus disponit*, co na polskie przetłumaczone znaczy:

Czego chce głupi, nie to mu się stanie!  
Tylko to przyjdzie, co Bóg da—mospanie!

Zaraz na samym początku nowy program Nania coś zaczął szwankować. Nakleiwszy bowiem papier na deskę, przekonał się, że na wsi zostawił wzory do rysunków. Zielona kamienica mignęła mu znowu przed oczyma. I pomyślał sobie biedny Nanio:

— Czy kaci skusili starego Berka, że mnie tu osadził, jak na odwachu! Ani jednej przyzwoitej twarzy! A co tylko rozpoczne, wszystko mi się nie szczęści! Krawiec sfuszerował mi długi wiedeński surdut, szewc zrobił ciasne buty, w sieni zraniłem psu nogę i musiałem za to dać pięć reńskich... a to istne nieszczęście! Wszystkiemu temu winien stary Berko, bo widać, że to takie fatalne miejsca!...

Ostatnie myśli swoje wyraził półgłosem, co usłyszawszy korepetytor, rzekł do niego:

— Wspomniałeś mi coś o fatum, ale jak widzę, bierzesz je w niewłaściwém znaczeniu. Fatum starożytnych, to wyrok nieubłaganego losu...

— Nie męcz mnie, proszę cię, twemi prelekcjami—przerwał mu Nanio—dosyć mam tego w szkole.

— Ale bo widzisz mój drogi...

— Mówię ci, daj mi pokój! Kiedy ja myślę o samobójstwie, ty chcesz mi prawić perorę z mitologii!



— O samobójstwie! Bój się Boga! wszak wiesz, że nawet w rzymskim prawie...

— Co mi tam rzymskie prawo! Przedewszystkiem miga mi przed oczyma owa kamienica zielona.

— Aha! I ta Sabinka, do której wszyscy pisaliśmy *elaborata poetica*!

— A tu, mówię ci, musi być jakieś dziecko niechrzczone zakopane! Ludzie uciekają, wszędzie pustki i nie się nie szczęśli! Ot widzisz, złamałem w tej chwili scyzoryk!

— Mogę cię zupełnie uspokoić w tym względzie! Wszyscy, których tu niegdyś zakopywano, byli ludzie ochrzczeni, bo tu był cmentarz katolicki.

— To przynajmniej wisielec jaki tu leży!...

— Ani wisielca niema, bo w onych czasach skrupulatniejsi byli wierni, i wisielców na cmentarzu nie grzebali!

— Patrz, pękło mi uszko od fajki!

— Bo się nudzisz i niecierpliwisz! Zajmij się czémś, a będzie i scyzoryk cały, i fajka cała!

— Dajże mi jaki sposób zajęcia!

— Chcesz rysować, to rysuj!

— Ba, zapomniałem na wsi wzory!

Korepetytor pomyślał chwilę, podgarnął w tył bujną czuprynę, a potem rzekł:

— Już nieraz ci mówiłem, że ja nie lubię sztuki dla sztuki, zabawki dla zabawki! Rysować tylko to, co nauczyciel przed nosem położy, to znaczy bawić się całe życie ołowianami żołnierzami w tej myśli, że się jest tym sposobem także żołnierzem. Umiesz już narysować człowieka w butach i bez butów, wiesz, jak wyglądają palce złożone, a jak się prezentuje pięść

zaciśnięta. Patrz więc na świat, na pojedyncze postacie i na grupy—i rysuj! Nie będą to może bardzo poprawne rysunki, ale będzie myśl twoja własna, będą oryginały, nie kopie. Przy wprawie, dostąpisz i większej doskonałości!

— Ba, to jeszcze nad moje siły. Kompozycyi jeszcze nie rozumiem.

Korepetytor pomyślał chwilę. Wsadził suche palce w czuprynę i wygarnął z niej myśl nową:

— Wiesz co—rzekł z tryumfem — mam dla ciebie myśl genialną! Oba te kurytarze, górny i dolny, były niegdyś pomalowane różnemi scenami z Pisma Świętego i Żywotów Świętych. Dzisiaj tu i ówdzie odpada wapno i odsłania stare malowidła. Nie mówię, żeby to były arcydzieła sztuki. Św. Sebastyan nawet dosyć niezgrabnie przywiązany jest do drzewa, i dziwić się można, dla czego z rąk oprawców się nie wyrwie, kiedy mu to tak łatwo, gdyż powróż nie jest wcale związany! Również i św. Antoni czy Walenty większego cudu dokazał, niżeli się sam spodziewał. Spadający bowiem murarz z rusztowania na jego wezwanie: Stój! tak stanął w powietrzu do góry, że ani fartuch, ani poły nie nachylają się ku ziemi!... Mimo to, są to zawsze pamiątki dawniej sztuki naszej. Odrysuj to wiernie, nic nie poprawiaj ani dodawaj, a będzie to praca użyteczna, bo wyratuje ułamek naszej przeszłości!

Słowa korepetytora zelektryzowały nagle pana Nania. Ze wszystkich przymiotów duszy i serca miał prawdopodobnie pan Nanio najwięcej fantazyi. Już to w to najhojniej wyposażyla nas Opatrzność. Był czas, a nawet i dzisiaj błakali się między nami aposto-



lowie, opowiadając, że wszystko można zrobić dobrą fantazyą!

Otóż ta nieszczęsna fantazyja, zajęła się nagle u Nania silnym płomieniem. Widział już siebie w Rzymie z teką pod pachą, krytykującego Rafaela i Michała Anioła! Tu znowu grzebał w nowo odkrytych Pompejach i wydobywał posągi rzymskie! Rysunki jego podawały wszystkie pisma ilustrowane, tylko nie mógł się jeszcze zdecydować, czy ma rysować popłatne karykatury, czy obrazy świętych! Hogarth i Rafael, to dwie potęgi — potrzeba tylko wybrać!...

Takie i tym podobne myśli skakały Naniowi po mózgu i wyciskały tam ślady głębokie! Nim to jednak wszystko nastąpić miało, postanowił kontentować się kopiowaniem Św. Sebastjana i dyabła z rogami na pulapie „Starego cyrkuła“ mówiąc do siebie, jak dwudziestoletni pułkownik Potocki, który winszującym mu tak wielkiego faworu królewskiego, odpowiedział:

— Trzeba przecież od czegoś zacząć!

Dyabeł z apokaliptycznymi rogami siedział już głęboko w tece Nania, gdy nagle i niespodziewane zdarzenie zatamowało karierę artysty. Wszedłszy bowiem pewnego razu na dolny kurytarz, zaczął się wystającym z za wapna obrazom przypatrywać, chcąc któryś z nich wybrać sobie do najbliższego kopiowania. Ale im dalej się posuwał, tém ciemniejszym był kurytarz. Wreszcie i zmrok już zaczął zapadać na światło, a tu i ówdzie zaczęły już w oknach świeczki się pokazywać.

Nanio był właśnie tego dnia w jakimś niezwykłym usposobieniu. W nocy snił mu się dyabeł z teki i coś mu prawił o zielonej kamienicy. Korepetytor także coś mu dzisiaj nagadał z życia Rafaela, który nieszczęsną czuł skłonność do ładnych oczek męzerek włoskich. Słowem Nanio był rozdrażniony, i marzył na przemian to o dębowym wieńcu Rafaela, to o cudnych oczkach męczarki!

Ciemny, duży kurytarz w „Starym cyrkułe“, to jakby naumyślnie zbudowany do uroczystej kontemplacji! Dzisiaj zaszły już w nim różne zmiany, ale niegdyś służył mnichom do ascetycznych medytacyj.

Nanio czuł wyraźnie, że w półcieniu téj olbrzymiej przestrzeni rosną skrzydła jego fantazyi i unoszą w jakieś piękne, niewidziane dotąd kraje! Czegokolwiek kiedy życzył i o czém marzył, wszystko to wychodziło teraz ku niemu z ciemnych kątów i framug kurytarza, a wszystko było tak dziwne, tak fantastyczne!

Najprzód długim szeregiem przeciągały poważne postacie snów dумы i karyery, a za nimi rozpoczęły powiewne płasy Najady, zakrawające czasami gestem i ubiorem na niewyraźne zarysy bachantek!

Może niegdyś mnich błądzący stał na tym ciemnym kurytarzu i przez duże okno patrzył na obłoki, oświecone światłem księżyca. I może nieraz te obłoki wydawały mu się, jak grona płasających dziewic w szatach powiewnych, których usta słały mu tchnienia miłośne, których oczy wabiły go do siebie z zimnych, wilgotnych murów!... On widział, jak ramionami spleły się w długi łańcuch, jak jaskółki w zimie, i odle-



ciały od niego gdzieś daleko, daleko... na zawsze! A dzwonek klasztorny powołał go w tej chwili do modłów, a nad samotną celą swoją przeczytał zimne słowa: „Umarły jesteś dla świata i jego rozkoszy!...

Nanio nie miał na sobie ani habitu, ani paska św. Franciszka, ani dzwonek klasztorny nie odrywał go od owych uroczych postaci, które z każdego kąta ciemnego kurytarza wychylały się ku niemu, słały mu pocałunki, jak niegdyś Sabinka, to znowu uciekały i chowały się, aby go tym więcej rozdrażnić, témbar dziej do siebie przyciągnąć! Rozogniona jego wyobraźnia oddawała mu dziś wszystko, co tylko kiedykolwiek w nią włożył, czy to z przypadku, czy z nudów. Rozpowszechniona była wówczas pomiędzy młodzieżą literatura niemieckich romansów rycerskich; młoda wyobraźnia pożerała je całemi tuzinami, i w bezsennych nocach karmiła się tą strawą niezdrową.

I Nanie nosił w głowie kilkanaście tomów tej literatury, a w półcieniu klasztornego kurytarza ożywiły się w jego wyobraźni wszystkie rozdziały, które kiedykolwiek bodaj z nudów przeczytał. Rycerze i księżniczki wyszły mu w pełnym orszaku z pod włosów i zaczęły przechadzać się po szerokich halach klasztoru. Turnieje i biesiady nastąpiły po kolei, a zwycięzca szczyił się łaską swojej królowej, za którą porywał się na ostre!... Tam znowu pośród ciemności wyrasta z gruzów wieża samotna, a zamknięta w niej Aldona płacze w samotniczym więzieniu swoim! Ję ramiona są tak białe, jak puch łabędzi, a piers ję podnosi się falą westchnień, jak ciche, przejrzyste jezioro, gdy wietrzyk południowy wody jego rozruszał!... Usta ję na pół otwarte, spragnione, wyglądają, jak kielich

kwiatu, który do nieba szle niemą prośbę o jeden promień słońca, o jedną kroplę rosy!...

Nanio szedł za tém widmem wyobraźni swojej, i posuwał się coraz dalej w głąb ciemnego kurytarza. A widmo oddalało się od niego, choć ustawicznie siłą niewidomą pociągało go za sobą!...

Nanio szedł coraz dalej i byłby w przepaść skończył, gdyby ją nagle ujrzał przed sobą, byle iść tylko za tą wieżą zakłęta, z kądem mu migały te białe ramiona, ta pierś falą uczucia wzdęta, te usta na pół otwarte, spragnione!...

I zdawało się Naniowi, że już jest blisko wieży zakłętą, że owe ramiona białe... gdy nagle uderzył czołem... zapewne o most zwodzony, prowadzący do wieży!

Uderzenie nie było zbyt silne, i Nanio nie stracił zaraz przytomności. Przeciwnie pomogło mu ono do odzyskania nadszarpniętego już nieco panowania nad sobą. Z gorączkowych marzeń swoich otrząsnął się wprawdzie, ale za to wieża, białe ramiona i usta na pół otwarte, spragnione... wszystko zniknęło mu z przed oczu; a natomiast po bliższym rozpatrzeniu się, obaczył przed sobą róg zagłębionej jakiejś fraugi.

Zrazu cofnął się prędko o kilka kroków, bo zdawało mu się, że stanął na wejściu do piwnicy. Ale wpatrując się bliżej w zaciemioną przestrzeń, spostrzegł, że tam, gdzieś na dnie, miga mu jakieś błędne światelko.



Stał chwilę niepewny, co ma dalej począć. Wprawdzie pierwsza myśl kierowała go gwałtem do odwrotu, a nawet zdawało mu się, że go ktoś za kołnierz ciągnie. Obejrzał się na wszystkie strony, nikogo w koło niego nie było.

Spojrzał znowu w głąb ciemnej framugi, znów mignął mu przed oczyma cienki pasek światła. Wstrzymał oddech, aby uchem uchwycić to, czego oko dojrzyć nie mogło. Wszędzie było głucho i cicho!

Pomyślał sobie o korepetytorze, i słyszał już na-przód serdeczny uśmiech jego, gdy mu o swoim zdarzeniu opowie. Zebrał więc całą odwagę i już chciał drapnąć na górę... ale coś go przykuło nagle do podłogi. Od framugi nie mógł się oddalić, ani kroku, a do framugi ciągnęło go coś, jakby jaki magnes olbrzymi.

Bądź co bądź, postanowił zbliżyć się do tego cienkiego paska światła, chociażby to były jakieś figle podziemnego jegomości, którego właśnie wczoraj w zmniejszonym formacie z pułapu kurytarza przemiósł do teki.

Postąpiwszy dwa kroki naprzód, spostrzegł, że ma przed sobą jakieś grube, żelazem okute drzwi dębowe, podobne więcej do furty więzienia, niżeli do przyjaznych podwoi pomieszczeń ludzkich. Błysnęła mu znowu zakłeta wieża i uwięziona księżniczka o białych ramionach... Ale w tej samej chwili ozwał się głos słodki, głos kobiecy!... Śpiewała nadzwyczaj prostą, lecz za serce chwytającą melodią:

Gdyby to jakim trafunkiem,  
On mnie teraz taką zoczył—  
Pewnie w lotby do mnie skoczył,  
Zamknął usta—pocałunkiem...

Jabym wzajem rączką białą  
Przytuliła go do siebie,—  
I tak jedną chwilkę małą  
Bylibyśmy razem w niebie!...

Ostatnie wiersze powtórzyły się kilka razy a piękny sympatyczny głosik stawał się coraz cichszym. Wyraźnie można było słyszeć, że śpiewaczka niewidzialna bawi się i pieści tą piosenką, jak dziecię cackiem.

Nanio stał, jak odurzony. Żaden głos kobiecy dotąd nie zrobił na nim takiego wrażenia. Tylko we śnie mówiła czasem do niego takim głosem Sabinka. Coś anielskiego drżało w tym głosie, ale i ziemia wplotła tam swoje kwiateczki, jakimi żaden człowiek nie zwykł pogardzać...

I któżby to był taki? Miałaby to istotnie być jaka zakłeta księżniczka, trzymana przez srogiego tyrana za dębowymi drzwiami? Albo może to były złudzenia rozognionej wyobraźni? Może wiatr wieczorny zabrzęczał o potłuczone szyby kurytarza, a jemu zdawało się, że słyszy pieśń miłosną, że słyszy to, czego w tej chwili pragnęło serce jego? A może duchy pomarłych mnichów spuścili się po promieniu księżyca, i jeden z nich zanócił piosenkę na temat, do którego długie lata tęskniła gorąca dusza jego?... Mógłby także ów jegomość z apokaliptycznymi rogami płatać figle, jak to się wydarzało świętym pustelnikom, których w najrozmaitszy sposób kusił niecnota!... Ale to przecież stać się nie mogło! Już od kilku wieków trzyma go św. Michał na łańcuchul...

Bądź co bądź, Nanio nie mógł należycie tego wszystkiego sobie wytłumaczyć; w tém tylko zgodził się



się z sobą, że potrzeba koniecznie wejść w głąb framugi i do cienkiej szpary światła oko przyłożyć.

Jak pomyślał, tak też uczynił. Ale cóż on to zobaczył!...

Była jakaś izba duża. Nie widział żadnych sprzętów, ani mebli, bo szpara we drzwiach pozwalała mu tylko sam próżny środek izby zobaczyć, a dalej ku ścianom było tak ciemno, że nic nie można było rozpoznać.

Ale na tém tle, tak artystycznie zacienioném, cóż to nagle zobaczył Nanio! Była to smukła postać kobiety. Stała w samym środku izby i wpinała do jasnych warkoczy jakieś błękitne kwiatki. Suknię miała białą, głęboko wyciętą. Liljowe ramiona świeciły, jak miękki puch łabędzi, a rączki były tak drobne i tak zgrabnie utoczone, jakby wprost wzięte od medycejskiej Wenery... Tam, gdzieś pod ścianą, stała świeca, a koło niej było zapewne zwierciadło, bo wszystkie ruchy téj kobiety wskazywały, że patrzy w zwierciadło.

Przypinając kwiatek koło prawego ucha, zwróciła się twarzą ku drzwiom. Nanio omal w samą rzecz ze skóry na wyskoczył. Ta twarz była tak piękna, tak zachwycająca! Nie było tam greckiego profilu, ani idealnych podłużnych rysów Rafaela, ale było coś w sposobie Murilla, coś gorącego, jak kwiaty w drugiej połowie lipca... Przy jasnych włosach odbijało oko ciemnawe, a nosek dowcipnie trochę do góry podniesiony, znamionował coś nader pieśzczotliwego z lekkim kaprysikiem.

Cierpienia, boleści nie było na téj twarzy, jak to sobie Nanio wyobrażał księżniczkę z zaklętą wieżą.

Przeciwnie, szczęście i wewnętrzne zadowolenie rozlewały się po téj promieniejącej twarzyczce, a ciemne oczki tak jasnym błyszczwały światłem, jakby nie od świecy, ale od nich było tak widno!

Przypiąwszy kwiatek, zwróciła się znowu do zwierciadła, uśmiechnęła się wdzięcznie, a wzięwszy suknię, jak tanecznicza w obie ręce, poszła robić gesta przyzwolenia i nuciła sobie znowu tę samą piosenkę:

Gdyby to jakim trafunkiem  
On mnie dzisiaj tak zoczył...

Nanio myślał z razu, że widzi artystkę, która przed zwierciadłem uczy się roli. Przypomniawszy sobie jednak, że w mieście niema żadnej trupy aktorów. Potem wpadło mu coś innego do głowy, i to mocno go zasmuciło.

Zdawało mu się, że jakiś bogaty sybaryta trzyma zapewne na uwięzi tego złotego ptaszka i przed światem go ukrywa. Okropnie! zatarasował za nim drzwi dębowe i zamknął niezawodnie na trzy kłódki!... Albo może okropniejsza jeszcze jakaś tajemnica ukrywa się w téj celi klasztornej! Może jakiś ojciec wyrodney zamknął tu własne dziecko, a może matka... ale nie, żadna matka nie mogłaby odepchnąć od swego serca takiej istoty, jaką on widział przez tę wąską szparę!... Ale zawsze musi być jakaś tajemnica. I to tajemnica nader ciekawa!... Bo zkadże w tém wilgotnym podziemi wzięłaby się kobieta w kwiecie wiosny, skazana na uwięzienie?...

Nanio stał i rozmyślał nad tém wszystkiém, co mu rozogniona fantazyja przed oczy naniosła. Bądź co bądź, Nanio poczuł się do obowiązku zerwać śmiałą



ręką zasłoną okropnej tajemnicy, wyrwać nieszczęśliwą z więzów tyrana i oddać jej własnej woli, jej własnym marzeniom! Rozumie się samo przez się, że oswobodzona kobieta nie mogłaby nikogo innego wybrać za przedmiot samotnych piosenek swoich, tylko tego, który ją oswobodził!...

Tak myślał Nanio, i przyłożył drugie oko do wąskiej szpary. Czarodziejka tymczasem zmieniła postawę. Wzięła się pod boki, i z dumą na czole patrzyła poprzód siebie, jakby korzącego się jakiegoś natrętnika chciała ukarać wzrokiem. I znów usłyszał piosenkę tej samej melodyi, ale słowa były inne. Śpiewała:

Wczoraj oczy me widziały,  
Jak zdradzałeś mię!  
Precz mi z oczu—precz, niestały,  
Już nie kocham cię!

Powtórzywszy ostatni wiersz kilka razy, odwróciła się od niestałego kochanka, i z dumą obrażonej królowej przeszła się kilka razy po ciemnej izbie. Chód jej był tak szlachetny, tak wyniosły! Nanio przypomniał sobie, że raz tylko, i to w teatrze, widział tak chodzącą kobietę, a była nią Marya Stuart w trzecim akcie! I nie miał czasu dłużej nad podobieństwem swój czarodziejki do nieszczęśliwej królowej rozmyślać, bo czarodziejka zmieniła znów nagle gesta. Podniosła ręce do góry, a zakrywając niemi piękne oczy, śpiewała dalej, ale na pół z łkaniem:

Choć do ciebie duch się zrywa,  
Choć o tobie śnię—  
O ja biedna, nieszczęśliwa,  
Już nie kocham cię!...

— Do stu katów!—mruknął do siebie Nanio—miałaby w samej rzeczy być koło niej niewierny kochanek?... Jabym go zaraz...

Uznał jednak za stosowne, powstrzymać się w szlachetnym gniewie. Przypomniawszy sobie, że profesor historii powiedział niedawno z katedry, iż czas wielkich czynów już minął, a wszystko odtąd ma rozwiązywać spokojny przebieg rzeczy, spokojny rozwój wypadków. Jak szyszka na sośnie, albo arbuz na zagonie nie wystrzeli od razu, tylko z małego zawiązku rośnie i rośnie, póki w owoc nie dojrzeje, tak i Nanio postanowił nie wylaamywać w tej chwili drzwi dębowych i nie broczyć we krwi białych swych rącek, ale zostawić całą rzecz spokojnemu rozwojowi, podobnie jak dyplomaci najzawilsze kwestye zostawiają naturalnemu przebiegowi rzeczy.

Nanio więc cofnął się od szpary kilka kroków i zajął stanowisko wyczekujące. Nie dla tego, żeby się walki o uwięzioną swoją królową obawiał. Pierwszym bowiem warunkiem walki jest, aby wiedzieć, z kąd nieprzyjaciół napadnie. A mógł on albo być w mieszkaniu przy czarodziejce, albo dopiero długim, ciemnym kurytarzem dążyć do niej. Przedwczesny więc atak mógł bardzo szkodliwie wpłynąć na dalszą kampanię.

Należało tedy obrać sobie stanowisko przestronne i czekać nieprzyjaciela. Jeżeli jest wewnątrz, to przecież wyjść musi, a jeśli go tam niema, to przyjdzie.

Ułożywszy sobie taki plan w głowie, stanął we framudze drugiego okna. Światło księżyca oświecało wprawdzie szyby okna, ale na szybach było tyle pokładów kurzu i śladów słoty, że promienie jego nie



przedzierały się wcale do kurytarza, tylko zawisły na szkłe w kształtach dziwnie fantastycznych.

Nanio zaczął się przypatrywać tym kształtom i tworzył z nich najrozmaitsze rzeczy. Tu sterczała wśród gruzów olbrzymia wieża z uwięzioną Aldoną; tam widać było białe ramiona, usta różowe, z pragnienia na pół otwarte; na drugiej szybie leżały łańcuchy, kajdany i jakieś straszne narzędzia tortur środoniecznych... W tém nagle dały się słyszeć jakieś kroki.

Kroki były równe, odmierzone. Widocznie zbliżał się nieprzyjaciel. Nanio wcisnął się cały w zagłębienie okna i w téj pozycji czekał niegodziwca.

Kurytarz jednak był długi, więc starczyło czasu pomyśleć o nadchodzącym nieprzyjacielu. Naprzód chcąc należycie ocenić niebezpieczeństwo, które nam zagraża, staramy się przedewszystkiém powziąć o niém wyobrażenie. Otóż Nanio przypomniał sobie, że z chodu można poznać człowieka. Nadstawił więc ucha i pilnie przysłuchiwał się krokom.

Trudno osądzić, czy to ciemność kurytarza, czy akustyczna jego budowa, czy może przestrasz lub roznogniona wyobraźnia, a prawdopodobnie to wszystko razem takie wywarło wrażenie na chciwym walki Naniu, że w tych krokach równych i odmierzonych przeczuwał silnego i odważnego nieprzyjaciela. Każdy bowiem krok był pewny i znamionował nieugiętą wolę i nieprzepartą ufność w sobie. Zdawało się Naniowi, że gdyby temu człowiekowi niespodzianie, jaka ściana

w drodze stanęła, przebiłby mur głową, wbrew polskiemu przysłowiu.

Wobec tak przeważnego nieprzyjaciela uznał Nanio za stosowne posunąć się w tył o jedno okno i dalej bezpieczniejszego szukać oparcia. Ale w téj chwili zasłyszal, że oprócz kroków posuwającego się nieprzyjaciela, jeszcze coś stukało po kamiennéj posadzce. Był to niezawodnie kij sękaty, a sądząc z wagi, z jaką ku ziemi się spuszczał, musiał być potężnie gruby.

Jednocześnie dochodziły jeszcze do jego uszu jakieś słowa i tony pojedyncze, które nieprzyjaciel z siebie wydawał, wybijając sobie takt kijem. Wszystko to było straszne, okropne!

Słowa były coraz wyraźniejsze i tony wiązały się w jakąś melodyą. Nanio wstrzymywał oddech i wytężył ucho, aby się przecieź czegoś o zbliżającym nieprzyjacielu dowiedzieć. I w saméj rzeczy, nieznajomy dosyć wyraźnie zaczął sobis nócić:

...San Domingo, Sammosierra—  
Nikt dziś na mnie nie spoziera!  
Bo dziś na mnie same łaty,—  
Kule, bomby i granaty!...

Ostatni wiersz zakrawał więcéj na przekleństwo żołnierskie. Więc téż wygłoszony był już bez melodyi, i to z takiém towarzyszeniem okutego kija, że Nanio uznał za rzecz konieczną utrzymać na dłuższy czas zwoje *incognito* we framudze okna.

Tymczasem śpiewak Sammosierry, powtórzywszy jeszcze kilka razy tę zwrotkę, zbliżył się do owych drzwi dębowych, za któremi uwięziona była czarodziej-



ka. Drzwi wprawdzie były zamknięte, ale na dany znak przybysza otworzyły się natychmiast, a jasna struga światła padła na kurytarz. Po chwili usłyszał Nanio wyraźnie, że jakiś ogromny, zardzewiały rygiel zawalił znowu te drzwi tajemnicze.

Krótko namyślał się Nanio. Niebezpieczeństwo przeminęło, a strategicznie obmyślana kampania mogła się rychło rozpocząć. Rygiel zasłaniał go od niespodziewanego napadu, a wiecznie otwarta brama „Starego cyrkułu“ pozwalała wykonać odwrót, jak najspieszniejszy. Zbliżył się więc ostrożnie do drzwi dębowych i przyłożył oko do znanej szpary.

W izbie jednak i tym razem nie mógł wiele zobaczyć. Nowy przybysz usunął się gdzieś na bok, a czarodziejka w białej sukience stała sama na środku izby i była jakoś zafrasowana. Na prędko zarzuciła ciemne okrycie na białe ramiona.

— Już znowu w téj sukience?—ozwał się przybysz, a Naniowi zdawało się, że słyszy szorstki głos tyrana.

— Jutro znowu ją sobie wyprasuję — odparła czarodziejka tym samym sympatycznym głosikiem.

— Jutro, jutro...—mrucał przybysz — kto wie, czy jutro!... Jutro może nie będzie ognia w domu!

Czarodziejka nie na to nie odpowiedziała. Może być, że westchnęła, że dwie łzy błysnęły w jej ciemnych oczach—ale Nanio nie mógł tego ani widzieć, ani słyszeć. Ale musiało coś podobnego nastąpić, bo przybysz zmiękł jakoś i głosem zmienionym ozwał się:

— Cóż, dziecię moje, snucisz się! Czyż dzisiaj dopiero wiesz o tém, żeśmy biedni?

Rzekłszy to, przeszedł się kilka razy po izbie i znowu nocił sobie:

San Domingo, Sommesierra,—

Nikt dziś na mnie nie spoziera! etc.

A zakończywszy śpiew swój bombami i granatami, uderzył kijem w podłogę, aż szyby zabrzęczały i krzyknął:

— Do kroć stotysięcy milionów beczek... Chciałbym tam wszystkich tych dzisiejszych, wygolonych jegomościów widzieć! Tam pod Sommosierrą! Jakby to oni tam wyglądali! ha, ha, ha!... A oni dzisiaj chodzą z nosem zadartym i śmieją się z biednego Kordysza!... *Morble!*...

Mówiąc to, stanął na wprost szpary. Nanio mógł go teraz wybornie widzieć.

Była to postać nadzwyczaj imponująca. Wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna, mógł mieć lat około sześćdziesięciu. Barki jego były wprawdzie już pochylone, nogi w kolanach wygięte okazywały, że długie lata był jego towarzyszem. Miał na sobie starą kurtę ulańską i szerokie skórzane rajtuzy. Twary nie było widać. Ale zdawało się Naniowi, że była podłużną, gładko ogoloną, tylko długie wąsy sterczały aż po za uszy!—W rękę trzymał ogromny kij sękaty, podniesiony do góry.

— O chciałbym ja ich tam widzieć! *Morble!* tych freyków, co to wyglądają, jak lalki za oknem u perukarza!...

— A cóż oni tatuniowi zrobili?

— Nic mi nie zrobili, ale nie są tacy, jakimi my byli! *Morble!*



Stary ułan przeszedł się znowu kilka razy po izdebce, nócąc pod nosem ulubioną piosenkę. Nagle zatrzymał się i rzekł:

— Dziecię moje, ty mnie pytasz, dla czego ja tych ludzi nie lubię?... Powiedz mi, cóżeś robiła, gdy mnie w domu nie było?

Czarodziejka w białej sukience chwyciła ojca za rękę i rzekła z przymileniem:

— Wszak wiesz tatuńciu, co robię, gdy ciebie w domu niema. Oto biorę na siebie tę jedyną moję białą sukienkę, a włosy, to tak sobie ustroję, jakbym na bal iść miała. A gdy już wszystko skończę, wtedy stoję przed zwierciadłem i wyobrażam sobie, że jestem w licznie towarzystwie. Rozmawiam z tém towarzystwem, daję zapytania, odpowiadam, a czasem nawet gniewam się!...

— Gniewasz się?... A dzisiaj gniewałaś się? Na kogo?

— Dzisiaj—jąkała czarodziejka—dzisiaj... było się nawet bardzo za co gniewać!... Michaś był niestały!...

— Michaś?... *Morble!* Co za Michaś?

— Michaś... który przedtém mówił, że mnie kocha!...

— Michaś mówił ci, że cię kocha!—krzyknął stary ułan.—Co to jest, *Morble!* Gdzie jest ten Michaś! Ja mu tu grzbiet wygarbuję...

Mówiąc to, stary ułan zakręcił kijem w koło, aż powietrze świstało. Czarodziejka rzuciła mu się do nóg i zawołała z płaczem:

— Tatuńcio, drogi tatuńcio! Michaś nie nie wien! Daruj mu!... On się... poprawił!...

— Nie, *morble!* nie z tego! Zbiję na kwaśne jabłko! On poważył się zasmucić moje dziecko! *Morble!*...

I wywijając kijem, zmierzał stary ułan do jakiegoś zaciemionego kąta, aby wiarołomcę należycie ukarać. Córka wlokła się za nim po ziemi.

— Gdzie on jest, ten zdrajca?—krzyknął rozszonony ojciec.—Gdzie on?

— Jego tu niema!—zawołała w trwodze czarodziejka i zatrzymała się na środku izby.

— Uciekł już zdrajca!

— Nie, tatuńcio, nie uciekał!

— No?... co to jest, *morble!* Co ty mówisz?

— Jego tutaj nie było!

— Nie było? jakto nie było? Wszak masz łzy w oczach!

Dziewczyna chwyciła ojca za rękę i wycisnęła na nią gorący pocałunek. Potém przymilając się, jak koteczka, rzekła:

— Niech się tatuńcio na Michasia nie gniewa, bo Michasia tutaj nie było. Ja sobie tak tylko wyobrażałam to wszystko...

— Ach, tak!—zawołał stary ułan, i spuścił kij do ziemi.—To ty moje dziecię, naspraszalaś sobie gości rozmaitych, a między nimi był także i wiarołomny Michaś!...

— A był, kochany tatuńcio, i był jeszcze taki niezdolny! Musiałam mu nawet zaśpiewać piosenkę, co to pan Szot mnie nauczył.

— Powiedźże mi, moje dziecię—ozwał się po niej jakiś milczący stary ułan,—powiedz mi, czy ten Michaś często do ciebie przychodzi?



— O, już od kilku dni, kochany tatuńcio—odpowiedziała z całą szczerością czarodziejka.

Stary ułan na to nic nie odpowiedział, tylko zamyslił się. Stał oparty na kiju sękatym. Długo tak dumał, kręcił głową to w prawo to w lewo, wreszcie rzekł:

— Z Michasia, moje dziecię, nie jestem bardzo kontent. Wolałbym, żebyś innych ludzi spraszała do siebie i z nimi rozmawiała, albo śpiewała, jak ci się podoba.

Córka poddała się woli ojca, ale spuszczonej jej główka z błękitnym kwiatkiem okazywała, że jej żal było biednego Michasia. Stary ułan chodził także zamysłony po izbie, zerkając z kąta w kąt, czy też rzeczywiście nie siedzi, gdzie zdrajca ukryty. Wreszcie stanął przed córką, a wzięwszy ją pod brodkę, rzekł do niej:

— Nie smuć się, moja rybko, Michaś może przyjść jutro... tylko ostrożnie!

Córka ucałowała serdecznie rękę ojca.

— Wiedziałam—rzekła,—że tatuńcio nie będzie taki okrutny!

Stary ułan wpatrzył się w córkę, a lzy błyszczały mu w oczach. Na twarzy jego malowało się rozczewnienie. Odgarnął złote loczki z jej czoła i pocałował.

— Złote dziecię! Ja ci nie bronię, gdy jesteś samotną, napełnić tę biedną izbę najliczniejszemu towarzystwem. Może być między niemi i Michaś... Ale zważ moje dziecię. Jesteś młodą i każdy rad na ciebie patrzy. Mogłabyś być między ludźmi, a ludzie możeby cię kochali. Ty jednak zamykasz się sama

w tej izdebce, i bawisz się, jak dzieci się bawią, wyobrażając sobie, że mają wokoło siebie towarzyszy. Ja ci tego nie wzbraniam, a czemuż ty wzbraniasz mi mojej zabawki?...

— A czegoż to ja wzbraniam tatuńciowi?—zapytała córka, całując rękę ojca.

— Jaktó, nie wzbraniasz mi?... Widzisz moje dziecię, jam stary! Moi towarzysze już dawno gdzieś pomarli! Groby ich są po wszystkich czterech częściach świata!... A dzisiejsi ludzie nie znają mię i patrzą na mnie ot, jak na starego żebraka!... I cóż dziwnego, jeśli w osamotnieniu mojem zadumam się, i w duchu zwołam wokoło siebie towarzyszy z pod Sommosierry, z San Dominga!... Tam mój rotmistrz już się do mnie uśmiecha... stary rotmistrz pyta mnie o parol... i wszyscy znajomi... cały pluton wita starego Kordysza!... *Morble!*...

Stary ułan zaczął wymawiać najrozmaitsze, niby francuzkie słowa, a przytém, tak zacięcie machał sękatym kijem w powietrzu, i tak jakoś dziwnie zmierzzał zawsze ku szparze we drzwiach, że Nanio uznał znowu za stosowne, cofnąć się na swoje obronne stanowisko.

Wprawdzie rzecz mu się już nieco wyjaśniła, ale tyle nowych zagadek ztąd się wywinęło, że biedny Nanio nie mógł mimo bardzo ważnych powodów, ostać się długo na swoim obronnym stanowisku. Zbliżył się więc znowu do drzwi i znowu oko do szpary przyłożył.

Ułan nie machał już kijem, nie było więc niebezpieczeństwa. Siedział teraz na stołku, ale zawsze trzymał jeszcze w ręku kij sękaty. Głowę pochylił na



kolana i mocno się zadumał. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

— Tak moje dziecko! Kordysz dziś między żyjącymi nie ma towarzyszków! A ci, którzy go widzą, jak idzie przez ulicę i do dawnych kolegów przemawia, śmieją się z biednego Kordysza, zwąc go waryatem!... A inni znowu... ale nie. *Morble!* ktoby się ważył, temu czaszkę na miazgę roztrzaskam!

I znowu porwał się ze stołka i puścił kij młyńca po nad głowę. Ale nagle upadł kij z łoskotem na ziemię. Twarz ułana zbladła, jakby się czego przestraszył. Stał tak chwilę na środku i trwożliwie oglądał się w koło.

Wreszcie z wyrazem rozczerwienia spojrzął na córkę i zawołał głosem błagalnym:

— Na mnie już czas moje dziecię! Dzisiaj muszę go zabić!

Rzekłszy to, poszedł w ciemny kąt izby. Skrzyknięcie klamki okazało, że tam były drzwi, które otworzył i zamknął za sobą.

A dziewczyna uklękła na środku izby i złożyła ręce do modliwy.

## VI.

Nanio nie był przygotowany na taką tragedję. Odstąpił od drzwi, i wolnym krokiem poszedł na pierwsze piętro do własnego mieszkania. Ale za nim posuwała się zwolna klęcząca dziewczica i stary ułan, w którego twarzy widoczne były jakieś zamiary zbrodnicze.

Na górze zastał korepetytora, siedzącego nad książką. Jakoś swobodniej odetchnął. Pokój był jasno oświecony i nie miał wcale ciemnych kątów, jak to widział na dolnym kurytarzu. Wszystkie sprzęty i meble były mu dobrze znane. Usiadł na sofie i począł w głowie zbierać i porządkować wszystko, co dzisiaj był widział i słyszał.

W pierwszej chwili chciał to wszystko korepetytorowi opowiedzieć. Ale gdy szukał właściwego wstępu, okazało się, że mu brak wyrazów, aby to wszystko tak oddać, jak to w jego wyobraźni się malowało. Zresztą są rzeczy, których nie radzi drugim udzielać. Butelka szampana, raz odetkana, musi być zaraz do dna wypróżniona. Ale odetkać i dać z niej przyjacielowi trochę pokosztować, a resztę na późniejszy



użytek dla siebie zatrzymać, znaczy tyle, co zepsuć wszystko wino. I tak też myślał sobie Nanio. Odkrył on dzisiaj rzecz nader ważną. Naprzód postrzegł, że w tym samym budynku, co i on, mieszka precudnej urody istota, która nie tylko całą jego wyobraźnię, ale i serce wzięła w długie, bodaj czy nie wieczyste posiadanie! Wszystko to, co widział i słyszał, było tak dziwne, tak daleko po nad powszedniość wybiegające, a przytém tak ponętne i ciekawe!... Owa dziewczyna o jasnych włosach, z błękitnym kwiatkiem za uchem, była daleko piękniejsza od Sabinki, a nawet obok niej okryły się cieniem modniarki i córki komisarza. Coś nadziemskiego było w tej białej i powiewnej sukience, a w tym anielskim głosiku drżało tyle pieśczęt i rozkoszy!... Biedny Nanio odchodził od zmysłów, gdy pomyślał sobie, że jej biała rączka dotyka się jego ramienia, że jej usta różowe na pół rozwarłe...

Jakże to o tém wszystkiém powiedzieć korepetytorowi, który siedzi nad logarytmami i na czarnej łupkowej tabliczce kreśli najrozmaitsze cyfry i figury?... Wprawdzie, kiedy niekiedy przeleci jakiś uśmiech ironiczny po jego wybladłej twarzy, jakby przeczuwał, co się dzieje w duszy Nania; ale może to tylko tak się wydaje biednemu Naniowi?...

Dosyć, że Nanio milczał i korepetytor milczał, i jeden do drugiego ani słowa nie przemówił. Miał tedy czas Nanio do rozmyślenia nad tém, co w tajemniczej izdebce widział i słyszał. A gdy serce jego, rozognione widokiem tajemniczej czarodziejki, nieco się uspokoiło, wystąpił mu nagle przed oczyma stary ułan, w całej grozie, z kijem sękatym i lokciowemi wąsami! Osobliwie zagadkowe były ostatnie jego sło-

wał... Chciał kogoś zabić!... A może w tej chwili ostatnie jęki wydaje z siebie nieszczęśliwa ofiara!...

Nanio zerwał się z sofy i wybiegł na kurytarz. Wyteżył ucho, czy nie usłyszy jęków konającego... ale cicho i głucho było wszędzie! Wiatr brzęczy tylko w potłuczone szyby kurytarza.

Zeszedł na dół i pilnie nadśluchował. Ale i tam nic szczególnego nie słyszał. Słyszał tylko było piłę stolarza i pilnik ślusarza. A zresztą wszędzie głucho i cicho... Przeszedł cały dolny kurytarz, stanął chwilę pod dębowymi drzwiami, a nawet odważył się oko do szpary przyłożyć, ale w izbie było ciemno i głucho. Żadnego szelestu, żadnego jęku nie usłyszał!...

Krocząc zwolna przez schody, wrócił na pierwsze piętro. Schody i kurytarz były ciemne, bo na pierwszym piętrze nie było okna. Nanio szedł zwolna i wyciągnął naprzód ręce, aby się o mur nie uderzyć. W tej chwili zaszeleściło coś koło niego... i zdawało mu się, że wśród ciemności widzi coś na kształt białej sukni... Wreszcie owiała go szczególna atmosfera, jakby woń zroszonych kwiatów na łące, jakby pierwszy wietrzyk jutrzeński, który sennym ziołom na górach wykradł pierwszy zapach i po dolinie rozniósł!... Nanio otworzył ramiona i uczuł... że ujął jakąś wiotką postać i do piersi przycisnął!...

Była to chwila krótka, ale w tej chwili zaszło coś takiego w sercu Nania, co mu przypominało ową piosnkę o niebie!... Postać biała wywinęła się szybko i zrećcznie z nieprzewidzanych więzów, w których chwilę była spokojną, jakby ją to nagle odurzyło. Ale wywinąwszy się raz, puściła się jak strzała na dół, i w jednym okamgnieniu zniknęła.



Nanio stał długo na schodach, bo zdawało mu się, że czuje jeszcze ciągle na piersi przyspieszone bicie serca owój białej postaci...

I byłby może w słodkiem upojeniu stał tak noc całą, gdyby w tej chwili nie za błysło nagle światło na kurytarzu. Wolnym, odmierzonym krokiem szedł ku niemu doktor Szot, trzymając w jednej ręce zapalony stoczek, a w drugiej jakieś medykamenty i narzędzia chirurgiczne. Peruka jego i frak ceglasy z wysokim, wywijanym kołnierzem wyglądały tak dziwnie, tak tajemniczo! A był tak zamyślony i w takie gęste fałdy zwinął wysokie swe czoło, że stojącego na schodach wcale nie spostrzegł i mimo niego przeszedł.

Korzystając z tego Nanio, wrócił niepostrzeżony do korepetytora.

Po tym, co na schodach zaszło, był Nanio na długi czas stracony dla matematyki, historii i filozofii. Położywszy się na sofie, z dziwną boleścią patrzył na korepetytora, który ciągle pisał liczby na tabliczce łupkowej. Serce jego jeszcze się nie uspokoiło, jeszcze czuł gorączkowe, przyspieszone bicie drugiego serca...

Długo tak leżał na sofie, z utkwionymi w sufit oczyma. Na suficie bowiem malowały się w tej chwili przeróżne rzeczy. Była tam biała, wiotka postać, był stary ułan z kijem sękatym, były schody i kurytarz ciemny, a w końcu wylazł powoli po ścianach ów jegomość z rogami apokaliptycznymi... uśmiechał się do niego i palił fajkę z takim zadowoleniem, jakby coś bardzo dobrego był zrobił.

Zerwał się Nanio i rzekł do korepetytora:

— Kochany Wojciechu, czy skończyłeś rozprawę z logarytmami?... Chciałbym kilka słów z tobą pomówić.

— Zawsze mam czas do rozmowy z tobą, kochany Nanio,—odparł korepetytor z ironicznym uśmiechem na bladłej twarzy.

— Widzę jednak, że niełatwo mię zrozumiesz!—podchwycił szybko Nanio;—jesteś zanadto matematykiem w tej chwili.

— A kiedyż matematyka komu przeszkadzała?... Przeciwnie, utwierdza ona nas w tym, co wyobraźnią odgadujemy! Tylko słabym głowom matematyka zawadza, równie, jak każda nauka. A mianowicie między naszymi kolegami zagnieżdża się to wygodne dla nich mniemanie, jakoby poważne nauki zacierały wyższe poloty umysłu i gasiły iskry poetyczne!

— Ale przecież mój drogi...

— Poeta Malczewski był znakomitym matematykiem.

— Mówisz, jak profesor z katedry, a ja chciałem o czym innym z tobą pomówić.

— Więc słucham.

Ta krótka forma zdecydowania się korepetytora wprowadziła Nania w kłopot niemały. Zkądże i jakże tu zacząć? Rozumie się, że o przyspieszonym biciu serca na schodach tym razem zupełnie zamilczeć wypada. Podgarnawszy więc włosy, rzekł:

— Mój Wojciechu, czy ty sądzisz, że w życiu zwyczajnym... że np. w najzwyczajniejszej jakiejś izdebce może być coś nadzwyczajnego?...

I utkwiał duże, piwne oczy w bladą twarz kore-



petytora, po której widać się w tej chwili uśmiech ironiczny. Ale snadź uśmiech ten należał już do jego twarzy. Jedni rodzą się z tym uśmiechem; u drugich jest to cierpki owoc życia, doświadczenia, rozczarowań.

— Bardzo rad jestem z tego zapytania—odparł zagadniony,—bo już nieraz spostrzegłem, że ty szukasz nadzwyczajności tam, gdzie jej niema. Aby coś było u ciebie nadzwyczajnego, potrzeba zewnętrznych błyskotek, bengalskiego ognia, albo przynajmniej złotej aureoli. Kilkundniowe studia archeologiczne na kurytarzu „Starego cyrkuła“ nastroiły cię już nieco poważniej, jak to się z twego pytania okazuje!

Znowu zdawało się Naniowi, że ironiczny uśmiech przebiegł po twarzy korepetytora. A tym razem mógł ten uśmiech mieć pewne znaczenie. Cóż bowiem znaczy ta przysłowka do ciemnego, naturalnie dolnego kurytarza?...

Na pół zmieszany spojrzął na korepetytora, który prawdopodobnie wiedział coś o jego zdarzeniu; ale twarz korepetytora była w tej chwili tak spokojną, że na niej nic a nic się nie malowało. Mimo to zapytał po chwili:

— Jak to rozumiesz, coś przed chwilą powiedział?

— Naprzykład, gdybyś sobie chciał wyobrazić kobietę, którąś kochał. Czy nie wyobrażasz jej sobie w ekwipażu czterokonnym, z bładą, aksamitami osłoniętą twarzą?...

Nanio zarumienił się, bo właśnie podczas tego rocznych feryj widział był córkę wojewodzica w ekwipażu czterokonnym i przez dwa tygodnie marzył o niej,

choć na niego nawet nie spojrział... A wychowanica jego matki, panna Klara, biedna sierota o pięknych, czarnych oczach i jeszcze piękniejszej duszy, nigdy nie zbudziła w nim podobnych, marzeń, choć mu tak szczerze sprzyjała!... Przystęp jeszcze zmierzał widocznie korepetytor do jego tajemnicy na dolnym kurytarzu...

— To prawda — wyjąknął po chwili,—wszystko to, co zewnętrznie nas uderza, silniejsze czyni na nas wrażenie...

— Ale właśnie tém większa jest nasza zasługa, jeżeli ukryciu lub w niepozornej jakiejś łupinie odkryje się to, co jest wielkie i szlachetne!... Bóg rozrzucał pełną garścią perły po ziemi, jak gwiazdy na niebie. Tam świecą one z daleka, ale te, które na ziemię padły, leżą częstokroć w ukryciu i starannie szukać ich trzeba! Kto taką perłę znajdzie, ten wygrał stawkę całego życia...

Korepetytor wyrzekł to z taką uroczystością, że Nanio nic a nic przeciw temu nie mógł powiedzieć. Zamilkł i zadumał się; korepetytor chciał wrócić do logarytmów.

— Jeszcze o jedną rzecz, mój Wojciechu. Czy znasz ty dobrze tego doktora Szota, naszego sąsiada?

— Znam go dobrze. Bardzo poczciwy człowiek, choć trochę sobie dziwak.

— A ten... na dole... gdzie te drzwi dębowe?... — wyrzekł, jaskając się Nanio i cały jakoś poczerwieniał.

— Al! Kordysz! — odparł korepetytor, tym razem bez ironicznego uśmiechu. — Kordysz, to przecież znany w całym mieście oryginał. Niezwykłej poczciwości człowiek. Chociaż często widać go... nie powiem



pijanego, ale tak coś na to mocno zakrawającego! Z tém wszystkiém na pozór jest to dusza bardzo zacna!

— Przypatrując się owym ułamkom dawnych malowideł, które z pod wapna wystają...

— Spotkałeś go na kurytarzu!

— Tak... ale...

— O wierz mi! Ten Kordysz wydaje mi się najciekawszym starym malowidłem, które z poza tynku tegoczesnego wystaje!... Tak go raz nazwał Szot, który jest jego przyjacielem...

— A czy nie wiesz... jakiej tajemnicy... co tam w izbie drugiej...?

Korepetytor uśmiechnął się, a biorąc tabliczkę łupkową i logarytmy, rzekł nawiasem:

— Tajemnice ma... ale dotąd nikt tego wykryć nie może...

Rzekłszy to, wrócił korepetytor do logarytmów, a wszelkie usiłowania Nania, aby z nim dalej rozmowę prowadzić, były nadaremne. Do tego na twarzy korepetytora osiadł nareszcie tak widoczny uśmiech ironiczny, że Nanio nie wiedział, czy to, o czém z nim rozmawiał, było rzeczywiście szczerą rozmową, czy tylko żartobliwem zaniepokojeniem.

Ale bądź co bądź, ze wszystkich dzisiejszych wrażeń najsilniejsze było ostatnie. Ciemne schody, biała postać i przyspieszone bicie serca, wszystko to tak żywo malowało się w jego wyobraźni! Do tego przypomniał sobie, co ktoś mu dawniej powiedział: „Jeżeli mężczyzna raz usłyszy u kobiety przyspieszone serca bicie, ma już na zawsze prawo do tego serca!...” Trzymając się oburącz tego prawa, zasnął Na-

nio szczęśliwie po kilku godzinach rozmyślenia i spełniła się na nim owa piosenka, którą był słyszał za dębowemi drzwiami.

Śniło mu się wszystko, czego tylko sobie życzył. Wprawdzie do najmiłszych snów płatał się jakoś zawsze sękaty kij starego ułana, jakby ramki fantastyczne w ilustracyi poematu, ale przecież nie zasłaniał głównego obrazu, na który składały się drzwi dębowe, ciemne schody i biała, woniejąca postać z przyspieszonym biciem serca!... Czasami także i niecnota z pułapu wmieszał do tych snów szkaradne rogi swoje, a nawet groził coś pazurami, ale groźby jego były bezskuteczne, bo Nanio wybrał już sobie ostatecznie za królową życia owe tajemnicą czarodziejkę, i przysiągł jej miłość aż do grobu.

I był szczęśliwy, jak nigdy!

Każdy niemal ranek jest fatalny dla budzącego się człowieka; rzadko zrywa się na równe nogi do pracy. Częściej, czy to chłód powietrza, czy szczególna działalność rannych słonecznych promieni, czy zresztą długi spoczynek... dosyć, że pierwszy wietrzyk poranku, który po naszych wieczornych marzeniach się przesunie, strąca z nich wiele złotego pyłu, a natomiast nanosi na nie warstwy szarego ziemskiego prochu...

Złowrogie to rano byłoby wielkim nieszczęściem dla nas, gdyby to samo rano z równym skutkiem nie leczyło ran naszych, które wczoraj jeszcze były bolesne!...

Otóż Nanio uczuł także wpływ tego fatalnego



rana. Korepetytor otworzył był właśnie okno, a chłodne, wonne powietrze przeciągnęło po pokoju! A było to powietrze, na jakie tylko nasza ojczyzna zdobyć się może,—powietrze z pierwszych dni września.

Pod wpływem chłodnego, zdrowego powietrza sny jego traciły z każdą chwilą ową jaskrawość, w jaką oblokła je nocna wyobraźnia. Wprawdzie migwały jeszcze po kątach izby tu i ówdzie owe gorące, rozkoszne obrazy, ale zagłędając do okna słońce rozpędzało je do reszty. Nawet niecnota z rogami i kij sękaty starego ułana zbladły w końcu i rozplynęły się, jak mgła jesienna, ale postać biała, schody ciemne i przyspieszone bicie serca, wszystko to zostało nie-  
tknięte.

Nanio ubrał się dzisiaj wcześniej, niż zwykle, a zjadłszy śniadanie, wyszedł, jak mówił korepetytorowi, na ranną przechadzkę. W istocie zaś miał on inne cele. Chciał poprostu odbyć rekonesans i zbadać plac wczorajszych wydarzeń.

Naprzód, jak każdy prawowity studyozus musiał zacząć od okna. Przeszedł się więc kilka razy popod „Starym cyrkulem,“ ale nic szczególnego nie zobaczył. Sciana zewnętrzna miała jakieś dziwne podmurowanie, które mu nie pozwalało bliżej do okna przystąpić. Do tego i okna były za wysoko i gęsto kwiatami zastawione. Wprawdzie wyglądała z jednego okna ciekawie biała firanka, którą wietrzyk to wciągał to wyciągał, jakby się bawił, ale za firanką nikogo nie było widać. Nad oknami tylko uderzył go napis na czarnej tablicy: „MARCYAN KORDYSZ,“ a pod nim: „Tu nie przyjmuje się żadnej nowej roboty, tylko samą łataninę.“

Napis ten szczególny dał Naniowi bardzo wiele do myślenia. A duży, czarny but, niepospolicie łatanymi okryty, wydawał mu się w tej chwili, jak historia życia ludzkiego. I w rzeczy samej, historia takiego buta, historia tych wszystkich lat i latek byłaby najdoskonalszą historią człowieka, który ten but nosił!...

Tak myślał sobie Nanio, zagłędając poza firankę, ale mimo wszelkich usług ze strony wiatru, nie mógł ani na chwilę ujrzyć choćby cienia tej, o której dzisiaj śnił przez noc całą!... Nawet właściciel sękatego kija nie był widzialnym, a okno drugiego pokoju, w którym miał stary ułan kogoś zabijać, było ciche i spokojne, zgola niepodobne do miejsca zbrodni!... Olbrzymi krzyżowy pająk rozpostarł sieć swoją w jednym kącie i łapał najtłuściejsze muchy. Stary ułan nawet hodował go czasami, gdy w oknie panował przednówek, a pająk za to musiał co dwa tygodnie leżeć do flaszki i wyciągać po pięć numerów, które w najbliższą sobotę na loteryi wyjść miały!... Po drugiej stronie, w najmilszej zgodzie z pajakiem, siedział w klatce kos szary. Obaj lubili muchy i obaj pomagali sobie. Pająk nagał sprzymierzeńcowi muchy do klatki, a kos pędził je długim dziobem swoim ku nastawionej sieci, i obu było z tém dobrze.

Nanio patrzył to na kosa, to na pajaka, liczył muchy, które padały ich ofiarą, lecz ani złotej główki, ani siwej czupryny ułana nie zobaczył.

Zmienił plan i poszedł na schody. Zdawało mu się, że na tém miejscu pierwszych, gorętszych uczuć jego, musi ją niezawodnie zobaczyć. Ale schody były puste, wszędzie cicho i głucho. Na trzecim schodzie leżał tylko kwiatek błękitny. Był zwiedły i nogą



zgnieciony. Niezawodnie wypadł z jój złotych loczków, gdy w jego ramionach uwieźlał... Nanio podjął kwiatek i włożył do kieszonki kamizelki przy lewym boku.

Potem odważył się zbliżyć do fatalnych drzwi dębowych. Zeszedł aż na dolny kurytarz. Zaraz na wstępie powitał go jegomość z rogami, i jak dobry przyjaciel uśmiechnął się do niego. Oburzyło to Nania, rzucił mu wejrzenie pełne wzdargi i poszedł dalej. W samym prawie końcu kurytarza zobaczył w zagłębionj framudze owe drzwi fatalne, które wczoraj dzieliły go od nieba. Przypatrzywszy się im z bliska, poznał Nanio, że wcale nie były dębowe, ani nie miały tak groźnego okucia, jak to zazwyczaj w więzieniach widzieć można. Były nieco mocniejsze od drzwi zwyczajnych i służyły zapewne dawniej do zamykania składu towarów. Szpary jednak nie można było w dzień dostrzedz.

Na palcach przysunął się pod te drzwi i zaczął nadśluchować. W izbie było cicho, tylko od czasu do czasu odzywał się stuk młotka. Zapewne stary ułan naprawiał jakiś but dziurawy lub wykrzywiony. A w niejakich odstępach nócił sobie:

Wielu dziś śmiercią popadli,  
Co się wczoraj spać pokładli...

Żadnego szmeru, żadnego szelestu wiotkiej sukienki nie było słyszeć. Tylko na ścianie stukał zegar drewniany powoli i w tak odmierzonym takcie, jakby stosował się do młotka albo pieśni starego majstra Kordysza.

Nanio odstał od drzwi, bo nagle przypomniał

sobie ów kij sękaty i niebezpieczeństwo wiarołomnego Michasia. Bo i cóżby mógł powiedzieć na swoje uniewinnienie, gdyby Kordysz nagle drzwi otworzył i tuż na progu spotkał się z jego plecyma? A stary ułan miał dosyć długie ręce, mógł go nawet i wtedy jeszcze dosięgnąć, gdyby już był w pełnym odwrocie!... Nanio przeszedł z wolna cały dolny kurytarz, nie zapomniawszy kilka razy obejrzeć się po za siebie. Ale prócz echa własnych lakierowanych bucików, nie usłyszał żadnego szelestu, żadnego westchnienia!...

Stał w bramie i przypatrywał się ludziom na rynku. Był to właśnie dzień targowy. Baby z całej okolicy dały sobie tutaj *rendez-vous*, i pousiadały z najrozmaitszemi artykułami żywności. W mieście tém bowiem nie było jeszcze społeczeństwo tak uregulowane, aby na każdy artykuł pożywienia ludzkiego osobna była targowica. Wszystkie potrzeby do życia mieściły się w rynku, jakby w wielkiej jakiejś encyklopedyi. Wszystko było tu *pêle-mêle*, a ówczesna gospodyni miała tę wygodę, jaką nam dzisiaj każda encyklopedya daje, że na przestrzeni kilkunastu kroków mogła wszystkiego dostać, zaczawszy od cebuli aż do ogórków kwaszonych. Rozumie się, że jak między prozą naszego życia porozrzucane są tu i ówdzie ideały, tak i między arbusami, kapustą i marchwią, leżały także centofolie, gwoździki, lewkonie i białe śliwki. Również i pomidory liczyły się do ideałów targowicy, a róże i gwoździki patrzyły na nie z góry, jak na kontrabandę w krainie ideałów.

Nanio stał w bramie i patrzył się na ten ustawiczny wir przekupek i kucharek. Z każdego koszyka można było poznać usposobienie i zamożność go-



spodyni. Koszyk był indywidualnym obrazem domu, ale oraz i tabulą krajową, z której rubryk można wno-  
sić o stanie finansowym. Tu obok garnca kartofli le-  
żał cienki płatek mięsa, uwieneczony dla efektu dwie-  
ma pietruszkami; tam gdała kura obok koguta  
z uciętym grzebieniem, który dopiero co pięć prze-  
stał, chcąc, jak złoczyńca szczerem wyznaniem swo-  
jego stanu wyratować się od kary śmierci!... Rzadko,  
bardzo rzadko wychylał się z koszyka bukiet róż  
lub gwoździków, a najczęściej pokrywały prozę ży-  
cia ponsowe pomidory, chcąc gwałtem uchodzić za  
poezyą...

Bawiła Nania ta lustracya koszyków miejskich.  
I nie wiedział biedny, jakimi drogami prowadzi Opa-  
trność człowieka do jego szczęścia!... Nie wiedział,  
że ideały nasze, o których pewni ludzie twierdzą, że  
pochodzą z przypomnień życia przed urodzeniem na-  
szem na ziemi, odnoszą się najczęściej do tej ziemi,  
i do tego, co ta ziemia wydaje!...

Z pomiędzy roju najrozmaitszych koszów i ko-  
szyków oderwał się jeden maleńki koszyczek i zmie-  
rzał wprost do bramy „Starego cyrkułu.“ Serce Na-  
nia uderzyło żywiej. Coś szczególnego było w tym  
koszyku.

Właścicielka koszyka była to młoda gospoia  
w ranném ubraniu. Ciemny szlafroczek okrywał jęj  
wiotką, giętką postać, a wkoło białej skroni rozrzuco-  
ne były w bezładzie złote loczki. Jeden tylko błęki-  
tny kwiateczek wychylał się z pod gęstych loczków.  
Chód jęj był lekki, chwiejący się za każdym krokiem,  
a koszyczek tak zgrabnie kołysał się na białej, prze-

ślicznej rączce, jakby unosiły go w powietrzu jakieś  
duchy niewidome.

Nanio spostrzegł, że to jego czarodziejka.

Nie miał nawet czasu zlustrować swego ubrania,  
jak to zawsze czynił, gdy koło kobiety przechodził,  
a nawet włosów nie zarzucił po za uszy, co według je-  
go wyobrażenia, nadawało mu wyraz interesujący.  
Słowem, Nanio jak stał z ręką w kieszeni, a nawet  
nieco zgarbiony, to jest, w najzwyczajniejszej swojej  
postawie, tak został nieruchomy aż do nadejścia owe-  
go koszyka.

Było rzeczą widoczną, że koszyk w miarę zbliża-  
nia się do bramy tracił na równowadze, a często na-  
wet zaplątał się w fałdy ciemnego szlafrocza. Mło-  
da gospoia karciła go wprawdzie wzrokiem, a nawet  
i białą rączką uderzyła go zlekka po żebrach. Nic to  
jednak nie pomogło. Ulubiony niegdyś koszyk coś się  
dzisiaj rozdał i ładnej gospoii wypowiedział posłu-  
szeństwo otwarcie. Po długim też napomnieniu, jak  
na złość wyrzucił dwie prześliczne centofolie, a gdy  
gospoia po nie się nachylała, skorzystał psotnik z tej  
okoliczności i rozsypał w wielkiem kole białe śliwki.  
A wszedłszy już raz na drogę nieposłuszeństwa, chciał  
się pozbyć całego swego balastu i powyrzucał pietrusz-  
kę, młodziutką kalarepkę i cały zwój marchwi!

Nie było rady z psotnikiem. Gospoia postawiła  
go na ziemi, aby się ustatkował, a sama zajęła się ze-  
braniem porozrzucanych artykułów.

Działo się to na kilkanaście kroków przed Na-  
niem. Był to dla niego widok, który prawie równał  
się widokowi przez szparę drzwi dębowych. Młoda  
gospoia była niewyczerpana w malowniczych pozach.



Czy to sięgnęła po gałązkę centofolii, czy po białą ak-samitną sliwkę, czy wreszcie zebrawszy kalarepę w mały fartuszeczek, dumiała nad wiązką marchwi, która, jak nieszczęśliwy Michaś, u jój stóp leżała... zawsze to była poza tak malownicza, tak zachwycająca, że Nanio nie mógł odżałować, iż nie ma przy sobie teki i ołówka.

Wreszcie udobruchał się krnąbrny koszyk, a gosposia pogłaskawszy go po żebrach, wzięła znowu na swoją białą rączkę i zwolna puściła się ku bramie.

Im bliżej bramy, tém niepewniejsze były jój kroki. Widać było jakieś wahanie się. Nawet koszyk chciał znowu powtórzyć dawne psoty. Przycisnęła go więc mocno do siebie, a spuściwszy oczy w ziemię, puściła się wreszcie do bramy.

Na samym progu potknęła się, a czarne jój oczy podniosły się nagle i przelotnie spoczęły na młodym wąsiku Nania. Równocześnie szkarłatny rumieniec oblał jój lica.

Nanio chciał właśnie ukłonić się, lub coś przemówić, ale młoda gosposia pomknęła naprzód, jak strzała ze wszelkimi oznakami niezwykłego zaniepokojenia, jakie wywołał w nięj prawdopodobnie wczorajszymi wypadkami na ciemnych schodach... I nim Nanio mógł na jakiś koncept się zdobyć, przesunął nawet już koło niego prąd powietrza, pochwyconego na kurytarzu wiotką jój szatą... Na progu został tylko oderwany pączek róży, a obok niego leżały dwie białe śliwki.

Nanio podjął to wszystko. Pączek róży schował do kamizelki po lewej stronie, gdzie był już kwia-

tek błękitny—a śliwki obejrzał starannie do koła i włożył do ust.

— *Utile dulci!*—zawołał korepetytor w téj chwili i uśmiechnął się ironicznie.—Chodźmy na wykłady, bo już czas.

Ktokolwiek był kiedy w położeniu Nania, ten pojmie niezawodnie jego zmartwienie. Pączek róży i kwiatek spoczywały już, jako dwa trofea w kieszonce kamizelki po lewej stronie; przez bramę „Starego cyrkułu“ przeciągał jeszcze ostatni prąd powietrza pochwyconego wiotką szatą; u tu potrzeba było iść z korepetytorem na wykłady, gdzie przez całą godzinę będzie profesor mówił o filozofii, a po nim nastąpi godzina historii powszechnéj!... A trudno wykręcić się, bo korepetytor coś strasznie ironicznie się uśmiechał i bodaj, czy się wszystkiego nie domyślał!...

Więc rad nierad puścił Nanio w ruch lakierowane swoje buciki, a jednostajne powtarzanie tego ruchu przywiodło go do gmachu po-jezuickiego, gdzie tyle nieznośnych i gadatliwych kolegów na niego czekało! Jeden pyta go o to, drugi chce wiedzieć, ile krawcowi zapłacił za jasno-zielony tużurek, a trzeci rozpoczął z nim gawędę o nieboszczyku Koperniku, którą w jakimś piśmie warszawskiém przeczytał. Wielkiem szczęściem było dla Nania, że profesor filozofii wlaźł na katedrę i rozpoczął gawędę, której Nanio nie był obowiązany słuchać.

Gdy szanowny profesor rozwodził się nad systematami filozofii starożytnéj, wrócił Nanio w duszy do



bramy „Starego cyrkułu,” i począł rozmyślać nad nowym swoim położeniem. Zdarzenie bowiem w bramie było znakomitą wypadkiem, który sprawę jego serca, czy fantazyi posunął naprzód o krok olbrzymi.

Naprzód kapryśny koszyk zdradził, że serce czarodziejki, koło którego był tak blizko, zaczęło na widok Nania bić tak nieregularnie, jak wczoraj na ciemnych schodach. Róże, śliwki i marchew stwierdziły ten domysł, skoro aż z dna koszyka musiały na ziemię wylatywać. W samym progu potknęła się, a to u każdej kobiety niezawodną jest oznaką, że mężczyzna zrobił na niej niezwykle wrażenie. A ktoby o tém chciał wątpić, tego szkarłatny rumieniec i dziwny wyraz czarnych oczu mogłyby dostatecznie przekonać, co się tam działo na lewej stronie piersi, pod fałdami ciemnej sukienki!..

Nanio wyłożył z dumą nogi na ławkę, bo w tej chwili przyszedł do przekonania, że jest kochany!

I założył ręce, jak Napoleon po bitwie pod Wagramem.

Niepokój i dziwna niepewność, które tak rozkosznie drżały jego nerwy, opuściły go, i uczuł w sobie owo szczęście, którego używa kapitalista siedzący na worku złota. O nie się już nie troszczy, o nie się nie obawia. Niepotrzebuje nawet pragnąć czegokolwiek, bo tylko workiem ruszy, a wszystko jemu służy. Pączek róży i kwiatek błękitny wydały mu się teraz rzeczą małoważną, był to tylko drobny kupon od kapitału, który do niego już należał. Wyjął więc kwiatek i pączek, obskubał zwiędłe listeczki i rzucił pod ławkę. A nim profesor uporał się z Sokratesem, rozrządzał Nanio swoją czarodziejką, jak drugą Sabinką.

i przemyślał tylko nad stosowną godziną, kiedy do niej pójdzie i pierwszy pocałunek na prześlicznej twarzy wycisnie. Rozumie się, że nawet przygotował się na mały opór, ale któraż kobieta, dla Boga, nie opiera się!... A potem?... Na potem obmyślał już sobie ładną frazesę, które jej musi powiedzieć, albo może bukiet, lub co innego... ale to wszystko miało mieć formy tak dyplomatyczne, jak noty ministrów spraw zagranicznych, albo paragrafy jakiego statutu państwowego, które potem w razie potrzeby inaczej wytłumaczyć się dadzą, a przeto nikogo nigdy nie obowiazują.

Rozmyślając tak dalej, doszedł Nanio do przekonania, że wynalazł sobie wyśmienitą awanturkę, która może wypełnić cały czas między godzinami szkoleni, aż do przyszłych wakacyj. Córka Kordysza już w nim po uszy zakochana i zapewne podniosła tę białą firankę w oknie i z tęsknotą wygląda, kiedy ta nudna historia o wojnie pelopenezkiej się skończy, a upragniony Nanio na rogu głównego odwachu ukaże się w jasno-zielonym tużurku!... Jakże to długo jej czekać!... Albo może będzie go czekała na kurytarzu, niby czémś tam zatrudniona, bo to kobiety mają koncepciki nielada!... A może wyjdzie aż na schody i tam, gdzie są najciemniejsze, zejdzie się z nim, niby przypadkiem, a nawet może i krzyknie niby z przestachu i przestraszona, wpół omdlała padnie bez przytomności w jego ramiona i chwilę spocznie głową na piersi jego... O, bo to kobiety mają koncepciki!..

Tak marzył sobie Nanio, i był tak pewnym swego szczęścia, że nawet nie zważał na psotnika z rogami,



który migał mu przed oczyma, mrugał i śmiał się złośliwie, jakby w sny jego wcale nie wierzył!

Nareszcie ku wielkiemu zadowoleniu kilkudziesięciu słuchaczy, ozwał się dzwonek na kurytarzu. Stróż szkolny dawał tym sposobem znak, że godzina dziesiąta już wybiła.

Trudno dziś zbadać, dla czego szanowne kolegium profesorów wydało przepis, aby stróż szkolny głośnym dzwonkiem wybijał na kurytarzu godzinę. Możliwy ztąd wnosić, że poważne gremium nie obfitowało w zegarki kieszonkowe, albo że w wykładach swoich tak się zapalało, iż potrzeba było silnej ręki stróża, aby donośnym dzwonieniem przypomnieć im astronomiczny podział czasu.

Nanio nie zastanawiał się nad znaczeniem dzwonka na kurytarzu, ale wybiegł z sali z innymi, potrącając wszystkich po drodze. I nie dziw, bo przed nim szybkim krokiem biegły jego złote marzenia!...

Na rogu kościoła franciszkańskiego zatrzymał się chwilę, aby zlustrować swe ubranie. Każda bowiem kobieta kocha się najprzód w powierzchowności mężczyzny. Przymioty jego duszy i serca dopiero później obaczy. Takiego przekonania był Nanio.

Przekonawszy się, że buciki lakierowane należyście się świecą, łańcuszek od zegarka spada niedbale, obciążony w środku ogromnym krwawnikiem, i że jasno-zielony tużurek z pewnym zaniedbaniem na jeden guzik zapięty, doskonale odslania czarną chustkę *à la Byron* w gruby węzeł związaną, puścił się

Nanio w dalszą drogę, i był pewien, że jak tryumfator rzymski wejdzie do swego pomieszkania uwieniczony laurami!...

Po drodze wypadło mu jeszcze wstąpić do starego cukiernika, aby na wszelką ewentualność mieć przy sobie karmelki, artykuł według niego w roman-sach niezbędny, a zbyt mało w powieściach uwzględniany.

Tak wyposażony stanął wreszcie na rogu głównego odwachu. Ztamtąd widzieć już było można białe, długi mur „Starego cyrkułu“, a nawet dwa okna, nad którymi wisiała sławna tablica Kordysza...

Nanio przyłożył rękę do oczu, aby lepiej widzieć, ale prócz kwiatów w oknach, nic a nic nie dostrzegł. Wprawdzie migało coś w jednym oknie białego... coś niby jęj szata... ach nie, to firanka, z którą igrał wietrzyk swawolny!...

Nanio uszedł kilkadziesiąt kroków, i znowu zapatrzył się na te okna fatalne. Zdawało mu się, że tam za kwiatami ukryła się jakaś główka ciekawa, i figlarnemi oczyma patrzy na niego, wołając z Goethem:

„Wnijdźże luby, wnijdźże, proszę,  
Są łakocie, są rozkosze!“

A gdy Nanio był już blisko owego szczęśliwego okna, poznał, jak najwyraźniej, że to nie była główka z figlarnemi oczyma, ale poprostu but dziurawy, nabitą na prawidło i wystawioną na słońce.

W drugim oknie zabłysła dla niego nadzieja. Kos szary krzychał przeraźliwie i trzepotał skrzydłami, jakby ktoś stał koło niego. Nanio zbliżył się do



kosa i nieznacznie spojrział w głąb izby. Nie było żywej duszy. Kos hałasował tylko na mocy niemego porozumienia z sąsiadem, aby mu przysporzyć much do sieci.

Nanio zaśpiewał półgłosem piosnkę na tę samą prawie melodyą, którą słyszał wczoraj za dębowymi drzwiami, a nawet pomimo jasnego dnia dosyć zrozumiale wydekłamał słowa:

Filon twój na deszczu moknie  
Przyszł tu w noc ciemną—  
Pokaż-że się, pokaż w oknie,  
Wszakżeś mu wzajemną!...

Nic to wszystko nie pomagało. Żadna twarz nie pokazała się w oknie. Nanio sięgnął do kieszeni, wyjął i zjadł jeden karmelek.

Zwrócił się ku bramie. Przed dwoma godzinami leżał tam na progu pączek róży. Teraz pusto w bramie, nie słysząc szelestu wiotkiej sukienki... Wszedł na dolny kurytarz. Zaglądał do każdej framugi, do każdego okna,—wszędzie pusto i głucho. Nanio zjadł drugi karmelek.

Wreszcie zawrócił się i wszedł na schody. Tam niezawodnie miała go czekać. Schody były ciemne i jak umyślnie stawiane na przypadkowe zejścia się. Ale i tu było pusto! Nanio zjadł trzeci karmelek.

Zaczęło go to gniewać, a nawet niepokoić. Przywołał sobie na pamięć wszystko, co zaszło o godzinie ósmej z rana. Koszyczek tracący równowagę, wypadające róże, śliwki i marchew, owopotknięcie się na progu, i co najgorsza, ów rumieniec szkarłatny—wszystko musiało znowu stawać mu przed oczyma i do znanych

wniosków posłużyć!... Ale rzeczywistość zadrwiła z tych wniosków! Nanio zjadł czwarty karmelek.

W końcu nadciągnął korepetytor, i potrzeba było razem z nim pójść do stancyi. Nanio zmieszał się, zobaczywszy korepetytora, a nie mając naprędce konceptu, aby do niego przemówić, dał mu — piąty karmelek.

— Czy kogo traktowałeś karmelkami?—zapytał korepetytor z ironicznym uśmiechem.

— Nie... ot tak... kupiłem sobie dla rozrywki...—odparł, jękając się Nanio.

— Możesz je wszystkie zjeść — rzekł korepetytor, i pociągnął Nania z sobą do stancyi.

W niemalém zakłopotaniu sięgnął Nanio do kieszeni i zjadł—ostatni karmelek!



VII.

Siedząc na sofie, czuł Nanio wyraźnie, że w jego sercu zaczyna się zrywać burza. Wszystkie jego wnioski, wszystkie sny i marzenia, które podczas godziny filozofii tak spokojnie w głowie ułożył, rozwiały się, jak widma nocne. Przed godziną był święcie przekonany, że potrzebuje tylko ręką sięgnąć, aby miał wszystko, o czém tak słodko od wczoraj marzył; a teraz widział nieszczęśliwy Tantal, że cała zastawa rozkosznych potraw usuwa się od niego coraz dalej, coraz dalej!... Czarodziejka nie tylko oknem nie wyjrzała, ale nawet na kurytarz nie wyszła, a o ciemnych schodach może nawet nie pomyślała!... A on był tak pewien tego!... Bo jakże inaczej można było wytłumaczyć sobie ten koszyk, tracący równowagę, te wylatujące śliwki i róże, ten pączek i to potknięcie się na progu bramy, albo na koniec ten szkarłatny rumieniec!... On już przemarzył i uporządkował sobie najrozmaitsze rozdziały téj uroczej miłości, a teraz widzi, że jeszcze pierwszej kartki niema!...

Im boleśniejszy był dla niego ten zawód srogi, tém głośnieję odzywała się burza w jego sercu, tém pię-

kniejszą i powabniejszą stawała przed jego oczyma cudowna Paulina! Zdawało mu się, że na teraz z pocałunkiem wstrzymałby się jeszcze, a kontentowałby się lekkim ściśnieniem ręki, jednem wejrzeniem jęj przeslicznych czarnych oczu. Czém podczas godziny filozofii był dla niego ów pocałunek, tém było teraz jedno jęj spojrzenie, bodajby przez okno, kwiatami gęsto zastawione!... A do pocałunku było jeszcze daleko, niezmiernie daleko!...

Nanio przerzucał się na sofie z jednego kąta w drugi, ale nigdzie nie znalazł ulgi dla zranionego serca, które przed chwilą było całe i zagojone. Co kilka minut zniżał swoje marzenia, wreszcie zapragnął tylko choć z daleka ją ujrzyć, choć kawałek rąbka jęj wiotkiej szaty, choć tylko cień jęj!... Ale i to marzenie nie obiecywało wielkiego powodzenia. Jęgomość z rogami migał mu przed oczyma i uśmiechał się złośliwie, jakby chciał mówić: „Nic z tego nie będzie!...”

W końcu kontentowałby się już tylko przekonaniem, że ona myśli o nim, a pocałunek i inne rozdziały romansu odłożyłby na długo, na długo!... Ale zkadże nabrać tego przekonania? Może jęj ani w głowie ten tużurek jasno-zielony, ten gruby węzeł *à la Byron* pod szyją!... Co gorsza, może w téj chwili śmieje się z niego, że tak stał w bramie zagapiony i w nią oczy wlepił!...

Nie mógł Nanio dłużej wytrzymać w téj okropnej niepewności. Zerwał się z sofy i rzekł w duchu do siebie:

— Muszę ją widzieć! A gdy ją zobaczę, poznam,



po jęj twarzy, czy nademną zeszła gwiazda szczęścia, czy gwiazda wiecznej męczarni...

I miotany namiętnością, jakiej dotąd nigdy nie zaznał, wybiegł z pokoju na kurytarz.

Na kurytarzu było, jak zawsze, pusto. Nanio przeszedł się kilka razy, ale prócz własnego cienia, prócz kroków swoich, nic więcej nie zobaczył, nic nie słyszał. Serce jego biło coraz burzliwiej, w duszy było mu coraz smutniej.

Zeszedł powoli po schodach. Na każdym schodzie zatrzymywał się i nadśluchiwał, ale wszystko na próżno! Wreszcie wszedł na dolny kurytarz. Nanio przypomniał sobie, jak przed dwoma dniami był szczęśliwy, rysując tę niecnotę z rogami na pułapiei! Wtedy miał serce tak lekkie, umysł tak swobodny! Cały świat stał mu otworem, a jeżeli zapragnął jakiego szczęścia, to tylko nad tém myślał, gdzieby sobie to szczęście wybrać! A dzisiaj... o jakże inaczej wydaje mu się ten świat, przedwczoraj tak rozkoszny!... Dzisiaj żąda od tego świata tak małej rzeczy!... Jednego spojrzenia, a nawet i tego nie... byle tylko ją ujrzeć, byle jęj cień...

Stanął w oknie i patrzył w niebo. Nigdy nie wydały mu się te małe obłoczki tak pięknymi, tak szczęśliwymi... One są takie wolne, szybują, gdzie im się podoba, jak ptaki lotne, schodzą się i rozchodzą, jak wesołe baranki... O jakże chciałby być tym obłokiem, zawisnąć chwilę nad „Starym cyrkułem“, zajrzeć potem z ukosa do okna po nad tą czarną tablicą, a potem w nocy miesięcznej spuścić się mgłą białą, wej-

rzec ponad klatkę szarego kosa i sprawić jęj sny cudowne, urocze!

Przystąpił do drugiego okna i znowu spojrzał w niebo. Na niebie były te same obłoczki białe. I pomyślał sobie: „Może i ona w tej chwili patrzy na te obłoki!“ I zdawało mu się, że gdzieś na końcu kurytarza słyszy szelest. Wcisnął się we framugę, i wyraźnie słyszał, jeden, dwa, trzy—dwanaście lekkich kroków, a zaraz potem skrzypnięcie drzwi.

Nanio wychylił się z framugi,—nie było ani żywego ducha. Przebiegł cały kurytarz, wszędzie pusto i głucho.

— Ach! — pomyślał sobie — byłem tak bliski szczęścia, a nie wiedziałem o tém! Ona stała tak samo, jak i ja w oknie i patrzyła na niebo. Widać, że również jak ja, ma niepokój w sercu, inaczej nie patrzyłaby w niebo. Przed dwoma dniami, ani mi na myśl nie przyszło patrzeć w niebo. A teraz nudzi mnie widok ziemi, i rad zawieszam oczy na tych białych obłokach. Gotowem zostać astronomem, a może drugim Kopernikiem! Mocny Boże, co to się ze mnie stało!...

Tak dumał Nanio, i mimo rozmiłowania w astronomii, patrzył na podłogę kurytarza, szukając śladów drobnych nówek, które przed chwilą tędy przebiegły. I myślał sobie znowu:

— Myśliwi jakimś sposobem poznają z tropu sarnę i jelenia—cobym dał za to, żebym mógł być pewnym, że to ona była!

Na kurytarzu jednak, mimo prochu i śmiecia, nie można było żadnych śladów rozpoznać. W oknie tylko, w którym prawdopodobnie stała, leżały na ziemi poobrywane listki błękitnego kwiatka! Nanio zebrał te listki i obejrzał starannie. Były świeżo,



dopiero przed chwilą oberwanel... Schował te listki, gdzie dawniej był pączek róży, i rzekł do siebie:

— Niezawodnie pytała kwiątka, jakby wyroczni, czy ją kocham!...

I wyjął napowrót wszystkie listki, i przeliczył. Było do pary. A więc wyrocznia nie była pomyślna! Ale nie, jeden listek musiał zostać przy kwiątku!... I w samą rzecz, ostatki kwiątka z jednym listkiem, leżały tuż przy samych drzwiach!...

Lepszy duch wstąpił w Nania. Rzeczy nie stały tak źle, jak mu się zdawało. Niezawodnie jest nim zajęta, kiedy kwiatki obskubuje!

Tak sobie myśląc, rozweselił się nieco, a nawet zagwizdał jakąś aryjkę. A że to, co dzisiaj spostrzegł, uważał już za niejaką pociechę, postanowił więc porzucić na teraz na listkach znalezionych i w tej nowej sytuacji kilka godzin przemarzyc! O pocałunku, nawet nie myślał, bo do niego było jeszcze daleko, strasznie daleko, jak do Chin!... Czem to są marzenia ludzkie!... Nanio wracał do korepetytora.

I już był na trzecim stopniu schodów nogę postawił, gdy nagle usłyszał na dole szelest sukienki i szybkie kroki. Stał i wstrzymał oddech w piersi... Kto kiedy marzył, kto oczekiwał, ten pojmie, co się w duszy Nania działo!...

Kroki i szelest skierowały się wprost na schody. Jeszcze chwila, a czarne oczki czarodziejki spotkają się z jego oczyma, i powiedzą sobie coś nawzajem, czego nikt, a nawet te ściany nie usłyszą, ale dwie dusze zrozumieją i wzajem sobie odpowiedzą!...

Już prąd powietrza, który przed nią leci, musnął o jego skroni rozognioną... już słyszy przyspieszony jej

oddech... widzi na zakręcie jej ciemną, wiotką sukienkę... to ona!

Nanio stanął w postawie wyczekującej. Ręk naprzód nie wyciągał, bo to był dzień, a nie wieczór, jak wczoraj. Zresztą i nie myślał jakoś o tym w tej chwili, bo zdawało mu się po dzisiejszych rozczarowaniach, że do tego jeszcze bardzo daleko!...

Stał więc bez myśli i planu, jak człowiek nagle zaskoczony. Tyle szczęścia nie spodziewał się w tej chwili i nie był na nie przygotowany. Widział jednak, że to chwila dla niego stanowcza, że z jej zachowania się, gdy koło niego będzie przechodziła, będzie mógł poznać, jak to sam przed chwilą powiedział, czy dla niego zeszła gwiazda szczęścia, czy też wiecznej męczarni. Wlepił więc w nią oczy, śledząc każde jej poruszenie.

O zgrozo!... Paulina wydała mu się w tej chwili zupełnie inną istotą. Wprawdzie była trochę bledszą, niż z rana, ale chód jej był tak spokojny, tak ściśle odmierzony, jakby jej pulsa były w tej chwili najregularniej. Nie było w niej widać najmniejszego zakłopotania, a o szkarłatnym rumieńcu ani mowy! Mimo nierównych i wydeptanych schodów, szła z taką pewnością, że ani nadziei, aby się potknęła. Jej piękne czarne oczy świeciły takim spokojem, tak trzeźwo patrzyły przed siebie, jakby ani błękitnego kwiątka, ani obłoczków na niebie nie widziały. Słowem, była to kobieta posagowej piękności, ale pierś jej była zimna i obojętna, jak marmur biały.

Przechodząc koło Nania, nie spojrzała wcale na niego. Widok jego nic a nic jej nie obchodził. Żaden muskuł nie drgnął w jej twarzy, żaden jaśniejszy



promień nie strzelił z jój oczu. Nawet kroku nie przyspieszyła, ani wypuściła wiotkiej sukienki, którą w ręku trzymała.

I zwolna, tym samym krokiem, nie obejrzawszy się wcale, puściła się dalej kurytarzem, aż do drzwi doktora Szota.

Nanio nie wiedział właściwie, co się z nim stało. Miał jednak takie uczucie, jak ten, co stawiał na loteryą i nagle zobaczył zupełnie obce numera!... Przeciera oczy i znowu patrzy, a gdy już dostatecznie o przegranej się przekonał, zaczyna się tém pocieszać, że nie daleko był wygranej, bo miał na kartce 23 i 47, a wyszły 32 i 74! Byle tylko przewrócić te numera, byłoby *ambo!*

I Naniowi pokazały się jego numera wprost przeciwnie, z tą jednak różnicą, że nie miał owęj marniej pociechy, jaką miał stawiający na loteryą. On wiedział tylko, że przegrał stawkę i kwita!

I jak w każdym bolesnym zawodzie, tak i teraz, skierował kroki do korepetytora.

Gdyby Nanio był wiedział, że do starego eskulapa prowadziły od Kordysza inne bliższe schodki, które wprost z jego kuchenką się łączyły, byłby może inaczej widział swe położenie. Po cóż bowiem szła Paulinka przez długie kurytarze tam i napowrót, kiedy mogła bliższymi schodami wejść wprost do starego Szota?... Co kazało jej przedłużać sobie tę niewygodną drogę? Czyż nie mogła stojąc w oknie na kurytarzu i obrywając kwiatek, widzieć go idącego kunięj,

a potem stojącego w oknie? A gdy za drzwi dębowe się schowała, czyż nie mogła przez tę samą szparę patrzeć na niego, przez którą on się w nią zapatrzył i zakochał?... I czy nie mogła wtedy widzieć, jak on listki zbierał po ziemi, jak szukał śladów jój drobnych stopek i rzucony przeddrzwiami kwiatek podjął i do kieszeni schował?... A gdy się oddalał, czyż nie mogła słyszeć jego kroków i tak obliczyć przestrzeni, która ją od niego dzieliła, aby poszedłszy za nim, spotkać się z nim na schodach!... A zresztą był to czas przedobiedni. Jakiémże prawem mogła odejść kuchenki, gdzie prawdopodobnie smaży się tam młoda kalarepka i wiązka marchwi, i w takim czasie pójść do starego eskulapa, aby tam zasiąść przy klawikordzie i jakieś smutne wygrywać melodje, jak to dosyć donośnie slychać było na kurytarzu!...

Gdyby to wszystko Nanio wiedział, nie byłby może tak bardzo się smucił. Ale nieszczęśliwy kochanek nie a nic nie wiedział. Pograżony w smutku, że na tablicy loteryjnej nie zobaczył swoich numerów, rzucił się znowu na sofę i z zawiścią patrzył na korepetytora, który z największym spokojem odczytywał jakąś siną książkę. Jakże przeklinał siebie, i cały wieczór wczorajszy, i tego niecnotę z rogami, któremu całe swoje nieszczęście przypisywał! A do owych marzeń podczas godziny filozofii jakże to daleko... a nawet żadnej drogi niema! A on miał już wszystko tak pewne przed sobą!...

Przeszła koło niego z twarzą najobojętniejszą. Kochająca kobieta nie potrafi tego. Przynajmniej potknie się i zarumieni!... A tu ani jedno, ani drugie! I jakże to żyć dłużej na tym głupim świecie, gdzie



serca są tak zimne, gdzie kobiety obłudne, jak śpiewające syreny...

Nie dokończył jednak téj myśli, bo zdało mu się, że jeszcze wszystkich zasobów nie spotrzebował. Zre-sztą coś go jeszcze mocno ciągnęło na kurytarz. Rozczarowany kochanek nigdy nie wierzy stanowczo w swoje nieszczęście. Jak tonący chwytą się bodaj deski, bodaj piany na fali wezbranój, i zdaje mu się, że niekoniecznie pójdzie pod wodę; tak samo bronił się Nanio przeciw napierającym wałom topieli, która go pochłonać chciała!

— Jeszcze przecież nic pewnego nie wiem. Cze-muż uważam wszystko za stracone! Kobiety mają swoje kaprysy. Lubią często, aby się im nieustannie narzucano. Mój stryj dziesięć razy dostał odkosza od stryjenki, a za jedenastym przecież przyjęła go. Wprawdzie powiada ciocia, że dla tego przyjęła, bo innego tymczasem złowić nie mogła, ale ciocia jest to złośliwy jęczyzek. Wcale nie zawadzi, jeśli jej znowu drogę zastąpię. Stryj jest tego zdania, że stryjenka odrazu go pokochała, tylko próbowała jego stałości. Wszystko mi się zdaje, że ona mnie kocha. Inaczej nie byłaby się potknęła w bramie, nie byłaby zgubiła dwóch smacznych śliwek, a co gorsza, nie byłaby koło mnie takiego raka spiekła! Ona mnie kocha niezawodnie... a stryjaszek to przecież człowiek nie głupil..

Skończywszy taki monolog w duszy, zerwał się z sofy, i ku niemałej pociesze korrepetytora, który snadź coś przeczuwał, wybiegł znów na kurytarz, na którym usłyszał nagle dźwięki jakiejś smutnej melodji.

— Tam do kata! — mruknął do siebie — to jak-by ona grała. Stary eskulap ma klawikord, wiem o tém, bo często na nim kłapie. Ale te tony wychodzą z pod ręki kobiecój! Są rzewne i jakby skarżące się!...

Stał chwilę na kurytarzu i pełną piersią chwycił w siebie te miękkie, skarżące się tony! Na jego twarzy widać było rosnącą namietność. Niepewność zbudziła w nim nieznane dotąd uczucie. Pierwój, gdy marzenia jego były tak pewne i naprząd obliczone, myślał spokojnie o Paulinie, tak jak się myśli o każdej przyjemności, która nas ominąć nie może. A dzisiaj zdawało mu się, że za jedno ściśnięcie ręki, za jedno wejrzenie byłby w ogień skoczył i żywcem dał się upiec na kracie żelaznej!... Szczupły zakres jego duszy rozszerzył się nagle, a nawet w téj chwili byłby zdolny uczynić coś nad swoje siły. Nawet odwagi przy-bło mu.

Śmiała myśl zaświtała mu w głowie. I zaraz jednocześnie prawie z myślą, powziął niewzruszone postanowienie.

Chwycił za klamkę do drzwi starego Szota.

Eskulap wybijał właśnie obu rękoma, stojąc przy klawikordzie. Miał na sobie tę samą perukę, ten sam frak markizowski ceglastero koloru i buty z żółtymi sztylpami. Na odgłos dzwonka, który był przy drzwiach wyszedł z drugiego pokoju do swego gabinetu.

Nanio nie widział ani wisielca rodem z Siedmiogrodu, ani opryszka z Karpat. Prędko postąpił na środek izby, aby przez drzwi otwarte ujrzyć grającą Paulinę.



Paulina siedziała do niego profilem. Była to najwygodniejsza dla niego pozycja. Mógł doskonale widzieć, jakie wrażenie jego obecność na niej sprawia.

— Czém mogę służyć panu dobrodziejowi? — zapytał eskulap, grożąc zamknięciem drzwi do drugiego pokoju.

Nanio przestraszył się.

— Pierwsza moja prośba jest — odpowiedział gość — abyś pan konsyljarz zostawił drzwi otwarte. Słabość moja jest to pewne rozstrojenie nerwów, muzyka, a zwłaszcza tak sympatyczna, sprawia mi bardzo miłe wrażenie.

Eskulap uśmiechnął się i zostawił drzwi otworem. Ucieszony swoim konceptem, spojrział Nanio na profil Pauliny. O zgrozo! Najmniejszego wrażenia tam nie ujrzał. Nie była nawet ciekawą popatrzeć się na niego, dowiedzieć się, kto przyszedł! Grała dalej, patrząc w ноты z największą uwagą. Prócz нот, nic jęj w tęj chwili nie obchodziło!... Nanio posmutniał, i bardzo mu było na rękę, że eskulap odwrócił się od niego, aby Paulinę skarcić wzrokiem za kilka tonów fałszywych. Nanio nie słyszał tego potknięcia się, i byłby ucie nie słyszał, gdyby sama św. Cecylia grała w orszaku aniołów!...

— Więc mówisz pan, że cierpisz na nerwy?—mówił do niego eskulap. — O! wiek dziewiętnasty jest wiekiem chorób nerwowych! Nasi przodkowie nie znali tęj choroby... a mówiąc krótko, może panu świadczenia potrzeba dla profesora!

— Nie, panie, rzeczywiście jestem chory, i to bardzo chory!

Rzekłszy to, spojrział znowu na profil zagadkowy,

dziewczęcia. W profilu najmniejszej zmiany nie było. Grała dalej, jakby go wcale nie słuchała.

— Pokaż pan puls — rzekł eskulap, wkładając okulary.—Raz, dwa, trzy...

Tu zaczął głową ruszać, a na jego czole zbierały się fałdy.

— Cóż pan sądzi? — zapytał smutno Nanio.

— Jest *alterativ*... puls gorączkowy... — wyrzekł po chwili eskulap i zaraz odwrócił się twarzą do drugiego pokoju, bo w tęj chwili wzięła Paulina wszystkie ноты fałszywie.

Nanio nie zważał na grę, tylko oczy wlepił w jęj profil skamieniały.

— Więc gorączka, nerwy rozdrażnione, puls nie-regularny... raz, dwa, trzy, cztery... Paulino zmyliłaś moje dziecię!

Paulina odjęła ręce od klawiszów i złożyła na piersi.

— Będę czekała na doktora — rzekła tak miłym głosem, że mniemany pacjent zupełnie stracił przytomność.

Popatrzył znowu na jęj twarz, ale nie było tam najmniejszej zmiany. Spoglądała przed siebie tak upoczywie i z takim zajęciem, jakby o tём wcale nie myślała, co się tam w drugim pokoju dzieje! Nanio był nieutulony. Rzeczywiście dostał gorączki i trząsł się cały. A Paulina była tak piękna, jak najpiękniejsza statua z kararyjskiego marmuru!...

— Więc ja panu coś zapiszę — rzekł eskulap, — ale niech pan ze swojej strony postara się o spokój i wypoczynek, jeżeli to z pracy wytężonej pochodzi.



— Nie, panie łaskawy—odparł szybko Nanio,— to nie z pracy... ale, ale z wielkiego zmartwienia.

To mówiąc, wlepił oczy w fatalny profil kobiecy. Na całej półtwarzy nic nie zadrgało, nawet powieka nad okiem wyglądała, jak skamieniała.

— Z wielkiego zmartwienia?...—powtórzył eskulap, a czoło jego sfałdowało się. — O! to najgorsza przyczyna! To działa na nerwy i niszczy cały organizm! Zmartwienie to tak, jak trucizna! *Nescit medicina tollere!*... Medycyna usuwa powód słabości, a cóż może usunąć pańskie zmartwienie?

Nanio spojrzał litośnie na zakłęty profil Najmniejszej oznaki współczucia!

— Zmartwienie moje jest bardzo fatalne—rzekł pochwili, — i czuję, że mogę upaść pod niem.

Tu powinna się rozbić najtwardsza opoka. Nawet zimna syrena poczułaby lzy w oczach... Nanio spojrzał przez próg do drugiej izby—ani znaku litości! Wzięła rąbek od sukienki i spokojnie się nim bawiła...

Zastraszony takim wyznaniem eskulap, wziął się do pulsu i z największą uwagą liczył uderzenia. Nanio uderzył w ostatnią strunę. Była to struna rozpacz.

— Może panu doktorowi przeszkadzam — ozwał się głosem ponurym. — Tam ot uczennica zaczyna się już nudzić, że ja o nieszczęśliwej mojej słabości tutaj z panem rozmawiam. Może więc później...

Z profilu zwróciła się teraz Paulina *en face* do niego. Mógł wybornie widzieć te śliczne, czarne oczy. Teraz nie mu ująć nie mogło. Najmniejsze wzruszenie serca, nieznaczny przebieg myśli, musi się odbić na jej twarzy.

— Nie, panie — ozwała się słodkim głosem, — nie przeszkadzasz pan nam wcale.

Wyteżył o ile mógł wzrok, aby schwycić wyraz jej twarzy i tych ślicznych, czarnych oczu. Niestety! Był tam spokój głęboki, największa obojętność dla wszystkiego, co ją otaczał...

Krew ścięła się w nim lodem. Odwrócił się od zimnej, nieczemnej syreny i spojrzał na szafę z trupiem głowami. I dziwna! Na jednej czaszce stał napis: Waryat nr. 1... na drugiej: Waryat nr. 2 i t. d.

Tymczasem eskulap napisał receptę i zbliżył się z nią do pacjenta. A widząc, że ten przypatruje się jego zbiorom, wcisnął mu do ręki receptę i rzekł:

— To pan będziesz zażywał i położysz się w łóżko. Popołudniu odwiedzę pana. Wszyscy ci, których pan tu w szafie widzisz, mieli także zmartwienie!

Rzekłszy to, uklonił się pacjentowi, i z wielką uniżonością drzwi mu otworzył. A nim Nanio dwa kroki na kurytarzu zrobił, już słyszał, jak Paulina dalej grać zaczęła, jakby nic nigdy nie zaszło!

Korrepetytor czytał ciągle w siniej książce i nie uraczył nawet Nania ironicznym swoim uśmiechem. Nanio chodził szerokimi krokami po pokoju i podgartywał w tył włosy. Twarz jego była czerwona, oczy paliły się ogniem niezwykłym.

Korrepetytor spojrzał na niego z ukosa i rzekł:

— Możebyśmy co powtórzyli z odczytów.

— Powtarzać!—zawołał Nanio w rozdrażnieniu—powtarzać? Co mam powtarzać te wszystkie głupstwa



i przywidzenia profesorskie, które jak plewy rzucają nam z katedry!... Ażeby zarobić sobie na pensyą, wymyśla niestworzone androny, i karmi nas niemi aby godzinę wypełnić i mieć przynajmniej trzech słuchaczy!...

— Cóż cię to tak nagle ukąsiło?—zapytał korepetytor, odwracając oczy od siniej książki.

— Nic mnie nie ukąsiło! Takie jest moje zapamiętywanie się na świat! Jeżeli ty od siniej książki odwrócisz się i w świat rzeczywisty zrobisz wycieczkę, to sam poznasz, jakimi plewami nas tu karmi!... Cóż się nam z tego życia zostanie?... — Nic, i jeszcze raz nic!...

— Zapomniałeś, co mówi Cycero o naukach i umiejętności... —

— Niech mówi, co chce!... Był on taki sam błazen, jakich i my w koło siebie i dzisiaj widzimy. Pisał, i gardłował o republice, o powinnościach obywatela, o wolności i prawach rzeczypospolitej, a zaledwie orły Cezara do Rzymu wtargnęły pierwszy poleciał wycierać przedpokoję zdobywcy i prosił go zapewne o klucz szambelański!... Podły krasomówca!... A dzisiaj u siebie nie mamy takich krzykaczów?... A jedyny pocziwy człowiek Katon, no to coż zrobił?... Brzuch sobie rozpruł i basta! Bo i po coż miał dłużej patrzeć na ten świat podły i brzydki, który nie wart jest zagięcia palca!...

Korepetytor wypatrzył się zdziwiony na kolegę. Nigdy jeszcze nie widział w nim takiej energji! A nawet ta swada była mu zupełnie obca!...

— Dla czegoż nagle tak czarno począłeś patrzeć na wszystko?—zapytał po chwili.

Nanio coraz prędzej chodził po pokoju. Włosy miał rozwiane na wszystkie części świata i wyglądał zupełnie na kandydata do szafki eskulapa!...

— Czy to czarno u ciebie? — Odparkł z gryzącą ironią. — Zazdroszczę ci, albo ubolewam nad tobą! I dziecię długi czas bawi się cackami, któremi je obłoży piastunka. Ale nadchodzi czas, w którym te cacka odrzuca od siebie i tłuczel!... Mamyż być ciągle dziećmi? Z roku na rok podają nam do rąk coraz nowe cacka, a my zamiast użyć młodości, bawimy się temi głupimi cackami! To łacina, to algebra, to historia, to filozofia etc., nie sąż to cacka, obliczone, aby nam czas cały zapelnąć!... A my starzejemy się tymczasem i jesteśmy lojalnemi dziećmi, bo tak piastunka nam bawić się kazała!...

— Mówiąc o naukach i umiejętności, zaczynasz bluźnić.

— Bluźnić? Czyż bluźni ten, któremu łuski z oczu spadną? Czémże jest ta historia? któż ją pisał? Mnich po obiedzie zapisywał dla rozrywki różne fakta i anegdotki, które braciszek z wycieczki mu naznosił, a uczoney Niemiec zasiadł w szlafroku nad temi księgami i wymyślił z nich znowu coś nowego. Pozszywał, co się nie trzymało, czego chciał *a priori* dowieść, dowiódł i na nasze udręczenie napisał dziesięć razy grubszą księgę, niż wszystkie księgi razem, z których czerpał!... I ja mam potem tej uczonej szlafmocy wszystko wierzyć?... Przychodzi drugi, burzy cały jego system i powiada: „On kłamał, a ja dopiero prawdę mówię!” A tymczasem sto lat karmiono się tém kłamstwem! A gdzież rękojmią, że za lat sto po nas nie nazwą tego wszystkiego głupstwem, czego się obecnie



uczymy! Ileż to już systemów filozofii Niemcy za głupstwo uznali?...

— Dla Boga, już na filozofią uderzasz?—zawołał korepetytor, chwytając za siną książkę.

— Wierzaj mi — ciągnął dalej Nanio — niedawno zeszedł z widowni świata Napoleon. Jeszcze rozrzucone są między nami resztki wielkiej jego armii. A ręczę ci, że za sto lat wyjdzie w Stuttgarcie maleńka książeczka, w której dowodzić będzie uczony autor, że Napoleon nigdy nie żył na świecie i jest tylko mitem!... I dowiedzie, że ludzie zmysłowi wzięli ideę za człowieka i ubrali ją w kapelusz trójgraniasty, tak jak bezbożnik jakiś napisał, że pisarze katolicy z idei złego zrobili dyabła z rogami!...

— Musiał cię strasznie świat zranić mój Naniu!...

— A kogóż ten świat nie rani? Na każdym kroku widzimy jakiś niedorzeczny dnalizm, jakąś walkę między złem a dobrem. Zaledwie słońce błysnie, już ci zaraz za kołnierz deszcz lunie—zaledwie się w lecie ogrzejesz, już nadciągają chmury ze śniegiem — pięć miesięcy rośnie biedna roślina i ściąga zkąd może soki, w szóstym przychodzi mróz i warzy ją, jak ukropem!... A spojrzysz-no w krainę zoologii! Ileż to tam niekonsekwencyi, ile grzechów!... Jedno żyjątko zajada drugie, robak dybie na korzonki roślin, a na robaka dybia kaczki i cała gromada ptactwa! Cały łańcuch niekonsekwencyj ciągnie się przez świat widomy, a w niewidomym może jeszcze gorsze rzeczy się dzieją! Od panny, czyli nimfy wodnej, która zjada własną siostrę, aż do człowieka, króla czy tyrana stworzenia, który woły i cielęta w jatkach zabija, wszędzie największa niekonsekwencja w organizacji świata! A w książkach

piszą, że świat jest tak doskonale urządzony, jak majstersztyk zegarmistrza!...

Nanio odsapnął i włosy w tył zarzucił. Na twarzy jego malowało się nadzwyczajne wrażenie. Pięście miał zaciśnięte, jakby cały świat do walki wyzywał. I niezawodnie byłby zwyciężył w tej chwili, bo miał w sobie więcej siły, niżeli w zwyczajnym stanie.

Korepetytor patrzył na niego z uwagą. Lekko zarysowany uśmiech koło ust jego wskazywał jakieś ukryte zadowolenie. Po chwili ozwał się z ukośnym wejrzeniem:

— Sądzę, że przecież na świecie jest coś doskonałego! Naprzykład: kobieta!

— Kobieta! — krzyknął Nanio, aż szyby zabręczały,—kobieta! ha, ha, ha!... Ale nie, masz słusność. Jestto prawdziwe arcydzieło stworzenia! Jeżeli bowiem chodzi ci o komplikację maszyny; jeżeli patrząc do środka, ćmi ci się w oczach od tysiąca kółek i kółeczek; jeżeli chcesz widzieć najrozmaitszą grę kolorów i kształtów, jak w kalejdoskopie: — to tylko spojrzysz w serce kobiety! Słowem, jeżeli wpatrzysz się w tę kunsztowną mozaikę, z mikroskopowych kamyczków złożoną, zobaczysz tam właśnie to, czego widzieć zadasz. Jeżeli różowo na świat się zapatrujesz, to będziesz tam widział anioła! Jeżeli zaś patrzysz okiem rozczarowanym, to ujrzysz szatana!

— Dla Boga, co ty bredzisz!

— Jak się zetkniesz ze światem, to poznasz, że nie bredzę! Oho, ho! kobieta w życiu jest zupełnie inną, niż w romansach Lafontaine!... Jestto istota nigdy nienasycona adoracją. Jak pająk, rozstawia sieci, ła-



pie muchy i komary i wysysa im życie! Bo czémże jest mężczyzna, którego sercem, jak pajak muchą, bawiła się czas niejaki kobieta, a potem rzuci go, bo właśnie nowa zdobycz ugrzęzła w rozstawionej siatce!... Wierząc mi, że taki mężczyzna wolalby leżeć, jak mucha z zadartymi łapkami, niż chodzić po bożym świecie. O, tak! kobieta, jest to najpierwsze zło, które z puszek Pandory najpierw na świat wyleciało!... Dopokąd jesteś obojętny i spokojny, to cię chwyta wprost za serce ognistymi spojrzzeniami! Będzie się rumieniła i mięszała, różę wyhaftuje zielono a listek ponsowy zrobi, ale gdy obaczy, że wzajemność wywołała, to schowa się w swoim pokoiku, w swojej norze, jak mysz, która nabroiła! A gdy siędzie do fortepianu, to tak się zajmie pałkami na papierze malowaniem, że cię nawet jednym wejrzeniem nie uraczy!... Brzydkie, podłe stworzenia!...

Nanio usiadł na krześle, bo mu już sił nie stało. Za to wstał korepetytor, a zbliżywszy się do niego, położył mu rękę na jasnozielonym ramieniu i rzekł:

— Odtąd mój Nanio, będę cię nazywał Ignacym. Po krytyce dziejów, filozofii, społeczeństwa i kobiet, nie przystoi ci przezwisko „Nania“. Nie wchodzę dzisiaj w to, czy źle mówiłeś. Wszelka dyskusja byłaby w tej chwili z tobą niepodobna. Ale to samo, że do swoich zastanowień wzięłeś tak wielkie przedmioty, jakimi są: historia, filozofia, świat cały i kobieta, daje ci dyplom, żeś z „Nania“ awansował na „Ignacego“. Nastrojenie życia do wyższych rzeczy, bodajby tylko krytyki, jest zawsze postępem, nie wchodząc w to, jakie były motywa — chociażby tylko błękitne, albo czarne oczy!... A teraz bądź zdrów, Ignacy! Praw-

dopodobnie pójdziesz na obiad, a ja jestem dzisiaj zaproszony do stryja kanonika!...

Rzekłszy to, korepetytor, uśmiechnął się skrycie, a wzięwszy siną książkę pod pachę, wyszedł z pokoju.

Nad wieczór otworzyły się na dolnym kurytarzu zęcha drzwi dębowe. Paulina wyszła ostrożnie na kurytarz. Miała twarz daleko bledszą niż zwykle, a oczy wyglądały jak po płaczu. Trzymała w ręku kwiatek astra i obrywała z niego listki.

Stała chwilę w tym samym oknie, w którym rano porozrzuciła błękitne listki. Potem poszła do okna, w którym stał Ignacy, gdy z listków kwiatka dowiadywała się o wyroczni. Patrzyła w niebo, na którym takie same, jak wtedy płynęły obłoki i obłoczki!...

Po chwili zwróciła się ku bramie. Szła nadzwyczaj ostrożnie i cicho. Za każdym krokiem nasłuchiwała, czy czego nie usłyszy. Wszędzie było głucho i pusto. A cały kurytarz był jakiś taki smutny, taki posępny, jak nigdy!

Wreszcie zwróciła się ku schodom. Weszła na jeden, drugi, trzeci. Tu stanęła i zadumała się. Sięgnęła do oczu i niby łzę otarła. I zaczęła znowu nasłuchiwać, czy nie usłyszy jakiego szmeru, jakiego szelestu, lecz wszędzie było cicho i głucho.

Wreszcie skrzypnęły drzwi na pierwszym piętrze. Jak łania spłoszona, zbiegła prędko ze schodów, i jak strzała puściła się dolnym kurytarzem ku



drzwiom dębowym. Tam zatrzymała się i zaczęła znowu nasłuchiwać. Wyteżyła naprzód głowę, usta różowe na pół otwarła, jak kielich spragnionego kwiatu... A po chwili zarumieniły się jej lica jakąś radością. Usłyszała bowiem na schodach kroki, po których poznała oczekiwanego eskulapa.

Wybiegła naprzód ku bramie i spotkała eskulapa właśnie na ostatnim schodzie.

— A gdzież to tak śpiesznie, moje dziecię? — zapytał eskulap w peruce.

— Chciałam w bramie zaczerpnąć świeżego powietrza! — odparła z figlarnym, jak zawsze, wejrzeniem.

Gdyby to nie był zmrok wieczorny, eskulap poznałby po oczach faworytki, że dzisiaj wcale nie wyglądały figlarnie.

Wzięła starego Szota za rękę, jak to zawsze czynić była zwykła, a przymilając mu się jak koteczka, rzekła:

— Czy pan Marcin z domu idzie?

— Wszak widzisz kiciu, że idę z domu, a nie do domu — odparł z roztargnieniem eskulap.

Paulina straciła wątek dalszych zapytań. Myślała, że jej się uda inną odpowiedź dostać od eskulapa.

Tymczasem odpowiedź wypadła inaczej. Ale za chwilę rozjaśniły się jej oczka. Wpadł jej do główek nowy sposób zapytania.

— To przecież być nie może — szczebiotała pieszczotliwie — aby pan Marcin ze swego pokoju wychodził. Tak dobrze znam, jak się drzwi od gabinetu otwierają, żeby na końcu miasta poznała. To nie były drzwi od gabinetu.

Eskulap pogłaskał ją pod bródkę, zajrzał w oczki i rzekł:

— To ty mnie tak szpiegujesz, gołąbko? Toż stary Szot nie wie, że każdy krok jego jest strzeżony przez kogoś?...

— O! Paulinka wszystko wiedzieć musi! — wtrąciła dziewczyna, wykręcając się popod ręką eskulapa.

— Otóż zgadłaś moje dziecię. Nie były to moje drzwi, które skrzypnęły. Byłem u pacyenta, u sąsiada.

Paulina zamilkła chwilę. Coś nagle wstrzymało jej słowa. Eskulap myśląc, że rozmowa już skończona, zabierał się do dalszej drogi. Ale Paulina rzekła właśnie w tej chwili, niby od niechcenia:

— A... ha... to zapewne ten pan, co był w południe...

— Ten sam.

— A cóż mu takiego? Czy mocno chory? — zapytała z widoczną obojętnością.

— Ma gorączkę, leży.

— A czy nie może z tego być coś gorszego?

— Cóż cię to tak obchodzi, moje dziecię?

— Mnie... nie... to wcale mnie nie obchodzi... Nie lubię bardzo, gdy w naszej kamienicy jest chory... a.... broń Boże... gdyby... gdyby chory chciał umrzeć!

Ostatniego słowa nie mogła Paulina zrozumieć wy mówić, témbardziej, że twarz i oczy przycisnęła do ramienia starego eskulapa! Eskulap nie miał jakoś dzisiaj daru spostrzegania. Do tego było już w bramie zupełnie szaro.



— A zkaż ci tak smutne myśli do główki przychodzą? — zapytał eskulap, odgartując złote loczki z białego czoła.

— Od kilku dni mam jakieś niedobre przeczucia! — szeptała zcicha Paulina, a w jej głosie drżały łzy.

— Przez trzy dni nie dostaniesz odemnie żadnej książki. Za to musisz robić jakąś ręczną robotę. Czytanie rozdrażnia ci nerwy. Mój sąsiad choruje także na rozdrażnienie!

— A może potrzeba mu co zgotować? — zapytała po chwili nieśmiałym głosem — bo to ci biedni studenci nikogo nie mają... Ale nie... toby jakoś dziwnie wyglądał!

— Dla czego dziwnie? — odparł pocziwy eskulap; — dobry uczynek nigdy dziwnie nie wygląda!... A właśnie zdałby się kleik z kaszy jęczmiennéj...

— Dobrze, ale... on nie potrzebuje wiedzieć, kto to zrobił!

Eskulap uśmiechnął się, pogłaskał Paulinę po twarzy i rzekł:

— Masz zapewne na myśli Pismo Święte, które mówi, że przy dobrym uczynku nie powinna lewica wiedzieć, co daje prawica. Dobrze, moje dziecię, to mi się podoba. Zrób więc, a jak będzie wszystko gotowe, zawołaj Janka od stolarza, którym często się posługuję i każ mu tam kleik zanieść. Niech powie, że to odemnie.

Paulina chwyciła rękę eskulapa i zaczęła ją okrywać gorącemi pocałunkami. W jej czarnych oczkach błysnęło takie szczęście, jakiego już dawno, dawno, a może nigdy jeszcze niezaznała! Szczęściem dla niej, był wieczór. Eskulap nic z tego wszystkiego nie

widział. A gdy po chwili do kieszeni sięgnął, aby na drzewo i kaszę jęczmienną dać kilkanaście groszy, Paulina zatrzymała jego rękę, mówiąc, że wszystko ma w domu. I nim jeszcze pocziwy Szot na to coś odpowiedzieć zdołał, wywinęła mu się zgrabnie z pod ręki i jak strzała znikła.

— Złote serce! — rzekł do siebie eskulap, patrząc za uciekającą. — Taką kubek w kubek jest moja Julia. Piętnastego września niezawodnie zastanę ją na górze.

Trzy dni leżał Ignacy w łóżku, nakryty ciepłą kołdrą po same uszy. Na stoliku koło łóżka mnożyły się z każdym dniem flaszki i flaszeczki z długimi papierkami u szyjek. Wszystkie prawie flaszki były napełnione jakimś białym płynem, a woń miały migdałów. Eskulap przychodził trzy razy na dzień i liczył mu puls prawej ręki. I zawsze ruszał głową, nakrywał mu piersi i zalecał jak największy spokój. Korrepetytor z siną książką siedział także przy chorym, pośrednicząc kiedy niekiedy między nim a światem. Ignacy niebardzo mu się sprzeciwiał, gdy mówił o historii i filozofji, ale o rehabilitacji kobiet nie chciał nic słuchać. Wpadł w gorączkę, bił rękoma w ścianę i poprzysięgał wieczną nienawiść temu pajęczemu rodowi, który tylko na to siatki robi, aby z ofiar swoich krew wysysać!...

Do starego zaś eskulapa z każdym dniem czuł większe przywiązanie. Janek bowiem dziesięć razy na dzień chodził do niego z różnemi garnuszkami i farfurkami, i tak szczegółowo wypytywał o upodobanie pacjenta, jakby jaka matka rodzona. Często nawet zapuszczał się w rozmowę z chorym, i takimi frazesa-



mi go pocieszał, jakby mu je ktoś naumyślnie do głowy w tym celu włożył. Oczywiście nikt inny, tylko stary Szot, któremu Janek usługiwał.

— Wiesz Wojciechu— rzekł razu pewnego Ignacy do korrepetytora — ten poczciwy Szot, to człowiek bardzo rzadkich przymiotów. Co to za wielkie serce! A jak on umie ująć sobie chorego. Wierzaj mi, że więcej działa na moje nerwy ta dobroć i to macierzyńskie uczucie doktora, niżeli jego mikstury. Jakoś zdrowszym się czuję, gdy go widzę, lub gdy jego Janek do mnie przyjdzie. Mam bowiem dowód oczywisty, że ten świat nie jest przecież tak głupim. A jeśli człowiek ma przekonanie, że go choć jedna istota na świecie kocha, to już nie będzie złorzeczył światu, choćby go poił żółcią i octem!... Powiadają, że Szot jest dziwakiem, że wierzy w jakiś tam romans czterdziestoletni. A ja ci mówię, że wszystko, co jest w nim dobrego i szlachetnego pochodzi z téj jego wiary, że go dotąd ktoś tam kocha i jest mu wierny!

I zamarzył sobie boleśnie Ignacy, widząc się na szerokim świecie tak osamotnionym! Wprawdzie smutną rzeczywistość wynagradzał sobie rozkosznymi snami. We śnie bowiem widywał Paulinę z błękitnym kwiatkiem w złotych loczkach, w białej sukience, a nawet słyszał jój srebrny głosik, gdy śpiewała:

Gdyby to jakim frasunkiem...

Ale zaraz potem następowało:

Choć się serce do cię zrywa

Choć o tobie śnię —

Ach ja biedna, nieszczęśliwa,

Już nie kocham cię!...

Wtedy oddech jego był ciężki. Zdawało mu się, że jakiś ciężki kamień położono mu na piersiach. Szamotał się we śnie i wzdychał tak głęboko, że aż korrepetytor musiał się budzić i głośno pytać go o przyczynę tak strasznego snu.

— Ach! śni mi się, że jakaś zimna zмора przyległa mnie, i nie mogłem jój się pozbyć. Chciała się dożreć mi do serca.

I tak minęły trzy dni wśród gorączki i rozdrażnienia. Dzięki jednak flaszkom starego eskulapa, a może i owym trzem dniom, Ignacy wstał z łóżka, i poraz pierwszy ubrał się znowu w jasno zielony tuzurek.

Patrząc w zwierciadło, zdawało mu się, że tylko nieco przybladł i zmizerniał, a zresztą nic się w nim nie odmieniło. Korrepetytor zobaczył w nim wielką zmianę.

Nie było wprawdzie w jego całym obejściu rozdrażnienia i gwałtowności, z jaką przed trzema dniami na cały świat powstawał, ale téż i dawne jego usposobienie już nie wróciło. Był spokojniejszy na pozór, ale w głębi duszy ulokował się jakiś żal do świata, jakaś sentymentalność, która dawniej była mu zupełnie obcą. Zdania jego nie miały już barwy zarzucia i lekceważenia, ale pewna miękkość i uległość przebijała się w każdym słowie. Krótko mówiąc, nie był to lot ptaka, śmiało szybującego pod chmurami, ale lot—ptaka zranionego.

Nawet dla najbliższego otoczenia swego był zupełnie inny. Zaledwo wstał z łóżka, przyszedł pewnego razu jakiś żebrak z małym dziećciem na ręku. Ignacy w takim razie skory był do morałów, ale nie do



kieszeni. Tym razem nic nie powiedział, tylko wyjął sakiewkę i żebrakowi dał jałmużnę. Za godzinę zjawiał się u drzwi znany w całym mieście próżniak i opóję z trądami na twarzy. Ignacy sięgnął także po sakiewkę.

— Na co dajesz temu pijakowi? — ozwał się korepetytor.

— Któż wie, co go do pijaństwa popchnęło? — odparł Ignacy, i kilka groszy wsunął do ręki próżniakowi.

Na kolegiach, przed rozpoczęciem odczytów wniósł ktoś, aby dla biednego współucznia, który zasłabł, zrobić składkę koleżeńską. Ignacy wyjął ostatniego talarka z Matką Bożką i oddał w ręce inicjatora, rezygnując tym sposobem z nowej chustki pod szyję, którą widział na wystawie u Birnbauma. Słowem, Ignacy zmienił się wiele, a nikt z kolegów jego nie przeczuwał, że powodem tej zmiany była mała, nieznana istotka, oraz nieprzewidziane zranienie szczęśliwego dotąd panicza.

Mimo najoczewistszej prawdy, że Paulina wcale o nim nie myśli, odzywał się jednak w głębi serca jego jakiś głos tajemny, który podczas godziny filozofii i historii przywoływał mu Paulinę przed oczy. Wtedy zdawało mu się, że jeszcze nie powinien całej tej sprawy uważać za straconą, a przynajmniej powinien jasno i otwarcie się przekonać, że już dla niego niema żadnej nadziei.

Dwa dni upłynęły w walce między nadzieją a rezygnacją. Na trzeci dzień przyszedł Ignacy do smutnego przekonania, że rezygnować nie może, a o nadzieję bardzo trudno!... Gdy się szala na stronę rezy-

gnacy przechylała, wtedy stawiała przed nim owa scena na ciemnych schodach w cudownym jakimś oświetleniu! On miał ją w swoich objęciach, czuł na swjej pierś przyspieszone bicie jej serca — a samo to przypomnienie burzyło w nim wszystkie pulsa, odbierało mu oddech, twarz jego okrywało rumieńcem!... Jakże to wyrzec się takich snów, takiego szczęścia!... A gdy znowu z drugiej strony przypomniał sobie, tę zimną i obojętnie idącą koło niego Paulinę; gdy mu stanął przed oczyma ten marmurowy, niewzruszony profil, patrzący zawzięcie na pałki malowane na papierze, które na klawikorcie leżały: wtedy znikaly wszystkie nagromadzone starannie resztki nadziei, a widział się tak samotnym na szerokim świecie, jak palma w pustyni arabskiej!...

Aby jednak sercu i rozsądkowi zadość uczynić, postanowił Ignacy jeszcze tego samego dnia, pod jakimkolwiek godziwym pozorem udać się do starego Kordysza i tam z zachowania się Pauliny zreferować dla siebie wyrok ostateczny.



VIII.

**T**ego samego dnia wyprawiał właśnie Kordysz dla młodziej generacyi miasta nader pocieszne widowisko. Były bowiem chwile, w których stary ułan różnił się chodem i ruchami od wszystkich mieszkańców.

W każdym mieście jest pewna część publiczności, składająca się z małoletnich i próżniaków, która pilnym okiem obserwuje wszystko, co się na ulicy dzieje. Przed jej bystrym wzrokiem nic się nie ukryje. Najmniejsza drobnostka, wystająca po nad codzienne formy i zwyczaje, uderza tych obserwatorów ulicy i jakby nicia magnetyczną ściąga ich ze wszystkich ulic koło biednej ofiary. Strój niezwykle, czapka z zagiętym rogiem, mina niecodzienna, lub wreszcie niezwykajny ruch nóg i rąk, słowem pierwsza lepsza postać odznaczająca się czémś, nawet nieokreślonym, zgromadza setki ciekawych i długim sznurem ciągnie je za sobą.

Taką figurą nieszczęśliwą był Kordysz.

Już sam strój jego zdradzał niepospolitego oryginała.

Starzy ludzie, którzy się z pod tyranii mody wyzwolili, mają zwyczaj zatrzymywać na resztki życia taki krój stroju, jaki panował wtedy, gdy byli w najwyższym punkcie swego żywota. Jest to rodzaj szacunku dla najszlachetniejszych wspomnień. Pochwycili najpiękniejszą chwilę życia własnego i skryształizowali ją. Między nami chodzą, jak pomniki owej chwili i służą nam za drogowskazy już to życia towarzyskiego, już publicznego. Nic niema śmiesznieszego nad widok ludzi z przeżytą przeszłością, naciągających na pochyłe barki wymysły mody najświeższej! Nie wiedzą o tem, że ścierając z siebie znamiona przeszłości, snują się między młodem pokoleniem, jako istne karykatury. Ale czujący nie dadzą się na to złowić.

W całym mieście było tylko dwóch tak zwanych „oryginałów;“ małoletnie bowiem pokolenie nie rozumie podobnych petryfikacyi. Tacy ludzie są dla niego czémś niezwykle, a częstokroć śmiesznym.

Jednym z tych oryginałów był stary Szot. Zatrzymał swój frak ceglasty, perukę i sztylpy, jako strój z owego dnia, w którym na górze romantycznej poprzysięgła mu Julia miłość dożywonną. Mieszkańcy jednak przyzwyczaili się do tego stroju i uważali go za dawny ubiór wszystkich eskulapów. Zresztą stary Szot, idąc ulicą, szedł, jak każdy inny mieszkaniec. Czasami tylko oberwało mu się coś od znudzonego jakiego ulicznika, ale to nie miało żadnych donioslejszych skutków, bo eskulap zachowywał się w takim razie biernie, zazwyczaj lekcewarzył każdy dowcip wymierzony przeciwko jego peruce, a nawet i na obelgę nie odpowiadał.



Nie tyle jednak szczęśliwym był jego towarzysz, stary Kordysz.

Już sam wzrost jego miał dla ulicy coś niezwykłego. Był bowiem wyższy o pół głowy od najwyższego Żyda w mieście, a do tego jeszcze nieproporcjonalnie chudy. Nogi i ręce były dłuższe nad zwykłą proporcją, a ubiór powiększał jeszcze tę dysharmonię. Kordysz bowiem nie nosił nigdy innego ubrania, tylko kurtkę, czyli raczej spencer ułański. Zdawało się, że ten ubiór ze wszystkimi jego akcesoryami stanowił najwyższy szczyt jego życia. Zatrzymał go więc, jako jedyną, godziwą pamiątkę — a wszystkie z późniejszego życia odrzucił od siebie!

Wprawdzie oryginalny jego mundur, w którym wszystkie marsze po Europie z Napoleonem odbywał, leżał w skrzynce w największym poszanowaniu; w nadzwyczajnych tylko uroczystościach wydobywał go i pokazywał światu, który go nie rozumiał. Ale dla codziennego użytku kazał sobie we własnej izbie Żydkowi, zupełnie podobny sfabrykować, który tylko o tyle różnił się od oryginału, że nie było na nim żadnej oznaki stopnia, ani dodatków, na które rewizor miejskiej policji zgodzićby się nie zechciał. Zresztą cały krój tej kurty ze stanem wysokim, z wąskimi rękawami, z dwoma płatkami z tyłu i z piersią wysoko podwatowaną został zupełnie autentyczny. Do tego należał halsztuk niezmiernie wysoki i rajtuzy z szarego sukna, skórą u dołu wyłożone. Na prawém uchu trzymała się historyczna furażerka. Dodać jeszcze należy, że cały ten ubiór powszedni miał w wielu miejscach dosyć widoczne łaty.

Sam tedy strój Kordysza, spóźniony najmuńiej

o lat trzydzieści, już był dla próżniaków ulicznych niepospolitą ponętą. Do tego jeszcze przyczyniała się cała jego postać. Naprzód nogi miał tak krzywe, jak dwie szable tureckie razem złożone. Nie każdy ulicznik wiedział, że stary ułan wykrzywił sobie te nogi na koniu, jadąc z Hiszpanii do Moskwy. Twarz jego była podłużna i wąs sumiasty na dół spuszczone. Wiek i trudy pochyliły jego barki ku ziemi, a na tych barkach spoczywała część wawrzynów Napoleona.

Próżniak uliczny nie widział tych laurów, ale widział figurę nader zabawną. Rzucony na bruk miejski stary weteran był w swoim historycznym mundurze pyszną karykaturą dla miejskiej gawiedzi. Do tego jeszcze przyczyniał się chwiejny chód jego, jak to u każdego kawalerzysty bywa. Ruchy jego i manier nie były także zbyt zwyczajne. Najczęściej mówił coś do siebie, a wtedy gesta jego odnosiły się do niezrozumiałego innym monologu. A bywało nawet, że go widziano wywijającego ogromnym kijem ponad głowę, który prawdopodobnie w takiej chwili lancę miał wyobrażać.

Mieszkańcy miasta poważni i ulicznicy nie zastanawiali się wcale nad znaczeniem owych dziwacznych ruchów Kordysza. Widzieli tylko starego ułana, który prawdopodobnie sprawę zalewał. A bystrzejsze umysły widziały w nim w najlepszym razie jakiegoś półwaryata.

I w samą rzecz strasznie na to zakrawał stary Kordysz. Nikomu on wprawdzie nic złego nie czynił. W kościele Ojców Franciszkanów modlił się gorąco, a nawet czasem krzyżem leżał. Sam ubogi, często obdarzał żebraka grajcarem. Miał jednak chwile,



w których najzuchwalszy ulicznik uciekał od niego. Wtedy stawał zazwyczaj na środku rynku, prosił uliczników, aby się od niego na kilka kroków oddalili, a gdy to nastąpiło, zaczął z taką wściekłością wymachiwać kijem ku jednej stronie, gdzie miał stać niewidzialny jakiś jego nieprzyjaciół, że nawet rewizor policyi miejscowej z należytego oddalenia patrzył na niego.

Otóż właśnie tego samego dnia, w którym Ignacy postanowił pod jakimkolwiek pozorem odwiedzić dom Kordysza, był ten ostatni w jakimś niezwykłym rozdrażnieniu.

Było to jeszcze na długo przed wieczorem. Cały szeroki plac rynku przed „Starym cyrkiem,” zaczął napełniać się ulicznikami rozmaitego rodzaju, do których przyłączyły się klasy szkoły normalnej i młodsza generacja rzemiosł miejscowych. W samym środku stał Kordysz i kijem sękatym wywijał ponad głowę. Przy tém mówił niby coś do siebie, a niby do publiczności, i groził ku stronie, w której przypadkowo znajdował się prześwietny magistrat.

— *Mordie!*—wołał—co wy za ludzie! Wytrzeszczyliście oczy na Kordysza, jakby na raroga! *Mordie!*... Któż z was jest go dzien stanąć przy mnie... przy mnie, gdyś szedł na armaty!...

Tu spuścił kij sękaty ku ziemi, a twarz jego okryła się smutkiem. Pokiwał głową i zanócił.

San Domingo, Sommosierra—  
Nikt dziś na mnie nie spoziera!

Bo dziś na mnie same łaty,  
Kule, bomby i granaty!...

— Brawo, Kordysz, brawo!—krzyczała ulica.—  
Jeszcze raz, jeszcze raz!

Kordysz wypatrzył się na uliczników wzrokiem idioty. Zdawało mu się, że nie pojmuje téj rzeszy, że nie rozumie języka, którym do niego przemawia. Stał tak chwilę ku wielkiej ucieście uliczników i uczniów szkoły normalnej. Potém ocknął się, westchnął i otarł łzy dobywające się z pod powieki. Po chwili rzekł do siebie;

— Powiadają, że on umarł! I musiał umrzeć... bo inaczej, *Mordie*, nie śmiałyby się ta gawiedź ze mnie!... *Mordie*, wtedy Kordysz byłby w pełnym rynsztunku, i ot tak...

Tu rozpoczął pozorny atak ku stronie, gdzie był magistrat. Chłopcy uciekali i krzyk zrobił się wielki między przypatrującą się publicznością. Kordysz nie zważał na to wcale, tylko machał kijem i kłół zawsze ku jednej i téj samej stronie.

Na nieszczęście właśnie w téj stronie stał rewizor policyi miasteczkowej. Widząc Kordysza alarmującego cały rynek, puścił się ku niemu, aby go dobrym sposobem namówić do spokojnego ustąpienia z widowni publicznej.

Spostrzegł zaraz ten ruch stary ułan. Spuścił kij ku ziemi i rozśmiał się na całe gardło:

— Ha, ha, ha!... Patrzcie, już rewizor miejski rusza się ku mnie. *Mordie*, on myśli, że jego atakuje!... Ale że też zawsze mój nieprzyjaciół musi zawsze stać w téj stronie, gdzie i rewizor galicyjski. A ja



przecież do rewizora nie nie mam!... Oho ho! mój nieprzyjaciół to większy zwierz, to nie taki komar!... Ale dzieci, bądź co bądź, Kordysz nie miał respektu pod Sommosierrą... musi mieć respekt przed rewizorem miejskim, bo on Kordysza do kozy wsadził!... Chłopczy, kto ze mną, ten za mną!

Rzekłszy to, wznosił kij do góry i zwrócił się ku „Staremu cyrkulowi“, nócąc ulubioną piosnkę:

San Domingo, Sommosierrą!...

Miedzy młodszą generacją rzemiosł miał Kordysz zapalonych adoratorów. Wszyscy terminatorowie, zaczawszy od szewca aż do kowala, namiętnie lubili Kordysza. Jakiś instynkt nieokreślony przyciągał ich do starego ulana, a chociaż słowa i gesta jego rozbieszczały ich serdecznie, każdy z nich jednak byłby w ogień za nim poskoczył. W koło furazerki jego świeciła dla nich jakaś jasna aureola, a długie, sumiaste wąsy były dla nich rozkosznym marzeniem w nocach zimowych.

Otóż wielka liczba takich adoratorów jego wydzielila się na jego wezwanie z pomiędzy gawiedzi, i z okrzykiem radości, ku wielkiemu zadowoleniu kilku policyantów, ruszyła za starym Kordyszem wprost do bramy „Starego cykulu“. Reszta zaś tchórzliwych uliczników rozeszła się, goniąc za nowym łupem.

Na dziedzińcu „Starego cyrkulu“ zatrzymał się Kordysz. Powiół okiem po garstce wiernych adoratorów, i rzekł:

— Ojciec Franciszkanin prawdę mówił: „Wiele jest powołanych, a mało wybranych!“

I w samą rzecz, z całej gromady ciekawych załedwie dwudziestu stawilo się na placu. Zdawało się, że owa brama „Starego cyrkulu“ była, jakby szyją naczynia przeznaczonego do przefiltrowania szlachetniejszych żywiołów. Wszelkie grubsze i podlejsze części odpadały przy bramie, lub jak ciężki osad zostawały na rynku. Sam tylko najczystszy spirytus przecisnął się przez bramę i wszedł na obszerny dziedziniec.

I był to rzeczywiście wybór adherentów starego ulana, chłopiec w chłopca, jak wcielone zdrowie. Jedni byli w fartuchach osmolonych sadzą i zendrą, drudzy w patynkach wyglądali na adeptów sztuki szewskiej. Kilku śmielszych uczniów ze szkoły normalnej było także między nimi, lubo żywioły te nie harmonizowały podówczas z sobą.

Kordysz stanął w pośrodku i policzył swoich najwinniejszych. Spaścił kij do ziemi, i pochylony oparł się na nim. Na twarzy jego malowało się rozrzewnienie. Wodził oczyma po rumianych twarzach chłopców, którzy z wielką czią patrzyli w oblicze mistrza.

Pokiwał głową i rzekł niby do siebie:

— Tchórze! Było ich tysiąc, a zostało dwudziestu!... Powiadają, że on umarł!... I musiał w rzecz samą umrzeć, kiedy tyle tchórzów na świecie!... *Mordie!*... krzyknijcie hurra!

Z dwudziestu zdrowych piersi wyleciał głośny okrzyk, jakby jeden głos. Twarz Kordysza rozjaśniła się, ale zawsze był jeszcze na nią wyraz rozrzewnienia. Uśmiechnął się uśmiechem idyoty i rzekł:



— I po co przyszlście do Kordysza? jak powiada ojciec Franciszkanin: „Czy przyszlście oglądać człowieka w miękkiej szacie, czy trzcinę, chwiejącą się na wietrze?“... *Mordie!* Nie tak! Ojciec Franciszkanin mówił inaczej: „Dopuszczcie dziatkom przychodzić do mnie, a nie wzbraniajcie im; albowiem takowych jest królestwo boże!... Zaprawdę powiadam wam, kto by nie przyjął królestwa bożego, jako dzieciątko, nie wnijdzie do niego!...“ Ano, dzieci! *Mordie!* Głupi Szot powiada, że Ojciec Franciszkanin inaczej myślał od Kordysza!... A co, chłopcy, z kim wy?

— Z Kordyszem!—krzyknęło dwadzieścia gardzieli.

— A wiecie z kim Kordysz?—zapytał zdziwionych stary ułan.

Chłopcy milczeli, czekając jakiegoś niespodziewanego, zawsze jednak pociesznego zwrotu. Kordysz posmutniał, spuścił głowę i rzekł:

— Ten, z którym był Kordysz, a on z Kordyszem,—już miał umrzeć! Tak powiadają!... I musiał umrzeć, bo Kordyszowi coś bardzo smutno na świecie!... Chłopcy, trzeba się rozweselić!

— Hurra!—zawołali chłopcy z radością, widząc, że już zbliża się zwrot oczekiwany.

— Ba! To nie dosyć, weselić się! Ale jak!...—zawołał Kordysz, zwracając się do terminatora ślusarskiego.—Słuchaj Janku! Jeżeliś tamtęj niedzieli jadł tłustą kiełbasę, aż ci po brodzie ciekło, co robisz w dniach głodu?

— Myślę o kiełbasie i oblizuję się!—odparł buntnie ślusarczyk.

— A więc chłopcy *en avant!*—krzyknął Kordysz z radością, i podniósł kij do góry!—Szykuj się!

— A co będzie dzisiaj panie Kordysz?—zapytało kilka głosów.

— Sommosierra!—zawołał Kordysz; a twarz jego poczerwieniała.

— Sommosierra! Sommosierra!—krzyczeli chłopcy, i szykowali się w czwórki, jak to już nieraz czynić byli zwykli.

Kordysz stanął przed frontem, jak wódz naczelny, i założył ręce na krzyż.

— Hej, mój mocny Boże!—rzekł niby do siebie, a po długich wąsach kapąły mu łzy.—Mocny Boże! Głupia gawiedź tam na rynku śmiała się ze mnie, gdym wymówił Sommosierra! Albo ona wie, co to jest Sommosierra!... Przy tém słowie pręzą mi się żyły na rękach, jak batogi, a serce tłucze się w piersi, jak w dzwonie na Wielkanoc! Ohoho! Sommosierra, to więcej, niż Wielkanoc!... Przebacz Boże!—dodał po chwili, uchylając furażerki—przebacz Boże, jeżeli Kordysz bluźnierstwo powiedział, jak utrzymuje głupi Szot! Szot poczciwy człowiek, ale w tym-względzie głupi, jak but z lewej nogi!

I wyciągnął naprzód ręce, i drżącym od wzruszenia głosem zanocił znaną piosenkę, a chłopcy wtórzyli mu chórem:

San Domingo, Sommosierra!...

Po odśpiewaniu tego dziwnego chorału, który starego Kordysza nie mało obfitych łez kosztował, stanął cały zastęp w pogotowiu do ataku. Kordysz



z wielką uwagą obejrzał się dokoła. Przykładał rękę do czoła, jakby coś w oddali chciał dojrzieć.

— A gdzie nieprzyjacieli?—zapytał stojący na skrzydle ślusarczyk, chcąc wiedzieć, w jakim kierunku odbędzie się atak powtarzany przynajmniej co niedzielą.

Kordysz oglądał się ciągle wkoło siebie. Nagle utopił wzrok w jeden punkt jakiś w powietrzu, a przybierając wyraz twarzy obłąkanego, wskazał na ten punkt i krzyknął:

— Toż go nie widzicie? Ot tam stoi!... Jeszcze go nie zabiłem!

Ślusarczyk skierował całą szturmową kolumnę ku mniemanemu nieprzyjacielowi. Wszyscy spojrzeli na starego ułana, czekając niecierpliwie hasła do ulubionego szturm! Kordysz jednak milczał. Okiem osłupiałem patrzył ciągle w jeden punkt. Po chwili zaczął powoli obracać głowę, jakby szedł wejrzeniem za jakimś punktem ruchomym. Zadziwienie i przestрах malowały się na jego twarzy. Wodził oczyma wkoło co raz prędzej.

— Patrzcie, patrzcie!—zawołał — co to się dzisiaj dzieje! Dotąd stawał sam jeden wprost przedemną! A teraz jest tu i tam, z przodu i z tyłu, *Mordie!* źle z nami!... Rozwinął się nagle, jak robactwo w zgniłym serze! Zewsząd nas otacza, opasuje nas, jakby łańcuchem! Chłopcy! „*Carré!*”

Kolumna szturmowa już nieraz odbywała podobne ćwiczenia wojskowe. Przyzwyczajona więc była do komendy francuskiej, której rad używał stary ułan. Uderzyło jednak wszystkich, że dotychczas zawsze w jednej stronie stał mniemany nieprzyjacieli, a dzisiaj

coś zmieniło się w komendzie. Nieprzyjacieli rozmnożył się i otoczył szczupły hufiec dokoła. Była to więc nowość dotąd niepraktykowana na dziedzińcu „Starego cyrkułu.” Z radością więc przyjęli wszyscy tę szczególną wizję starego ułana, która zapowiadała im jakiś ruch skombinowany.

Kordysz jednak stał smutny i kiwał głową. Był w sytuacji dowódcy, który widzi niebezpieczeństwo zagrażające szczupłym jego siłom. Widać było, że w duchu układał plan jakiś, ale była to praca nie lada!

— Źle chłopcy!—zawołał po chwili — zewsząd nas otoczono!... Coraz ciaśniej, a wkrótce nie stanie miejsca, aby nawet lancą poruszyć! A lanca to broń jedyną! Bez lancy żadnej bitwy nie wygrasz!... *Carré* i stój! Kto sam pierwój nie atakował, ten teraz musi się tylko bronić! Rozumiecie chłopcy?... Tylko stać, jak mur i bronić się!...

— Stać jak mur i bronić się!—krzyknął ślusarczyk, a dwadzieścia pleców oparło się o siebie.

Kordysz spuścił kij ku ziemi i posmutniał. Po chwili rzekł do hufca:

— Bywa pora do ataku, a bywa chwila, w której tylko bronić się trzeba. W Hiszpanii, we Włoszech, w Niemczech atakowaliśmy, a pod Moskwą, nad Bereżyną, tylko broniliśmy się!... *Mordie!* Obsaczono, okrążono nas dokoła! A obsaczył nas kozak, mróz i głód... Ho, co! A wy, czego daliście się obsaczyć dokoła!... O głupia gawiedź! Piecuchy, kopcidymy! Toć wy myślicie, że Kordysz zwaryował lub się upił, gdy wskazywał wam, gdzie jest nieprzyjacieli; a teraz, gdy nieprzyjacieli rozrodził się, jak robactwo w zgniłym serze, gdy was ze wszystkich stron obsaczył, jak rybki na wigi-



lią, teraz wytrzeszczacie ślipy na Kordysza, aby was prowadził, kopcidymy i miechodmuchy!... Teraz nic nie robić, tylko stać, jak mur ściśniętym szeregiem i bronić się!...

Rzekłszy to, obszedł Kordysz kilka razy ściśniętą kolumnę do koła, czy gdzie luki nie zobaczy. Chłopcy stali, jak mur. I w samą rzecz zdawało im się, że niebezpieczeństwo im grozi, że nieprzyjacieli otoczył ich zewsząd. Dziwna wizja Kordysza tak rozdrażniła ich młodą wyobraźnię, że nawet niektórzy z nich czuli lekki dreszcz w okolicach pacierza. Była to dla nich rozkosz nie do opisania. Znana jest chęć zabawy w żołnierza u młodych chłopców. Wszystko więc to, czém żołnierz żyje i co go stanowi, jest dla nich uczuciem najprzyjemniejszym, a do tego należy przede wszystkim niebezpieczeństwo i trwoga. Kordysz tak daleko wierzył sam w niebezpieczeństwo, bo wierzył we wszystkie wizje swoje, i wiarą swoją tak umiał ich natchnąć, że stojący w szeregu chłopcy omal istotnie nadchodzącego nieprzyjaciela nie obaczyli. Spoglądali z uwagą przed siebie, i tylko czekali rozkazu dowódcy, aby odnieść świetne zwycięstwo i z trofeami powrócić do warsztatów. Ale o zwycięstwie nawet mowy być nie mogło, bo Kordysz przechodząc przed frontem, wołał ustawicznie:

— Stać, jak mur, i tylko bronić się!... Ho, ho, ho! I myśmy się bronili tylko! Hej mocny Boże! Berezyna... Lipsk...

Tu odstąpił na kilka kroków przed frontem, zdjął furazerkę, a oparłszy się na kij, zaśpiewał smutno ułamek z niewyczerpanych swoich piosnek wojskowych:

„Wkoło działa wróg gromadzi,—  
Któż was lepiej poprowadzi,  
Któż wam lepsze słowo powie?...  
Berezyna, Lipsk i Nowi!...

— Stać i bronić się!—zawołał na końcu śpiewki. I puścił się znowu wkoło kolumny. Nie zagrażało pewno wielkie niebezpieczeństwo, bo Kordysz znowu stanął przed frontem i uradowanym chłopcom zanócił:

Lecą bomby, kule świszczą,  
I bagnety w oczy błyszczą,  
Któż wam za to, któż zapłaci,  
Jeśli który nogę straci!...  
Bo gdy trupa w grób zawleką,  
To już lepiej—niż kaleką!...

— A co kopcidymy i miechodmuchy!—zawołał na końcu—czy wiecie, co to jest stracić rękę lub nogę?... A co to jest stać, stać jak mur i nie kiwnąć głową przed kulą!... O! chciałbym ja tych wszystkich dzisiejszych fireyków w długich surdutach, co to z daleka pachną piżmem i różą... chciałbym ich tam widzieć, gdzie ja byłem... *Mordie!*... Kule, bomby, granaty, jak trzaski padały wkoło Kordysza, a Kordysz stał, jak mur i tylko dwa słowa miał na wargach: *J e z u s, M a r y a!*—

Po chwili pokiwał głową i rzekł smutno:

— A ci ludzie w długich surdutach patrzą dziś z góry na starego Kordysza i śmieją się z jego buta połatanego! *Mordie!* Gdyby on żył, Kordysz nie łątałby butów, ale miałby szewrony i konia karego! Ale on umarł, powiadają—a Kordysz musi łątać buty!...



I znowu nócił dalej:

Już po bitwie, grzebią trupy—  
Żołnierz wraca do chałupy,  
Wraca na dwóch kulach wsparty,  
Na nim tylko płaszcz podarty!—

I pytają we wsi dziatki:  
Kogo szukać?—„Ojca, matki!”  
Darmo szukasz gospodarzu:  
Ojciec, matka—na cmentarzu!...

— A teraz — zawołał z twarzą mocno zarumienioną—teraz! baczność! Raz, dwa, trzy!... Nie dać się rozbić! Po trzech! W małe oddziały. Wszyscy plecyma do siebie! Raz, dwa—cel, pal!... Przebić się małymi kupkami... przerwać łańcuch nieprzyjacielski!...

Chłopcy radzi już z hasła raz wydanego, wykonali obroty po mistrzowsku. Rozsypali się w kupki po trzech, i plecyma do siebie zbici robili ruchy, jakby walcząc z nieprzyjacielem, przebijali się przez jego szeregi.

Kordysz także nie próżnował. Ucierał się pojedynczo z nacierającym wrogiem. Wywijał kijem ponad głowę chłopców, niby odpierając od nich cięcia nieprzyjaciela. Gdzie tylko według jego wizji największe było niebezpieczeństwo, tam wpadał jak wściekły, rąbał i krzyczał, aż się serca w chłopcach radowały.

I byłby może dzisiejszy dzień zwycięstwem zakończył, gdyby chłopców nie był ogarnął nagle jakiś przestrah paniczny. Rozsypali się na wszystkie części świata, jak kolumna przez nieprzyjaciela rozbita, i kto

mógł, jak najspieszniej salwował się otwartą bramą na rynek. Niewidzialny bowiem nieprzyjaciół dostał widome, a nawet namacalne posiłki!

Kordysz stał z głową spuszczoną na środku dziedzińca, i z bólem serca patrzył na pierzchający hufiec. Wreszcie zawołał smutno:

— Znowu przegraliśmy! Pierwszy plan był dobry: Stać jak mur i tylko bronić się!... a gdyśmy się porwali do ataku, przegraliśmy!...

Niespodzianym owym sprzymierzeńcem nieprzyjaciela był stary eskulap. Gruba hiszpańska trzcina, znana doskonale wszystkim zaciągowym Kordysza, była powodem tego panicznego przestachu. Eskulap bowiem tak strategicznie umiał się ulokować przy braniu, że każdy zbiegający z pola walki dostał na drogę upominek przez plecy, który niezawodnie aż do domu zaniósł.

— A lamparty!—wołał za każdą ważniejszą dystrybucją tych zaszczytów wojskowych—toż nie macie miłosierdzia nad biednym Kordyszem! Drażnicie go głupią musztrą, a ja potém muszę mu plastry na głowę przylepiać! A do młota i kowadła próżniaki! A do kopyta i do miecha!

I sypał się przy samém bramie grad pocisków na grzbiety uciekających, póki cały dziedziniec się nie wypróżnił. Na środku dziedzińca został tylko sam jeden Kordysz.

Stał oparty o kij z miną poddającego się genera-



ła. Oczy miał w ziemię spuszczone, a na twarzy jego widać było smutek głęboki.

— Kordysz!—zawołał stary eskulap, ocierając pot z czoła—czy znowu zaczynasz waryować?

Kordysz nie podniósł wcale oczu do góry. Smutno, ale spokojnie odpowiedział:

— Kordysz waryuje, bo nie spodziewa się, tak jak wy panie Marcinie, zobaczyć tego, co jeszcze mocniej od was ukochał!

Nastąpiła długa pauza. Szot zmarszczył brwi, bo to, co stary Kordysz powiedział, zakrawało na jakąś przymówkę.

Kordysz zaś wziął milczenie eskulapa za wygraną, a zbliżywszy się do niego, rzekł:

— A widzicie panie Marcinie! Czterdzieści lat chodzicie na góry, aby narzeczoną raz tam zobaczyć i może weselisko skleić,—a na mnie gniewa cie się, że ja niekiedy czmychnę do Hiszpanii, na górę Sommo-sierra, aby tam widzieć się z moim pułkownikiem, rotmistrzem i całym szwadronem!... Ale ja takie samo mam nieszczęście, jak i wy panie Marcinie! Wy nie widzicie nigdy na górze swojej narzeczonej, a ja szwadronu mego, ani rotmistrza także nigdy nie widzę!... Ale za to widzę nieprzyjaciela... a wtedy *Mordiel!*... Jeszcze krew ciepła we mnie, i póki nie wywiozą mnie na trakt lwowski... *mordiel!*...

— Widzę Kordyszu, że z wami dzisiaj będzie znowu bieda!—wtrącił niezadowolony eskulap.

— Co za bieda?—zapytał spokojnie Kordysz.—Ani ja, ani wy panie Marcinie nie znajdujemy na naszych górach tych, których kochamy. Wy powiada-

cie, że jedno z was zapewne spóźnia się!... Nie, *mordiel!*... On się nigdy nie spóźnił! Zawsze pierwszy na placu!... Zapewne ja się spóźniam!...

Stary Szot w fatalnym był humorze. Nigdy jeszcze tak śmiało nie mówił do niego Kordysz. A wszystko, co mówił, tchnęło jakąś przymówką. Do tego mówił dziś szewc z takim spokojem, jakby był przy najzdrowszych zmysłach.

Ale Szot znał doskonale swego starego pacjenta. Wiedział, że najsilniejszy paroksyzm maskuje się często takim spokojem, po którym dopiero z całą gwałtownością wybucha.

Rozśmiał się więc z litością na słowa chorego i rzekł do siebie:

— Biedny Kordysz! On nie przeczuwa nawet, że już mówi brednie! Widocznie zmierza do mojej Julci ukochanej!... Nawet złośliwie uśmiecha się, jakby wiedział, że piętnastego września także jęj nie będzie na górze!... Biedny Kordysz, on już zaczyna nedorzecznosci gadać. Nie trzeba go z oka spuszczać!

Tak sobie myślał pocziwy eskulap, a w twarzy jego malowała się taka przewaga duchowa nad starym ułanem, jaką zazwyczaj ma zdrowy nad chorym.

I zdaje się, że w końcu uczuł Kordysz tę przewagę lekarza, bo spuścił głowę i rzekł smutnie:

— Przegrałem, a ty panie Marcinie zapewne wygrasz!

— Chodźcie-no do izby, Kordyszu!—rzekł stary eskulap, i pociągnął go za rękę.

— Każecie iść panie Marcinie, słucham was!—odparł z pokorą stary ułan.



I smutny, z głową zwieszoną, puścił się ku bramie. Zdawało mu się, że jest jeńcem i że musi być posłusznym. Szot postępował za nim i machał trzcina w powietrzu, jakby chciał złe duchy poróżniać, które gromadziły się nad głową starego ułana.

---

IX.

W izbie Kordysza było jak zawsze pusto i smutno. Dawniej można było jeszcze usłyszeć piosenkę lub śmiech wesołej Paulinki. Od kilku dni jednak, jakby oniemiało dziewczę. Twarzyczka pobraźla, a oczy wyglądały, jakby zapłakane.

Siedziała przy oknie i smutno patrzyła przed siebie. Widać, że ją wcale nie obchodził ruch miejski. Między światem rzeczywistym, a jej zapłakaną żrenicą stały jakieś dziwne widziadła. Czasami uśmiechały się do niej, a wtedy rumieniła się jej twarz i oczy błyszczały jaśniejszym światłem. Ale wnet musiały się zmienić te widziadła, bo twarz Paulinki bladła, jak chusta, a w oczach malowało się jakieś głębokie cierpienie.

A kiedy drzwi nagle się otworzyły i stary Kordysz stanął na progu, Paulinka wzdrygnęła się z przestachu i omal nie spadła z krzeselka. Chwyciła się za serce, i w takiej pozycji siedziała czas niejaki, bez oddechu, bez znaku życia, nieruchoma, jak posąg.

Stary eskulap nie widział tego, ale oko ojca coś postrzegło.



— Cóż ci to, dziecię moje?—zapytał posępnie.

— Nie mi...—odpowiedziała po chwili Paulina—przestraszyłam się tylko!...—Zdawało mi się... że ktoś inny miał przyjść... przyszedł!..

Kordysz uśmiechnął się, a głaszcząc ją po złotych loczkach, rzekł:

— O wiem ja, wiem kto miał przyjść, moje dziecię!

Paulina zbladła, jak ściana. Wszystka krew uderzyła jęj do serca. Chwyciła się znowu ręką za pierś.

— A któżby mógł przyjść do biednej sieroty?—pytała po chwili ze łzami w oczach i wpatrzyła się w ojca, który nagle zeszedł ją w najbujniejszych jęj marzeniach.

— Kto?—mówił dalej Kordysz z uśmiechem.—A Michaś!

Paulina uśmiechnęła się. Było widać, że spadł jęj kamień z serca. Nie ziściło się snadź to, czego się tak bardzo obawiała.

— Co za Michaś?—wtrącił stary Szot, a czoło jego zmarszczyło się — co za Michaś? I ja nic o tém nie wiem?...

— No, no, no! panie Marciniel!—odparł Kordysz —nie tak ostro, bo mój gołąbeczek gotów się przestraszyć. Jęj Michaś to jest coś takiego, jak wasza Julia na tęg górze, a mój szwadron z pod Sommosierry!..

Szot spojrział ostro na Kordysza. Widział on w tych słowach nadciągający paroksyzm waryata. Oczywiście niedaleki musi być ten paroksyzm, kiedy Kordysz tak nedorzecznie mówił. A było to, według zdania eskulapa, tém większe niebezpieczeństwo, że

Kordysz w bredniach udawał człowieka bardzo spokojnego, a nawet na pozór rozsądnego.

— Już znowu do Sommosierry idziecie?—rzekł z groźnem wejrzeniem.—Czy to nie lepiej zakasać rękawy i pracować!

— Alboż ja nie pracuję, panie Marcinie?—odparł z grobowym spokojem Kordysz.

— Pracujesz, a na cóż te głupstwa, aby się gawiedź śmiała? Pocóż ten but na tablicy i ten głupi napis pod nim?

Kordysz postawił kij w kącie, a wróciwszy do Szota odparł:

— Panie Marciniel! Ja to robię, co i wy! A przecieź mnie nazywacie waryatem, a siebie mądrym człowiekiem!... Wszak my do siebie kubek w kubek podobni. Wy doktor i ja doktor! Jak się ludziom wewnątrz coś popsuje, to przychodzą do was. Do mnie znoszą popsute buty. Wy ludziom dajecie plastry i mikstury, a ja butom daję łąaty. Jak wy nie chcecie u siebie mieć zdrowych ludzi, tak ja mam wstręt do całych butów!...

— Dziwna loika waryata!—mruknął pod nosem eskulap;—a przecieź mu nic nie można na to odpowiedzieć!

Chwilę stał Szot zamyślony, a potem rzekł:

— Łatać, łatać! Przecieź zyskowniejby było nowe buty robić!

— Ba!—odparł Kordysz — alboż ja o tém nie wiem?... ale cóż! dopóki on żył, to zdawało mi się, że jestem na urlopie. Wziąłem się do pracy, choć to nie było rzemiosło Kordysza kręcić skórę i na kopyto nabijać! Mocny Boże! Kordysz, który stał, jak mur pod



Sommosierra... który w dwudziestu bitwach walczył i pierś śmiało kulom nadstawiał, Kordysz robił Żydom buty!... Ale robiło się i basta... bo Kordysz był na urlopie! Ale gdy Kordyszowi powiedziano, że on już umarł, Kordysz popalił kopyta i rzekł do siebie: „Kordysz, odtąd będziesz tylko buty latał, boś więcéj nie wart bez niego!... Jesteś owym bocianem, którego towarzysze odlatujący zostawili, połamawszy mu skrzydła, aby z nimi się nie zabrał!...“ I cóż dzisiaj widzę na świecie? Oto zimno i mroźno wszędzie, a stary bocian stoi na jednej nodze i czeka, kiedy go wzmagający się mróz zabije!...

A otarłszy dwie łzy z oczu, stanął na środku izby i zanócił:

Nad mogiłą kruki kraczą,  
Nad mogiłą matki płaczą—  
A nad nami gwiazda mglistsza—  
Bo niestało nam—rotmistrza!...

— Hej, hej mocny Boże! Świat cały nie ma już rotmistrza!... A ty chcesz panie Marcinie, żeby Kordysz nowe buty robił!... *Mordie!*

Szot siedział na krześle z głową na trzcinie opartą. Długo tak dumał. Po chwili wyjął pugilares i zaczął w nim przewracać. Na jednej kartce był napis: „Paroksyzmy Kordysza.“ Przewrócił kilka zapisanych kartek, a wzięwszy ołówek, zaczął pisać na czystej stronnicy:

„*Die 5 Septemb.*—W dziejach narodów, jak i całej ludzkości, są niekiedy pewne, że tak powiem, elektryczne prądy i uragany. A powodem tych prądów jest zawsze jakaś wielka idea. Wojny Napoleona by-

ły taką ideą, takim silnym prądem. Prąd taki w swym przelocie porywa z sobą mnóstwo ludzi. Służą mu oni, jako materya palna. A gdy przeminie prąd i zgaśnie światło elektryczne, ludzie opadają na ziemię, jako węgle spalone. Ale niejeden węgiel ukryje w sobie iskrę z owego światła. Jest to świadomość tego, czém się niegdyś było. Takim węglem jest Kordysz. Nie może zapomnieć, że niegdyś był światłem elektryczném! Pamięć tego momentu życia i tego prądu wielkiej idei, prześladowuje go i pali w nim wnętrzuści. Zdaje się, że skończy w domu waryatów. Tylko praca i zajęcie może go uratować!...

Napisawszy to w pugilaresie, schował eskulap ołówek i uśmiechnął się z wielkiem zadowoleniem.

— Wyborny egzemplarz—mruknął sobie pod nosem, — jest to jeden z najciekawszych moich pacjentów!

I zdaje się, że z ostatniém słowem przestał Szot być lekarzem, który słabość bada, a napowrót stał się człowiekiem. Radość bowiem z tak wybornego pacjenta znikła z jego twarzy. Posmutniał i zamyślił się. A Kordysz stał tymczasem nad nim i wzrokiem idyoty patrzył w pugilares. Widząc go w téj chwili, zdawało się, że o wszystkim co mówił, a nawet o swoim „rotmistrzu“ zapomniał. Ale tak nie było. Ocknął się, jakby nowy napływ krwi do głowy nowe w niéj myśli obudził.

— I cóżes dobrego wydumał, panie Marcinie?—ozwał się do Szota—cóżes tam na mnie w téj książeczce zapisał?

— Napisałem, że póty nie uspokoisz się, póki



o tém wszystkiém nie zapomnisz, przy najmniej na czas niejaki!

— Zapomniéć?... Zapomniéć, jak szarżowałem pod Sommosierrą... jak stałem pod Lipskiem... a San-Domingo?... Tego wszystkiego mam zapomniéć?... Ej panie Marcinie, bredzisz! Zdaje mi się, że zaczynasz na starość bzika dostawać!

Szot na tę obelgę nic nie odpowiedział. Patrzył badawczym wzrokiem w twarz Kordysza.

— Zapomniéć o tém?—prawił dalej Kordysz—toż prędzej zapomniałby człowiek, że miał ojca i matkę... że brał ślub na stopniach ołtarza...

— Źle będzie z Kordyszem, jeżeli tego nie zapomnisz!—przerwał mu Szot.

Kordysz milczał chwilę. Coś układał sobie w głowie. Nagle zbliżył się do eskulapa, otworzył koszulę na piersiach i rzekł:

— Wiesz co panie Marcinie? dobra myśl wpadła mi do głowy. Już zapomniéć o tém, co jest w człowieku, nie można. Ale słuchaj, panie Marcinie, to można wyciąć!... Weź nóż i tnij!... Ani pisać z bólu!

— Ba—ozwał się Szot, a cierpki uśmiech przeleciał po jego twarzy—to trudno operować!

— Trudno?... A cóż trzeba wyrzynać?—zapytał z wejrzeniem obłąkanego Kordysz.

— Serce i mózg — odparł smutno stary Szot, i ukrył łzę przed pacjentem.

— Serce i mózg! *Mordie!* To nie szpetna robotka!... A sądzisz panie Marcinie, że człowiek bez serca i mózgu...

Eskulap pokręcił głową zamiast odpowiedzi.

Kordysz stał chwilę zamyślony. Potém spokojnie i z rezygnacją ozwał się:

— Jeżeli nie można, to mi daj pokój z twemi radami, panie Marcinie! Jesteś człowiek uczony, a widzisz, że nauka nie wszędzie pomaga. Umiecie tylko krew puszczać i nic więcej. Ale tego, co jest w krwi, nie wypuscicie z żył do szczętu!... Dla czego ty, panie Marcinie, pamiętasz przez lat czterdzieści...

Stary eskulap przeląkł się, widząc paroksyzm Kordysza już bardzo blizkim. Zdawało mu się, że już bredzi. Chciał więc czynność jego umysłową skierować na inny przedmiot. Najzbawienniejszym w takim razie środkiem było zwrócenie uwagi na Paulinę.

Paulina siedziała na tém samym krzeselku, co od początku. Snadź była przyzwyczajona do podobnych rozmów ojca z eskulapem. Nie zrobiły bowiem one na niej szczególnego wrażenia. Czasami tylko jaśniej błysnęło jój oko, czasami tylko zasępiło się wyrazem bólesci jój czoło. Marzyła o czémś, czego w izbie wcale nie było.

— Patrzcie na wasze dziecię — rzekł eskulap do Kordysza — patrzcie jak pobladło przez te dni kilka, kiedy wam Sommosierra w głowie! Czy to się godzi zabijać tak własną córkę? Czy nie lepiej pracować, aby i dziecku snadniej było na świecie?

Kordysz wpatrzył się w bladą twarz Pauliny. Smutek osiadł mu na licach.

— Niech się tatuńcio nie smuci—ozwała się Paulina,—mnie bardzo dobrze na świecie!



Paulina wymówiła to takim głosem, że stary eskulap aż się przestraszył. Zwrócił się do Pauliny, wziął ją za rękę i rzekł:

— Cóż się to stało tobie? Głos twój okazuje, żeś chora, moje dziecko!

Paulina połknęła kilka łez, przymusiła twarz do uśmiechu, i nastroiwszy figlarną minę, ozwała się:

— Czy Paulince kiedy czego brakowało? Czyż ona nie jest królową, osobiwie, gdy tak sama w izbie po całych wieczorach siedzi...

Kordysz patrzył przez cały ten czas na córkę i ani na chwilę oka z niej nie spuścił. W wejrzeniu jego i na całej twarzy przebijał się jakiś spokój i rozsądek, jakiego stary eskulap nigdy w jego rysach nie spostrzegł. Zatrząsały go te nader jasne momenta obłąkanych, które są niezawodną oznaką, że zwolna, ale stanowczo zbliża się straszny paroksyzm.

Tymczasem zbliżył się Kordysz do córki, odgar-  
nął z jej czoła loczki złote, w których dzisiaj żadnego kwiatka nie było, i rzekł:

— Ja jestem spokojny o ciebie moje dziecko! Kto lat dwadzieścia razem z nim wojował, i był tam, gdzie dzisiejsi ludzie nigdy nie będą, ten spokojnie położy się do grobu. Znajdzie się człowiek szlachetny, który powie: „Dziecko Kordysza warto złotem okupić“

Szot nie nie mówił, tylko patrzył zamyślony przed siebie. Paulina zarumieniała się i odparła:

— Na cóż tatuńcio o tém mówi! Alboż to źle tatuńciowi z Paulinką?

I znowu połknęła łzy, bo jakoś uporeczywie cisnęły się do jęj oczu. Tymczasem Szot się ozwał:

— Kordyszul! Świat ma inną pamięć od ciebie.

Nie trzeba żadnych zapisów na potomność zostawiać. Potomność nie płaci takich długów!

Już to za wiele było staremu Kordyszowi. Zerwał się, jakby go wąż ukąsił, i krzyknął:

— Co! Córka Kordysza nie mogłaby znaleźć jednego szlachetnego człowieka! Toż niktby nie powiedział: „Oto córka Kordysza! Jęj ojciec nadstawiał pierś na kule i granaty przez lat dwadzieścia! Był w Hiszpanii i pod Lipskiem!... Toż nie warte jego jędyne dziecię, aby je pocziwa ręka do siebie przyhołubiła!...“ A zresztą jest ładne dziecię, jak anioł Rafał! Kubek w kubek widziałem takiego w Hiszpanii! *Mordie!*... A cóżby dzisiejsi chłopcy warci byli, gdyby który zerknąwszy na to liczko białe i te loczki złote... a zbliżywszy się i poznawszy to serduszko... nie uczuł czegoś we własném sercul...

— Niech tatuńcio tak nie mówi, bo płakać będę — przerwała ojcu Paulina, i rzuciła się w jego objęcia.

Kordysz ucałował córkę, złote jęj loczki pokroił łzami i rzekł do Szota:

— Ohoho! Jestem ja stary wyjadacz. Wiem ja, że się coś święci! Od kilku dni Paulinka jest biała, a oczy ma zamglone, jak kot. Oho! Już jęj serduszko coś przeczuwa! Ktoś się przebije do niej! I to w tych dniach, bo mi jest strasznie niespokojną!...

Paulina tego wszystkiego nie słyszała, bo pobiegła w kąć izby, aby łzy z oczu otrzeć! Eskulap zaś zamyślił się, a po chwili rzekł półgłosem:

— I mnie coś w oko wpadło. Baczność! Żeby się co złego nie stało!

— Ohoho! — odparł stary ułan — moje oko to, jak



oko sokoła! Pamiętam, gdy stał na pikiecie pod Sommosierra...

— Baczność i jeszcze raz baczność!—przerwał mu Szot, chcąc go z Sommosierry sprowadzić do obowiązków ojcowskich.—A teraz bądźcie zdrowi, muszę przed zachodem słońca pójść do lasu; inaczej spać nie będę.

Kordysz pożegnał eskulapa, a przy drzwiach mrugnął na niego z uśmiechem, wskazując na Paulinę, która w kącie łzy ocierała.

— Ohoho! Jak oko w głowie!—rzekł do ucha eskulapowi, gdy ten za drzwi wychodził.

Paulina była jedną z owych biednych istotek, które Opatrzność, obdarzywszy uczuciem i wyobraźnią, zamknęła w czterech ścianach ubogiej izdebki. Mają one przesłizne oczy, twarze pełne wdzięków, kibić Wenery medycejskiej. Mają serca szlachetne i gorące, dusze zdolne wznieść się aż do poświęceń—ale nie mają sposobności okazać tego wszystkiego światu i dać się należycie ocenić. Ciasne ściany ich ubóstwa zawadzają im do wylotu w świat szerszy. Cóż więc im pozostaje? Oto nic więcej tylko — świat marzeń!

W ubogich izdebkach swoich tworzą sobie własny światek własnych ludzi. Z tego, co o tym większym świecie zasłyszeli lub z książki o nim wyczytali, urabiają sobie w marzeniach to wszystko, co leży poza przegrodą ich ubóstwa!

Rozumie się, że pierwszym ich marzeniem jest

wydobycie się z ubóstwa. Zawsze posiada się tyle wdzięków, tyle przymiotów serca i duszy, że ktoś z większego świata mógłby się w nich zakochać i położyć tamę ich ubóstwu! Ach, jak gorąco odplaciłyby się za to!...

Do rzędu takich nieszczęśliwych istotek, jak się rzekło, należała poniekąd i Paulina. Ale do marzeń swoich prócz motywów, które jęj zwierciadło podszepnęło, były jeszcze inne, jęj tylko właściwe.

Ojciec tyle jęj naopowiadał o swojej służbie publicznej, o licznych odznaczeniach się na polu bitwy, o krzyżach i pochwałach samego Napoleona, że biedna Paulina wsłuchawszy się w to duszą i sercem, poczęła siebie uważać za coś wyższego w hierarchii społecznej od tego, na co ją skazywało jęj ubóstwo i rzemiosło ojca. Świat widział na tablicy but tylko i nic więcej, a Paulina widziała w nim godło nieszczęścia, które nawiedza wszystkich, którzy przegrali swoje nadzieje. Jak rozbitka politycznego, który szuka schronienia za granicą, nie trzeba cenić według pracy, której się imał, ale według tego, czém był przedtém, tak téż i Paulina przyzwyczaiła się do buta nad oknem, a myślała, że świat w tym bucie widzi tylko wielką przegraną, ale nie rzemiosło poniżające.

Marzyła więc biedaczka o rycerzach zaklętych, o pałacach i zamkach napowietrznych. A gdy zamiast rycerzy nawinał się studyzus, który zawzięcie za nią się uganiał i wzdychał, cóżby to więc było dziwnego, gdyby mu była wzajemną?...

Właśnie o podobnym bohaterze marzyła Paulina, siedząc w oknie. Słowa ojca poruszyły jeszcze mocniej jęj i tak zbyt drażliwe serduszko. Najcudniej-



sze, ale oraz i najstraszniejsze sny przebiegały przez jej rozgrzaną głowę. Podparła się ręką i patrzyła przed siebie.

Stary Kordysz siedział nieopodal progu i przewracał książkę do nabożeństwa. Na twarzy jego widać było uśmiech skrytego zadowolenia. Uśmiechał się do myśli swoich, jak dziecię na widok cacka.

Długo czytał w tej książce. Przewracał i odwracał kartki, i różne modlitwy powtarzał kilka razy. Wreszcie, gdy się już ciemno zrobiło, odłożył książkę i rzekł do Pauliny:

— Patrząc na ciebie moje dziecię, na twą twarz bladą i oczka zapłakane, widzę, że coś się święci. Wiem, że ty sama nic o tém pewnego nie wiesz. Serce twoje przeczuwa tylko. Ztąd ta bladość i łzy. Mówią, że na kilka dni przed bitwą pod Aspernem był on także blady. Ale to nic. Po Aspernie nastąpił Wagram. I po tej bladości nastąpi rumieniec... Otóż dla tego modliłem się za ciebie, mój gołąbku, aby Pan Bóg zesłał do ubogiej izby Kordysza swego anioła stróża, izby stanął przy tobie!... I moje serce coś przeczuwa, może być, że się zbliża zmiłowanie boże do starego Kordysza!... Zapewne przypomniawszy sobie Pan Bóg, że tylko za Jego pomocą nie zginął pod Somosierrą, i rzekł do siebie: Kiedy ten umarł, z którym był Kordysz, a on z Kordyszem, to przecież Bóg musi być z Kordyszem, bo Kordysz nigdy nie był bez Boga!... Tak moje złote dziecię, miejmy ufność, — jakoś to będzie!...

Paulina ucałowała rękę ojca i zapaliła świecę. Stary ułan był w bardzo dobrym humorze. Jego serce radowało się czegoś. Przypominał sobie najpię-

kniesze chwile życia i w jaskrawych kolorach omalował je córce. Napomknął coś nawet o czarnookiej Hiszpance, która szalenie go pokochała, i byłby się nawet z nią ożenił, gdyby nagły rozkaz nie był go od niej oderwał. I długo widział we śnie te czarne, ogniste oczy, aż dopiero gdzieś nad Wisłą stracił je, poznawszy matkę Pauliny.

I różne rzeczy jeszcze opowiadał Paulinie, a mianowicie o tym, który był z Kordyszem, a Kordysz z nim.

Po chwili, usłyszawszy kroki na pierwszym piętrze, powstała Paulinka, aby eskulapowi przygrzać wieczerzę. A gdy ta już była gotowa, zaniosiła ją na górę. Wróciła trochę zmieszana i opowiedziała ojcu, że u Szota jest jakiś gość, którego nigdy dotąd nie widziała.

Kordysz przyjął to wszystko do wiadomości i zaczął znowu coś o Hiszpanii opowiadać, gdy nagle do drzwi zapukano.

Paulina była zamyślona i nie słyszała tego wcale. Ale Kordysz jednym skokiem był przy drzwiach. Za drzwiami stał Janek stolarczyk i trzymał w ręku jakiś list. Obaczywszy Kordysza, zmieszał się i chciał list schować — ale Kordysz już go miał w ręku.

— Co to za list? do kogo? — zapytał ciekawie.

— Ten list... — wyjąkał zmieszany Janek, — ten list... właśnie nie dla pana majstra!

— *Mordie!* A do kogóż? — wrzasnął Kordysz.

Janek chciał czmychnąć, widząc zagniewanego Kordysza, ale ten schwycił go za kołnierz i wniósł do izby.



— Kto ci dał ten list?—zapytał dosyć spokojnie.

— Pan Ignacy—była odpowiedź.

W téj chwili krzyknęła Paulina i chwyciła się za serce. Kordysz puścił Janka, a sam pośpieszył do córki, której twarz oblekła się śmiertelną bladością.

— Cóż ci to dziecię moje?—zapytał ze wzruszeniem.

— Nic mi tatuńciu!—odparła Paulina, a twarz jęj okryła się w téj chwili gorącym rumieńcem.

Rzuciła się przed ojcem na kolana i zaczęła płakać.

Kordysz patrzył na nią czas niejaki. Potém zasmucił się i rzekł ze łzami w oczach:

— Czy Paulinka sprawiła staremu ojcu jakie zmartwienie.

— Przysięgam na Boga i na nieboszczkę matkę moję, że nic nie zrobiłam złego!

Rozjaśniła się twarz Kordysza, a kilka łez spłynęło mu po siwych wąsach. Podniósł Paulinę z ziemi i rzekł:

— Jeżeli tak, to ci wierzę moje dziecko. Wstań i usiądź. Przeczytamy, co ten jegomość pisze do ciebie.

Paulina padła w objęcie ojca i drżącym głosem wołała:

— Tatuńciu, nie gniewaj się na niego, bo on tak-że nic nie winien!

— Tam do kata!—zawołał stary ułan — a któż winien? Wszak ktoś musi być winien!

— Ani on, ani ja nie winniśmy!—płakała Paulina, a serce jęj radowało się czegoś;—ot tak jakoś samo się stało!...

— Kordysz patrzył na córkę i głową kiwał. Po chwili zawołał:

— *Mordie!* Ja was dzisiaj nie rozumiem!... Ale przeczytajmy list!

Paulina wstrzymała oddech i chwyciła się za serce. To biedne serce chciało dziś koniecznie pęknąć! A trudno wiedzieć, czy z boleści, czy też z radości!... Kordysz otworzył tymczasem list, zbliżył się do świecy i czytał:

„Jedyna w świecie Paulino moja! Krótki jest list mój. Wzburzone serce moje nie pozwala mi długo pisać. Oto, kocham cię, kocham nad życie, a jeśli nie znajdę wzajemności, to umrę. Kilka słów z twoich ust uzdrowią mię. Daj mi sposobność mówienia z tobą, a usłyszysz odemnie to, czego pióro oddać nie może!... *Ignacy.*“

Przeczytawszy to, spojrział Kordysz na córkę. Paulina siedziała na krześle napół martwa. Gorączkowy rumieniec wypiekl się na jęj twarzy. Oczy zamglily się jakąś szklistą powłoką. Pierś jęj podnosiła się wysoko, jak fala wzburzonego jeziora.

Kordysz patrzył na nią długo wzrokiem badawczym, aż po chwili rzekł:

— I cóż ty na to, Paulinko?

— Ja, ja... a cóż ja... ja powiem?—wyjąkała, chwytając ojca za rękę i całując ją.

— Czyście mówili kiedy z sobą?—zapytał uroczyście Kordysz.



— Nie, nigdy! — szybko obparła Paulina.

Kordysz czas niejaki milczał, kręcił głową to w tę, to w ową stronę, wreszcie się ozwał:

— Ależ to jakoś dziwnie wygląda! Przecież musiałas coś z nim mówić?

— Przysięgam na Boga, że nie!

— Może cię choć kiedy wziął za rękę i ścisnął... choćby tak tylko, na żart!

Paulina spuściła oczy i na to nic nie odpowiedziała. Przypomniła sobie schody ciemne. Twarz jej jeszcze bardziej poczerwieniała, serce gwałtowniej uderzyło. A oddech jej był taki gorący i przyspieszony, że stary Kordysz uznał za stosowne skończyć indagacyą i rzecz rozstrzygnąć. Słodki uśmiech wystąpił mu na twarz, a w oczach błysnęło wielkie zadowolenie. Pocałował Paulinę w głowę i rzekł:

— Cyt gołąbko, cyt, już dalej o nic pytać nie będę, co między wami było! Jestem pewien, że wszystko było godziwe. Przeczuwałem to, i dlatego modliłem się o anioła stróża dla ciebie. Tak samo modliłem się pod Sommosierrą, a Pan Bóg nie odmówił Kordyszowi, i przysłał mu anioła stróża. Odtąd jest zawsze Bóg z Kordyszem, a Kordysz z Bogiem!... Ale dziecko moje, trzeba mu natychmiast odpowiedzieć. Zapewne chce przyjść, i jak Bóg przykazał, oświadczyć się ojcu. Więc przystajesz na to?

Paulina uklękła i ucałowała nogi ojca.

— Więc dobrze. Odpisz mu kilka słów, a ja przez Janka odeszlę. Pisz, że może przyjść zaraz.

Paulinka wzięła pióro, i długo myślała nad pa-

pierem. Kordysz robił tymczasem porządek w izbie. Na twarzy jego malowała się wielka radość.

— Ohoho! — mówił do siebie. — Kordysz Boga nigdy się nie wyparł, ale też i Bóg Kordysza nie odstąpił! Na stare lata zsyła mu pociechę nie lada!

Paulinka to bladła, to czerwieniała nad papierem, a w końcu zdawało się jej, że przeczuwa wielkie nieszczęście. Ale słowa ojca rozwiały te niegodziwe widziadła; przyłożyła pióro do papieru i napisała dwa wiersze.

— Już gotowa odpowiedź? Dobrze — rzekł Kordysz, wyjmując ze skrzynki swój mundur oryginalny — dobrze moje dziecko, pójdę po Janka i wyekspeduję. A teraz jeszcze... wprowadź konkurent dawniej przynosił w dom flaszkę wina, ale dzisiaj na opak się dzieje. Więc wyjdę na miasto i przyniosę kielbasy i miodu dzbanek od Abramka! A po drodze zawołam Szota, bo jakoś wypada przy świadkach i starostach... Bądź zdrowa Paulinko, trochę przyglądź włosy, i odmów litanię do Najświętszej Panny. Kordysz miał jej wizerunek na piersiach pod Sommosierrą... Bądź zdrowa, dziecko moje, zaraz wrócę. A gdyby przyszedł, to przyjmij tymczasem, jak Bóg przykazał... Jestem dziś bardzo szczęśliwy, i Szot cieszyć się będzie!... Bądź zdrowa Paulisiu!

To mówiąc, wymknął się stary ułan, i tak sporo zwijał nogami, jakby mu trzydzieści lat z karku spadło. Śpiewka jego była tym razem wesoła, prawdziwie ułańska. Zaraz bowiem na rynku zaintonował donośnym, czystym głosem:



Któż to idzie, powiedz Janie!  
Czy to król północnych ludów?  
Nie, to ulan jest mospanie,  
Ósmy cud do siedmiu cudów.  
Jak ostrogą tylko brzęknie,  
Zaraz pannie serce pęknie!..

X.

Ignacy chodził po pokoju szerokimi krokami. Oczekiwał właśnie wyroku.

Już przez cały dzień dzisiejszy był jakoś dziwnie usposobiony. Siedział w pokoju, nie widząc nawet mustry chłopców w dziedzińcu. Obrachowywał się ze swoim sercem i chciał koniecznie wynaleźć jakie warunki do kompromisu. Ale nie szło mu to po myśli, serce było krnąbrne, rozdało się i wręcz oświadczyło, iż bez Pauliny dalej żyć nie może.

Położenie biednego Ignacego było okropne. Po raz pierwszy w życiu doznał głębszego uczucia, które wstrząsało, jak mówił Szot, wszystkimi jego nerwami, a kobieta, do której serce jego żywiej uderzyło, nie była mu wzajemną! Przeciwnie była zimną i obojętną na jego cierpienia, a co gorsza, może nawet w tej chwili wyśmiewa się z niego przed przyjaciółkami. Ostatnie przypuszczenie było straszne — mogło nawet zupełnie uspokoić go. Ale też nadciągała mara wspomnienia owych ciemnych schodów, gdzie słyszał na swojej piersi przyspieszone bicie jej serca, czuł wszyst-



kie jęj tętą gwałtownie bijące. A tego nie zapomnia się tak prędko...

Ignacy myślał i myślał, i nie mógł wybrnąć z zaczarowanego koła. Wreszcie wypaliwszy dwie fajki, przyszedł do niezłomnego przekonania, że kompromisu z sercem robić nie można. Bądźcobądź, postanowił rozciąć ten węzeł gordyjski.

Siadł do stolika już późnym wieczorem i napisał ów list, którego treść jest już nam znana. Co stawiał na kartę przez napisanie takiego listu, o tém wcale nie myślał. Rozumował sobie:—Jeżeli mnie kocha—co owe wypadki w dniu targowym potwierdzać się zdają,—to osmielę ją wyznaniem mojej miłości. A jeżeli mnie nie kocha, to lepsza jest już taka pewność od niepewnej nadziei. A stryjenka powiada, że mężczyzna, któremu pewna kobieta się podoba, powinien przedewszystkiém starać się wejść do jęj myśli. Jeżeli już tam raz się ulokuje i kiedy niekiedy tym myślom się przypomina, to w końcu, w braku innych, stanie się generalnym lokatorem. Cóż więc ryzykuję pisząc ten list? Jeżeli mi odpisze nie po mojej myśli, to przecież dzień, dwa, będzie o tym liście, a więc o mnie myślała. Powoli mogę się rozlokować w tém złotém serduszkul...

Tak rozumował i marzył Ignacy. Wreszcie zapieczętował list i wyszukał Janka, któremu nakazał, aby z ręcznie i nieznacznie oddał ten list do rąk Pauliny.

Janek przyrzekł wprowadzić działać według instrukcyi, ale nieszczęście popsło mu szyki. Czekał i czekał na kurytarzu, a Paulina, jakby na złość nie wyszła. Chrząkał i kaszlał, ale i to nic nie pomogło.

Wreszcie za dużo było mu już tego. Zbliżył się więc do drzwi i lekko zapukał, w nadziei, że wyjdzie Paulina, bo w takim razie ona tylko wychodzić była zwykła. Stało się jednak inaczej. List wpadł w ręce Kordysza, a przestraszony Janek uciekł najprostszą drogą do warsztatu i schował się pod wióry. Jeszcze bardziej przestraszył się, gdy Kordysz między wiórami go odkrył i odpis panu Ignacemu oddać polecił. Janiek nie mógł dobrze pojąć, co to wszystko znaczy; miał jednak straszne przeczucie. Zerwał się więc i pobiegł do Ignacego. Tam znowu, jakby na nieszczęście, zastał korrepetytora. Ignacy nie chciał wobec korrepetytora z Jankiem o liście rozmawiać, jakimi drogami się dostał. Poskoczył więc do drzwi, a odebrawszy od Janka odpowiedź, natychmiast go odprawił. Janek także był rad z tego, bo nie potrzebował tłumaczyć się ze swego nieszczęścia. Mimo to czmychnął znów do warsztatu i wlaź między wióry, czekając z niedobrem przeczuciem dalszych następstw.

Ignacy tymczasem otworzył książkę i włożył w nią kartkę od Paulinki, aby czytając, ukryć to przed korrepetytorem. Nie przeczuwał wcale, jaką drogą ta odpowiedź doszła do niego. Na kartce było napisane drżącą ręką:

„Jeżeli panu to nie zapóźno, to przyjdź pan Paulina“.

Szczęściem, że korrepetytor wlaź cały w jakąś siną książkę, inaczej wy czytałby wszystko na twarzy Ignacego.

Ignacemu zabrakło nagle powietrza. Porwał się z krzesła i otworzył okno. Chłód wieczorny orzeź-



wił trochę jego wzburzone nerwy. Któż był szczęśliwszy w tej chwili od niego?...

Spojrzał na niebo. Noc była wrzesniowa, jasna. Miryady gwiazd mrugały tam z nieba do niego i cieszyły się, że liczba szczęśliwych na ziemi pomnożyła się o jednego... O, noc ta była tak wonna, tak jakoś upajająca!...

Ignacy stał ciągle przy oknie i patrzył w niebo. Zapewne słał dzięki Wszechmocnemu za szczęście, jakim go udarował...

— Czy chcesz zostać astronomem? — zapytał korrepetytor, którego zimny przeciąg wiatru oderwał od siniej książki—czy może tylko astrologiem?

— Żart twój Wojciechu—odparł Ignacy—nie znajduje mnie wcale w stosowném usposobieniu... Dzisiaj podziwiam wielkość i mądrość stworzonego świata. Jakaż to harmonia, jaka wzajemność musi być między temi krążącemi światami! Siła atrakcyi, czyli, jak u ludzi potęga wzajemnych uczuć, rządzi i kieruje światem! Nic tam nie jest nadaremnie, wszystko ma swoje przeznaczenie!...

— Dla Boga! co ja słyszę?—zawołał korrepetytor.—Wszak niedawno potępiałeś wszystko w czambuł, świat, ludzi, filozofią i historią!...

Ignacy nie miał czasu na to odpowiedzieć. W tej bowiem chwili usłyszał piosenkę starego Kordysza i wyraźnie przy świetle księżyca widział go, jak z bramy na rynek wychodził.

— Jaki rozumek ma moja Paulinka!—pomyślał sobie szczęśliwy Ignacy.—Zapewne wysłała naumyślnie ojca, abym bez świadków mógł jęć to wszystko

wypowiedzieć, co czuje dla niej moje serce!... A więc nie traćmy czasu!

Pomyślawszy to sobie, chwycił za czapkę i wybiegł na kurytarz.

Korrepetytor zamknął za nim okno i szydersko się uśmiechnął.

W izbie Kordysza oczekiwano gościa z upragnieniem. Na sofce rozesłano nowy pokrowiec, który miał zasłonić registr lat ubogiej biedaczki. Stoły i krzeselka były okurzone z prochu, a biała firanka u okna spuszczone aż do dołu. Na komodzie stał duży bukiet astrów i innych jesiennych kwiatów, bo Paulina przedewszystkiém lubiła kwiaty. Uboższe sprzęty wyniesiono do drugiej izby, aby przy dzisiejszej uroczystości nie raziły oczu gości. Paulina chciała być dzisiaj najpiękniejszą, i wszystko to ukryć, co by gościom przypominało nieznośne ubóstwo domu.

W kilka minut było już wszystko w izbie przygotowane na przyjęcie gości. O sobie pomyślała dopiero na ostatku. Białej sukienki z gorsem, w której jęć tak ślicznie było, nie wypadało brać dzisiaj na siebie. Zabrakłoby jęć potem stopniowania w ubraniu. Biała suknia przydałaby się prędzej przy zaręczynach, albo do kościoła, kiedy to organista na chórze wygrywa *Veni Creator*... Tak myślała sobie Paulina, a przy ostatniej myśli spiekła ogromnego raka...

Została więc w ciemnym swoim szlafrocuku, bo zwierciadło powiedziało jęć, że ładnemu we wszyst-



kiem ładnie. Loczki tylko nieco przyglądała i za prawe ucho zatknęła kwiatek błękitny. Nie wiedziała biedna, że właśnie z takim kwiatkiem widział ją Ignacy przez szparę drzwi po raz pierwszy...

A gdy już wszystko było zrobione, co w kilka minut zrobić się mogło, siadła Paulina na krzeselku przy komodzie i wzięła astrę do ręki, aby jeszcze w ostatniej godzinie zasięgnąć rady u listków niewinnych, czyli raczej zapytać ich o wyrocznię całej, całej przyszłości...

W tej chwili otworzyły się drzwi. Ignacy wpadł do izby.

Paulina krzyknęła, a kwiatek upadł do jej nóg, nie wypowiedziawszy wyroczni.

W oczach jej pociemniało, i zdawało się, że jakaś lekka, na wpół przejrzysta mgła owionęła ją dookoła. Chciała powstać, nie mogła; chciała przemówić, ale słów i głosu jej zabrakło. Opuściła ręce bezwładnie i złotą główkę pochyliła w tył na poręcz krzesła.

W tej chwili była tak piękną, tak zachwycającą! Na jej twarzy z pod białej cery wybijał się rumieniec gorący; w czarnych, na pół przymkniętych oczach palił się jakiś ogień tajemniczy; usta były tak czerwone, jak gwoździaki w lipcu. Cała jej postać na pół omdlała i bez władna oznaczała kobietę, która porywającym ją uczuciom uległa i nie ma nawet tyle władzy, by to uczucie w sobie ukryć, albo przynajmniej lekką gazą osłonić.

Ignacy stał chwilę przed nią. Widok jej pomieszał mu wszystkie szyki. Miał jej coś mówić, a mówić wiele i długo, ale na to wszystko nie stało mu w tej chwili czasu. Cierpienia jego, jakich był doznał przez dni kilka, zaczawszy od owego zdarzenia

na ciemnych schodach aż do napisania listu i wysłania go przez Janka, wszystkie zmalęły do tak drobnych rozmiarów, że w obec nawpół omdlałej Pauliny, nie warto było nawet o nich wspominać. Jedna chwila tego widoku wynagrodziła je sowicie!

Zmienił więc program, który był sobie ułożył, i postanowił najkrótszą drogą zdążyć do celu gorących marzeń swoich.

Uklęknął przed Pauliną i wziął ją za rękę. Paulina nie wzbraniała mu ręki, a Ignacy uczuł, że ta ręka była, jak lód zimna. Przyłożył ją do swojej twarzy palającej i wycisnął na niej gorący pocałunek. Zdawało mu się, że ta rączka ścisnęła go z lekka. Ignacy był najszcześliwszy ze śmiertelnych. Podniósł się z ziemi i zbliżył twarz do jej piersi.

— Paulino! Ty mnie kochasz! Jam to wiedział od pierwszego naszego spotkania! Paulino, ty mnie kochać będziesz do śmierci!

Paulina pochyliła ku niemu główkę i szepnęła mu do ucha jakieś słowa niezrozumiałe, które tak brzmiały, jak: Kochać do śmierci!

Ani Ignacy, ani Paulina nie wiedzieli, co się dalej z nimi działo. Po jakimś czasie dopiero posłyszał Ignacy na kurytarzu znane kroki starego Kordysza. Zatrwożony odskoczył od Pauliny, ale nim jakaś myśl powziąć zdołał, już się drzwi izby otworzyły, a na progu ukazał się Kordysz z dużą kielbasą na ręce, a z drugiej strony jego postaci widać było potężny dzban Abramka.



Na taki obrót rzeczy nie był Ignacy wcale przygotowany. Najpierw przyszedł mu na myśl ów kij sękaty, którym Kordysz tak misternie wywijać umiał. Potem pomyślał o Paulinie, którą niezawodnie wielkie czekało zmartwienie. Wahał się więc czas niejaki między kijem a Pauliną, nie był jeszcze pewien, czy ma pozostać dla obrony Pauliny, czy też salwować się przed sękatym jegomością, który stał w kącie i najpyszniejsze sęki swoje ku niemu obrócił. Spojrzał więc na Paulinę, której oczy rozstrzygnąć miały, co mu w takim razie czynić wypada. Ale w oczach Pauliny nie zobaczył nic takiego, co się tam zobaczyć spodziewał. Przeciwnie, paliło się w nich szczęście najwyższe. Ujrawszy ojca, poskoczyła ku niemu, i z takim zapalem zaczęła go po rękach całować, że stary ułan musiał gwałtem jęć się wydrzeć, aby kielbasy i dzbanka na ziemię nie upuścić.

Wszystkiego tego nie mógł zrozumieć Ignacy. Stał jak posąg z marmuru. Na twarzy Kordysza nie widział ani gniewu, ani nawet żadnego zadziwienia. Przeciwnie Kordysz był w jakimś złotym humorze. W oczach jego malowało się szczęście i zadowolenie. Ucałował Paulinę w złote loczki. Ulokowawszy kielbasę i dzban na stole, rzekł z uśmiechem pod wąsem:

— No, no, no, nie płoszcie się gołąbeczki! Wprawdzie najlepsza w takim razie jest matka, ale biedna Kasia moja już dawno przy lwowskim trakcie *Mordie!* Wczoraj byłem u niej i płakałem na jej grobie! Wiadać, że nieboraczka wyprosiła u Boga szczęście dla swojej Paulinki!.. Ale ja gadam, a wam nie słuchać teraz starego gaduły!.. Oho, ho! wiem ja... gdy był

w Hiszpanii i miał się żenić z Anuncyją... Ale cyt, potem o tém. Dobry wieczór panie Ignacy! Kordysz rad wam z duszy w domu swoim!

Ignacy ścisnął podaną rękę Kordysza, i jeszcze większa opanowała go trwoga. Zdawało mu się, że Kordysz nie jest przy zdrowych zmysłach. A wiedział, że w takim razie lubi stary ułan bawić się swoim kijem sękatym.

— A teraz, dzieci moje, nie przeszkadzam wam. Szeptajcie sobie do uszka, co wam potrzeba. Gdy poszedł na zaloty do Anuncyaty... Ale, ale! dzieci moje, Paulisiu, wszak Szot musi razem z nami się cieszyć. Zapomniałem wstąpić do niego. Wszak on więcej cię chował odemnie. Nauczył cię czytać, śpiewać i grać na klawikordzie. Idź serce, zaproś go, niech i on będzie z nami. Ja tymczasem sam stół zaścielę.

---

Paulinka wybiegła z izby tak lekko, jakby u ramię miała skrzydełka złotopióre. Główkę jej, jakby drugie loczki złote, otaczały najcudniejsze marzenia. Przed nią leciały aniołki złotowłose, a wszędzie po dwóch! Splotały drobne rączki i całowały się wzajemnie.

Biedny Ignacy był tymczasem na łożu madejowym. Zdawało mu się, że jak drugi św. Wawrzyniec leży na kracie żelaznej, pod którą właśnie nagle podpała stary Kordysz. A Kordysz rozdmuchrywał właśnie węgle na kominie, aby zagrzać kielbasę i sos kwaśny do niej dorobić.



— Student, panie Ignacy,—rzekł od komina— a stary żołnierz, to tak, jakby dwaj bracia. Jeśli potrzeba, to zapalą w piecu i jeść zgotują. Byle tylko było czém i z czego. W Hiszpanii, pamiętam, nie mieliśmy dwa tygodnie ani kęsa chleba. Rozpalaliśmy ogień i z koniny robiliśmy wyborne potrawy!... Paulisię sam uczyłem gotować, i powiem ci, panie Ignacy, że nie powstydzę się i we dworze ze swoim obiadem. Ale nie myśl pan, żeby Paulina tylko umiała, co lada kucharka. Sąsiad nasz i przyjaciel Szot, nauczył ją książki czytać i wybierać podług nót pisanych najsmutniejsze melodey. A jak zacznie wyciągać różne pieśni, to aż się nieraz splaczę, jak bóbr!... Hej, mocny Boże! gdyby to tego była doczekała moja Kasia! Ona ją tak kochała! Ja tak kochać nie umiem! Jestem żołnierz, dwadzieścia lat przebyłem prawie pod gołym niebem, cóż ja wiem, jak to takie złote dziecię, jak Paulinka, kochać!... Ale widzę, że pan Ignacy uśmiecha się i myśli: Pleć sobie zdrów gaduło, już ja wiem, jak takie dziecię kochać!

Rzekłszy to Kordysz, zaczął znów dmuchać na węgle. Po twarzy Ignacego przebiegały najrozmaitsze myśli i uczucia, tylko nie śmiech, o który posądzał go Kordysz. Był on ciągle w jakimś osłupieniu i nie wiedział właściwie, co się z nim działo. Raz już mu przyszło do głowy, czy to wszystko nie jest snem? czy to nie we śnie całował gorące usta Paulinki a teraz, czy nie śni o jej ojcu?... Uderzył się nieznacznie w czoło, uszczypnął w rękę — ale się nie przebudził.

Do tego jeszcze nowa myśl poczęła go martwić. Cokolwiekby z tego zdarzenia wypaśby mogło, nie

było przy tém świadków, którzyby całą sprawę po mieście rozniesli. Kordysz nie miał szerokiego koła znajomych, a nawet prawdopodobnie z powodu swoich wizyj i ekscentryczności nie posiadał zupełnej wiary u ludzi. Ale Szot miał przyjść i być świadkiem szczególnej jakiejś historii, którą nazajutrz niezawodnie rozniesie między wszystkich swoich pacjentów!... Jakież to okropne położenie! Zkądże rada na to wszystko?... A prawdziwych intencyj starego ułana nie jeszcze nie odgadywał!...

Tu otworzyły się drzwi i Paulinka wleciała, jak sylfida do izby. Wyglądała czarująco. W jej czarnych oczach było coś takiego, co się nie da opisać. Tylko kochanek może to uczuć, ale nie nazwać. Ignacy zapomniał na chwilę o wszystkiém, i utopił wzrok w tych szklistych, czarnych oczach.

Zaraz za Paulinką pojawił się ceglasty frak i żółte sztylpy starego Szota. Ignacy nie zważał w tej chwili na niego. Szot pomówił coś z Kordyszem przy kominie, zerknął z ukosa na młodą parę, zatarł ręce i wyszedł. Po chwili ukazał się znowu, ale miał już na głowie uroczystą perukę, w ręce trzcinę hiszpańską, w srebro okutą, a przy sobie wcale nowego gościa, o którym już wiemy, że to był Stefanek.

Każdego innego byłoby takie położenie może do rozpacz przyprawiało. Lecz Ignacy był tak tym wszystkiém oszołomiony, że nie był nawet zdolny do rozpacz. Czuł, że wszystkie siły opuściły go; w głowie mu się kręciło; ani jednej zdrowej myśli nie mógł tam



znaleźć. Patrząc na różowe usta Paulinki, nie prócz tych usteczek i czarnych oczu nie widział przed sobą. I wtedy zdawało mu się, że jest szczęśliwy, bez granic szczęśliwy!...

Biedny Stefanek stanął na środku izby, jak wryty. Szot przedstawił go gospodarzowi i gosposi, jako gościa swego i adepta sztuki organistowskiej. Paulinka ukloniła mu się i spojrzała na niego, rozumie się temi samemi oczyma, które miała dzisiaj dla wszystkich. Stefanek drgnął pod tém spojrzeniem, i zaczął coś jąkać, czego nikt nie rozumiał, a nawet nie słuchał w téj chwili. Tylko stary Kordysz przystąpił do niego i ścisnął z taką siłą długie palce jego, że jak suchy chróst zatrzęszczały. Oczy Stefanka nie mogły się oderwać od Pauliny, która teraz zupełnie podobną była do owéj dziewczyny z altany dworskiej, widział, które dotąd niekiedy nagabywało go w snach nocnych.

Pierwszy przerwał milczenie stary Szot. Uśmiechnął się, jak człowiek, który daleko więcej wie od innych, a pogroziwszy nieznacznie Ignacemu, rzekł:

— Góra z górą się nie zejdzie, a ludzie sobie przeznaczeni schodzą się. Ja także przyjechawszy przypadkiem na imieniny do imię pana starościca buczackiego...

— Już dajcie dzisiaj temu pokój panie Marcynie— przerwał mu Kordysz, ulokowawszy ogromną rynkę na rozżarzonych węglach,—dajcie pokój temu, bo to może być zła wróżba!

— W saméj rzeczy—wtrącił nieśmiało Stefanek, któremu jakiś głos wewnętrzny koniecznie w téj chwili mówić kazał,—w saméj rzeczy, możeby to źle było,

gdyby panna Paulina miała przez czterdzieści lat szukać swego narzeczonego...

Eskulap na to nic nie odpowiedział. Patrzył w téj chwili na Kordysza i śledził każde poruszenie muskułów jego twarzy, bo zdawało mu się, że już bredzić zaczyna, coby świadczyć mogło o nadciągającym paroksyzmie. Ale Kordysz tak zdrowo dzisiaj wyglądał i z taką przytomnością umysłu włożył kielbasę do rynki i octem polał, że Szot się uspokoił i uznał za stosowne przyłączyć się do powszechnéj rozmowy.

Paulinka ocknęła się ze swego szczęścia, a wyrwując rękę z dłoni Ignacego, skoczyła do komina, aby starego ojca wyręczyć. Ale Kordysz zatrzymał jęj rękę i rzekł:

— Idź do gości, moje dziecię. Umieję ja gotować. Gotowało się nie raz, ani sto razy dla całego plutonu. Hej, mocny Boże! co to były za czasy!...

I pochylił się nad głową Pauliny, aby ją ucałować. Duże dwie łzy zsunęły się po długich wąsach i spadły na loczki dziewczęcia. Szot znowu z niepokojem spojrzał na starego ułana, ale ten otarł oczy i wąsy i znowu odzyskał spokój. A gdy już dostatecznie rynkę węglami ogarnął, zostawił kielbasę własnemu jęj procesowi, sam zaś przybliżył się do gości, którzy już byli na wezwanie Paulinki około stołu zasiedli.

Ignacy jeszcze nie mógł dobrze ocenić swojego nowego położenia. Siedział koło Pauliny i trzymał ją za drobną rączkę, bo mu z tém było jakoś bardzo radośnie. Drobną rączką ścisnęła też kiedy niekiedy dłoń jego.

Stefanek usiadł na szarym końcu i również, jak



Ignacy nie umiał sobie tego wszystkiego dobrze w głowie uporządkować. Zdawało mu się, że go ktoś wyrwał nagle z codziennego jego życia, i wniósł w jakiś świat inny, zaczarowany. Od kilku godzin stało się tyle rzeczy, które mu dotąd były zupełnie obce! Nawet jakieś inne struny ozwały się w nim, których dotąd nie słyszał. Każdy inny człowiek byłby zgłupiał pod wrażeniem tych nowych dla niego rzeczy, ale biednemu Stefankowi, w zamian za jego sieroctwo, przypadł od Opatrzności szlachetniejszy organizm w udziale. Powoli, powoli—ale przecież porządkowało mu się to wszystko w głowie.

Naprzód po tém wszystkiém, co mu ekscentryczny Szot u siebie nagadał, przyszedł do tego przekonania, że taką istotę, jaką jest Paulina, mógłby na całą wieczność ukochać. Ale w téj właśnie chwili, kiedy to już jasno w sercu swoim odczytał, stanęła mu smutna rzeczywistość przed oczyma, że istotę ową na zawsze tracił.

Pierwszy więc głos rozkosznie obudzonej duszy jego był jękiem bolesnym, jakby struny, zerwanej nagle w klawikordzie...

Usiadł biedny na ostatniém miejscu. Na jego nieszczęście było to miejsce naprzeciwko Pauliny, która dzisiaj dla wszystkich miała jedno i te same prześliczne, czarujące oczy...

Stary eskulap siedział między Paulinką a Ignacym i głaskał sobie kłapy ceglatego fraka. Myślał o czémś i uśmiechał się do swoich myśli. Czasami zdawało się, że w myślach swoich napotyka jakieś trudności. Wtedy dłubał paznogciem w srebrném okuciu trzciny.

Wreszcie zbliżył się Kordysz do stołu, a siadając, rzekł:

— Darujcie mi państwo, żem kilka chwil zostawił was samych sobie. Ale dzięki Bogu, kielbasa już się smaży, a wkrótce będzie i na stole. Na sucho najlepsze rzeczy nie idą gładko. Nim zaczniemy mówić, trzeba gardło odwilżyć.

Rzekłszy to, nalał w szklanki miodu i przed każdym porozstawiał. A gdy nieco szklanki nadpito, ozwał się Kordysz z nadzwyczajnym spokojem i rozsądkiem:

— Już to wam, jako najstarszemu wiekiem gościowi i sąsiadowi, należy się pierwsze słowo! Oto pan Ignacy, szanowny nasz sąsiad i syn pocziwych a zamężnych rodziców, upodobał sobie dziecię starego Kordysza, i listem, który też mam w kieszeni, oświadczył mi swój zacny afekt. Memu dziecięciu nie staję w drodze do szczęścia, bo nieboszczka moja Kasia na śmiertelném łożu mówiła mi, aby Paulinka, gdy dorosnie, wybrała podług serca swego. Otoż dzisiaj zesłał dobrotliwy Bóg niezasłużone szczęście na służę swego, i darzy go człowiekiem, który prawdopodobnie jest pocziwym i dobrego gniazda, a jak mnie staremu się zdaje, to i serduszko Paulinki już ma w kieszeni. A więc wychylmy szklanki na podziękę Bogu, który nas zasmuca, gdyśmy na to zasłużyli, ale i pociesza, a którego Imię niech będzie pochwalone teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen!

Po téj perorze podniosło się kilka szklanek, ale szklanka w ręku Ignacego nie doszła do jego ust. Wprawdzie słowa Kordysza nie były niczém inném, tylko konsekwencyą jego własnego listu, a może i we-



wnętrznego stanu duszy, ale to wszystko było w jego marzeniach w tak dalekiej perspektywie, że wyraźnie tego wszystkiego jeszcze nie wiedział. Stary Kordysz chwycił wprost za tę nieszczęsną perspektywę, i tak mu ją do samych oczu przysunął, że Ignacy aż się wstrząsł z przestachu, ujrawszy to wszystko z bliska. Może być, że staraniem Paulinki byłby się może z czasem do tej perspektywy przyzwyczaił, jak to już wielu z ludzi uczyniło; ale Kordysz śmiałym ruchem swoim popsuł całą dekoracją, która w oddale- niu tak urocze okazywała obrazy...

Biedny Kordysz nie wiedział, jak niebezpieczną dla kochających się jest rzeczywistość. Każde słów- ko, mające taką rzeczywistość na celu, ściera z serca ów pyłek wiośniany i oziębia je, nim jeszcze pierwsze jego uczucie dostatecznie dojrzało.

Ignacy nie przeżył jeszcze fazy marzeń, owych mglistych, złudnych obrazów fantazyi rozkosznej, a stary Kordysz postawił nagle przed nim księdza ze stulą, i organista był nawet pod ręką, aby zadać w miechy, i *Veni Creator* przed miejscową publiką zaśpiewać...

Wszystko to groziło kochankowi wielkiem nie- bezpieczeństwem, przeciw któremu tylko Paulinka miała broń skuteczną. Spojrzała czarnemi oczyma na kochanka i rozbroiła go ze wszystkich argumen- tow, jakimi w tej chwili osypał go zimniejszy rozsą- dek. Przydługie ściśnienie drobnej rączki dokonało reszty.

Ignacy oparł się o poręcz krzesła i pomyślał sobie:

— Niech będzie co chce, ja wiem tylko, że je-

stem w tej chwili bardzo, bardzo szczęśliwy... reszta w rękę Boga!

I spojrzał znowu na te czarne, zamglone oczy i te usteczka różowe, które były tak gorące...

— Więc dobrze meści Kordyszu—ozwał się Szot — że z Panem Bogiem zaczynacie. Że młoda para kocha się, to już i ja stary teraz widzę. Powinienem był kilka dni pierwój to samo wiedzieć, ale starego ten gołąbek złotopióry wywiódł w pole!

Pogroziwszy Paulince, mówił dalej:

— Powinienem był wtedy o tém się dowiedzieć, gdy sama prosiła, aby dla pana Ignacego robić kle- iki i kompoty, i dwadzieścia razy na dzień Janka niby odemnie posyłała do pacjenta...

Serce prawdziwie kochające zmusza mimo wie- dzy do wzajemności. Ignacy zapomniał w tej chwili a wszystkiém inném. Porwał rękę Pauliny i okrył ją gorącemi pocałunkami.

— O niedobra... pan! Czemuż ja o tém nie wie- działem?

— Bo Paulinka nie chciała nikogo zmuszać do wzajemności — odszepnęła z cicha,—wołała zamknąć wszystko w sobie i cierpieć!

— I błędnąć i płakać!—wtrącił eskulap, podslu- chawszy słowa Pauliny.

Za to dostało się staremu Szotowi jedno figlarne, ukośne spojrzenie, a Ignacemu dostały się obie ręce i takie ich ściśnienie, jakby prąd baterii elektrycznej w niego uderzył...

— Ale i pan Ignacy musi także dostać kreskę— mówił dalej eskulap:—bo cała choroba jego...

Paulinka zatkała nagle drobną swoją rączką



usta mówiącego, i nie dała mu dokończyć. Rumieniec jednak na twarzy Ignacego dokończył reszty.

Biedny Stefanek siedział, jak posąg marmurowy, z wlepionemi w Paulinę oczyma. Jakoś mu smutno, bardzo smutno było. Pomiedzy nim a oczyma Pauliny przeciągał czasami w powietrzu biały domek plebana z Dąbrowy, ogródek, kościół i dzwonnica. Czemuż on to wszystko zostawił za sobą, puszczając się w świat nieznany?... Tam mu to wystarczało w życiu codziennym, a do snów w nocy miał ową białą, wiotką postać w altanie dworskiej?... Po cóż było mu tu przyjść, obaczyć tę postać żywą i pożegnać ją na zawsze!...

Ale o tém wszystkiém nikt z obecnych nie wiedział, a stary Szot mówił dalej:

— Więc o wzajemnej skłonności młodej pary nie ma co mówić. Według dyagnozy jest to już skonstatowane. I nawet na tém poprzestaćby należało, bo prawdziwa miłość serc dwojga nie powinna w świecie fizycznym uważać na pewne przeszkody. Skoro dwie dusze wzięły już raz ślub z sobą, to mniejsza o to, co w świecie rzeczywistym z niemi się stanie!

Kordysz coś kiwał strasznie na to głową, ale nie odpowiedział, bo zapewne tego wszystkiego dobrze nie rozumiał.

Szot ciągnął dalej:

— Należy jednak zawsze, przynajmniej przy tych szklankach miodu, w rozmowie trącić o ten świat rzeczywisty i zastanowić się nad możliwemi przeszkodami.

— A cóżby to mogły być za przeszkody?—zapytał zdumiony Kordysz.—Moja córka nikomu przyrzeczenia nie dała.

Ignacy posmutniał, a Szot rozśmiał się i rzekł:

— Nie, mości Kordyszu, nie mówię ja o przeszkodach ze strony córki waszej.

Kordysz się zamyślił. Na twarzy jego malował się wyraz rozsądku i największego spokoju. Po chwili uderzył się w czoło i rzekł:

— Prawda, zbyt lekkomyślnie postąpiłem sobie. Przeszkody mogą być z mojej strony, i to niemałe!... Należało wprzód dobrze rzecz zbadać, czy pan Ignacy wart jest mojej Paulinki? Czy jest człowiek pocziwy i z jakiego gniazda? Czy ojciec pana Ignacego go-dzien jest, aby mu Kordysz rękę podał!

Ignacy wpatrzył się w starego ułana, bo jego słów nie mógł dobrze pojąć. Co to wszystko miało znaczyć? Czy rzeczywiście wszedł między waryatów? Myśląc jednak o tém wszystkiém, zdawało mu się mimowoli, że jakoś zmałał w obec starego Kordysza, którego cała postawa była w tej chwili tak imponująca! W oczach jego malowała się duma, barki wyprostowały mu się, jakby go nagle sznurówką ściśnięto. Tylko przydłuższe ściśnienie białej rączki mogło Ignacego przy równowadze zmysłów utrzymać. Szot spostrzegł to i ozwał się:

— Was oczywiście znamy, mości Kordyszu, i mamy szacunek dla was, byleście tylko tej mustrze z chłopcami nie oddawali się zbyt gorliwie. Drażni to wasz umysł i nie więcéj.

— A czyż ja wam co mówię za to, że od lat czterdziestu...

— Cyt, mówmy rozsądnie — przerwał mu Szot w obawie o nowy paroksyzm — mówmy o przeszkodach, któreby w świecie fizycznym mogły młodej parze sta-



nać na zawadzie. Otoż ten świat fizyczny, świat, który tylko ma oczy na to, co w garść wziąć można, widzi w tej młodej parze może nierówność stanu.

— Nierówność? Jak to pojmujecie, panie Marcinie?—zapytał zdziwiony Kordysz.

A po chwili namysłu dodał:

— Ja powiedziałem, że z mojej strony dla mego dziecka wszystko zrobię, gdyby nawet trzeba było jedno oko przymrużyć. Kordysz chętnie poda rękę rodzicowi pana Ignacego, jeżeli tylko ta ręka jest czysta! A że Kordysz może tam odrobinę coś więcej znaczyć, niż rodzic pana Ignacego, to już rzecz między nami! Pycha nie jest moim grzechem!

Ignacemu zrobiło się smutno. Tylko świeże przypomnienie tych usteczek różowych, które przed chwilą otworzyły mu niebo szczęścia, tylko te czarne, płonące oczka mogły go do milczenia zmusić. Za to Szot ozwał się znowu:

— Ale miejcie na względzie mości Kordyszu, że rodzic pana Ignacego jest człowiek zamożny, ma dwie nieszpętne wioski nad Sanem i pozycją godziwą w świecie!

— *Mordie!*—krzyknął stary ułan i zerwał się z krzesła — toż ty panie Marcinie mówisz, że rodzic pana Ignacego, który przypadkiem urodził się bogatszym, nie chciałby podać ręki Kordyszowi, który dwadzieścia lat był w służbie na koniu... który walczył z gerylasami w Hiszpanii, siedł pod Sommosierrą na baterye, bił się z Murzynami na San Domingo, pod Lipskiem trzy dni stał w ogniu itd., itd... gdy inni jedli i pili i pod ciepłą pierzyną spali?... Żeby Kordysz nie śmiał komu dziś ręki swojej podać, ręki, którą

Napoleon ścisnął, a po ataku na Somosierze sam własną ręką podał mu z ogniska węgiel do fajki?!... Panie Marcinie, zdaje mi się, że mimo wszelkiej twojej uczoności masz bzika pod peruką!... Tak mówi Kordysz, który dwadzieścia lat był z nim, a on z Kordyszem!

Kordysz stał wyprostowany, jak świeca. Zdało mu się, że stoi w tej chwili przed trybunałem świata. A więc po żołniersku trzeba było stać, jakby sam „on“ patrzył na niego. Twarz jego wyszlachetniała, obwisłe wąsy jego podniosły się do linii poziomej. Wyobrażał w tej chwili piękny typ starego legionisty.

Argumenta jego żołnierskie, jakkolwiek nie akceptowane przez wszystkich, zrobiły jednak głębokie wrażenie. Jakaś świetlana aureola otoczyła całą postać weterana. I w Ignacym ozwał się szlachcic. Wstał, wyciągnął rękę do starego legionisty i rzekł:

— Ta ręka jeszcze młoda, panie Kordyszu, i Napoleon jęj nie ścisnął. Ale gdybym był rówieśnikiem pańskim, to bylibyśmy niezawodnie obaj pod Sommosierrą!...

— To mi chwat!—krzyknął Kordysz, aż szyby zabrzęczały;—dajcie mi go tu!

I pochwycił Ignacego w szerokie ramiona, i tak go całował i ścisnął, aż mu żebra trzeszczały.

— A teraz szanowni goście moi, kielbasa i miód!—zawołał, i ogromną rynkę postawił na stole, gdy Paulinka starała się o talerze.

I bawiono się wesoło do późna w nocy. Marzenia i obawy Ignacego przybrały inny kolor. W Kordyszu nie widział prostego rzemieślnika. I słusznie



powiedział mu korepetytor, że Kordysz jest to jak stare malowidło, które z pod wapna dzisiejszego wystaje...

Szot także był wesół i śpiewał ulubioną piosenkę. Paulina musiała także popisać się swojemi pieśniami.

Późno po północy wrócił Ignacy do swego mieszkania. Cicho, na palcach zbliżył się do łóżka, aby nie zbudzić korepetytora. Byłby w fatalnym położeniu, gdyby korepetytor kazał mu to wszystko opowiadać, co zaszło w izdebce Kordysza. Gdzież bowiem znaleźć słów, aby niemi odmalować to, co się dzieje w sercu szczęśliwego kochanka!...

Przykrył się z głową, aby dalej ciągnąć sny rozkoszne. A gdy zimny, światowy rozum zaczął się odzywać, Ignacy miał już gotowe dla niego argumenty, aby go przyprowadzić do mileczenia. Widział wprawdzie przed sobą rodziców zagniewanych, widział ciotkę starą w kornecie i babunię o dwóch kulach, którzy wyrzucali mu jego lekkomyślność, gniewali się, odmawiali nawet błogosławieństwa do ślubu, a nawet grozili mu wydziedziczeniem; ale Ignacy padał wtedy do nóg zagniewanych rodziców, cioci i babci, i błagał ich o przebaczenie, błogosławieństwo i przypadającą na niego część majątku ojcowskiego. I wszystko, jak to bywa w książce, kończyło się bardzo pomyślnie. A jeźliby tak stać się miało, jak to w drugiej książce czytał, że rodzice nie dali się przebłagać i do *mezzansu* nakłonić, wtedy stanął przed nim mały wiejski

kościółek, a w tym kościółku czekał pleban ze stulą i dwóch świadków kościelnych. *Incognito* wziął ślub z Pauliną i poszedł z nią w świat szeroki, aby w pracy szukać kawałka chleba! O jakże gorąco w ubóstwie jego kochała go wtedy Paulina!... Jeszcze jedną stronę odkryło mu nowe jego położenie. Paulina jest córką starego weterana, który w służbie publicznej zdeptał całą Europę, stał odważnie, gdy tysiące kul w pierś jego mierzyły... a toż nie nie znaczy?...

I słodko zasnął rozmarzony młodzieniec, a we śnie zaraz stanęła przed nim Paulina. Była jeszcze bardziej zachwycającą niż w izdebce Kordysza. Serce jej biło jeszcze żywiej, usteczka różowe wyglądały jak karmin, a były gorące, jak słońce lipcowe... A gdy noc minęła, nastąpił dzień, a po owym dniu znowu dni kilka, i to w takich samych przemianach, jakie obliczone są według obserwacji astronomicznych. Dla jednych były te dni godzinami pracy, dla innych długimi godzinami cierpienia i bólesci, a dla szczęśliwych rozkosznymi chwilami szczęścia.

Ignacy należał do ostatniej kategorii. Dla niego były to dni snów rajskich i nadziemskiej rozkoszy,—dni, które mniej więcej wszyscy ludzie raz w życiu miewają; a chociaż ekonomiści polityczni bardzo się na takie dni żyzają, nazywając je marnowaniem sił narodowych i stratą czasu, który jest synonimem złota, mimo to dni owe nie przestaną figurować w rubryce życia ludzkiego, póki tam figuruje dwudziesty rok życia...

Z biednym Stefankiem w tych kilku dniach to tylko się stało, że stale ulokował go u siebie stary eskulap, dla którego w razie potrzeby miał być służą-



cym, czyli raczej pomocnikiem, jak się sam Szot wyrażał, a w innych znowu chwilach miał mu służyć do rozmowy o różnych fenomenach w świecie fizycznym i duchowym. Pleban z Dąbrowy pisał do Szota, dziękując mu, że wychowaniec jego znalazł u niego stałe mieszkanie i opiekę. W rzeczywistości jednak czuł się biedny sierota wyrzuconym ze skromnego gniazdka, które sobie w Dąbrowie był uwił, w jakiś obcy, obojętny mu świat, w którym mu było tak smutno, tak boleśnie!... Pierwsza istota, którą ujrzał, gdy jego serce było otwarte, wcisnęła się do tego serca, a zaledwo uczuł pierwszą rozkosz marzenia, była ta istota już dla niego straconą!... Wprawdzie przychodziła czasem do starego eskulapa, ale przychodziła tylko do klawikordul!... Czasem nawet grała z nim razem i śpiewała, ale na to jedynie, aby go tém nieszczęśliwszym czynić, a dla swego narzeczonego nową piosenki się uczyć!...

Jedna tylko drobna rzecz wpadła mu w oko temi dniami. Gdy raz wieczorem o starym Kordyszu rozmawiali, rzekł Szot do niego:

— Na pozór zdaje się ten człowiek zdrowy, a czasem tylko wygląda na pijanego. Ale to jest choroba umysłowa. Był on częstką wielkiej epoki historycznej, a pamięć tak kołaczę w jego duszy, jak zeschłe jądro w orzechu. Ztąd jego wybryki, mustry, śpiewki—ztąd jego przekonanie, że upadł już tak nisko co do zdolności swoich, iż tylko stare buty latać potrafi. Gdy się dowiedział o śmierci Napoleona, w co jeszcze nie bardzo wierzy, spalił kopyta i odtądnie robi nowych butów! Przypomina mi paroksyzmy, w których kogoś zabić usiłuje. W tych paroksyzmach zdaje mu się, że skazany jest na męki piekielne. I to najwięcej drażni

jego umysł. Właśnie myślę nad sposobem uzdrowienia go, ale dotąd brak mi konceptu.

Stefanek słuchał tego wszystkiego z wielką uwagą, chociaż w większej części nie rozumiał, o co chodzi. Uderzyło go, że Kordysz nie robi nowych butów. Myślał chwilę nad tém, ale wnet zerwał się z krzesła i rzekł:

— Jak to?... przypominam sobie, że Kordysz robił nowe buty. Coś, bardzo niejasno, ale przecież pamiętam, że jakiś ułan przed laty dziesięciu zobaczył mię na mieście w śniegu stojącego boso. Byłem sierotą i zebrałem po domach.

— A gdzie mieszkał wtedy ten ułan?—zapytał ciekawie eskulap.

— Przy targowicy, około OO. Reformatów.

— Tak, tak, Kordysz tam mieszkał!—odparł po chwili namysłu Szot, i wpatrzył się w Stefankę ze znaczącą ciekawością.

— I ten ułan wziął mnie do ciepłej izby, zrobił mi nowe buty, i rzekł po dwu dniach do mnie: „Idź teraz sieroto do ludzi bogatszych, aby ci jeść dali, ja dałem co mogłem!

Eskulap zamyślił się nad tym nowym szczegółem do charakterystyki swego pacyenta. Długo chodził po izbie w milczeniu. Wreszcie rozjaśniło mu się oblicze, oczy żywszym błysnęły ogniem. Stanął przed Stefankiem i rzekł:

— Słuchaj Stefanku, w mojej głowie rodzi się plan niezgorszy. Jeśli mi się uda, to zapewne wydrukują to w gazetach, a wtedy będę sławnym doktorem. Karetę będą po mnie przysyłali, a Julia moja cieszyć się będzie z mojej sławy!... Ale pamiętaj—abyś



o tych butach ani słowa przed nikim nie wspomniał! Ani przed Kordyszem ani przed Paulinką!—Rozumiesz?

Stefanek tak wysokie miał wyobrażenie o rozumie i nauce swego patrona, że ani myślał się zastanawiać, dla czego Szot tego wszystkiego żąda? Dziwném mu się tylko wydało zrządzenie bozkie, że właśnie w tym samym domu, w którym po śmierci matki po raz pierwszy otworzono mu serce, po latach dziecięciu zamknęło się przed nim serce, za które radby oddać całe życie!...

XI.

**N**a szczęście ludzkie czyha zawsze duch złego. Jeśli jest niewidzialny, wyobrażają go sobie z rogami i długim ogonem. Ignacy był szczęśliwy. Ale zły duch, który usiłował szczęście jego zniweczyć, był dla niego widzialny, nie miał bynajmniej rogów, ani ogona, ale za to siwą brodę, długie pejsy i czarny lapserdak.

Nie był to nikt inny, tylko znany nasz faktor Berko.

Zaledwie pierwszy rumor szczęścia Ignacego rozszedł się po murach „Starego cyrkułu“, zaledwie Janek stolarczyk ślusarczykowi Kubie coś o karteczkach i kompotach napomknął,—już stary Berko wiedział o wszystkim, a nawet więcej niżeli sami kochankowie.

Było to okropne, niesłychane zmartwienie dla starego faktora. Rozdarł szaty swoje, brodę pomierzył, a pejsy sporo ponadrywał.

— Aj waj!—wołał patetycznie nad głową małżonki,—aj waj! co to będzie! Ja nie wiem, co będzie, ale wiem, że bardzo źle będzie!... Już trzy dni pan



Ignacy do szkoły nie chodzi... Dowiaduję się, myszkuję, dla czego... a tu pan Ignacy siedzi u starego Kordysza i powiada mu, że się z jego córką żenić będzie!... Aj waj! świat się przewrócił... żeby syn takiego pana wziął sobie...

Berko wymówił tutaj jakieś niezrozumiałe hebrajskie słowo, i porwawszy czapkę, pobiegł do „Starego cyrkułu“.

W „Starym cyrkułu“ nie było dla niego wielkiej pociechy. Ignacego nie zastał, a korrepetytor odepchnął od siebie wszelką odpowiedzialność za zachowanie się Ignacego poza domem. Do niego należała tylko nauka, a w innych rzeczach uczeń był niepodległym.

Berko wszedł do Kordysza. Zastał tam Ignacego i Paulinę. Ujrawszy Paulinę, stanął przy drzwiach, jak wryty, bo tak piękną nigdy jej nie widział. Tém większym wybuchnął gniewem i zaczął Ignacemu prawić jakąś ognistą perorę, przyczem i lzy ocierał, i zachlipywał się od wielkiego płaczu.

Ale dzień ten był fatalnym dla Berka. Kordysz znajdował się w izbie, a wyrozumiawszy z kilku wyrazów, że tu o honor jego domu chodzi, porwał swój kij sękaty, i nim Berko się spostrzegł, już uczuł na barkach i biodrach z nadzwyczajną zręcznością zaaplikowane plagi. Potém odgadywał niewyraźnie, że mimowoli obraca się nosem do drzwi, a gdy z tych niespodziewanych wrażeń nieco do siebie przyszedł, był już prawie na środku rynku. Tam dopiero zatrzymał się i spojrzał na okna „Starego cyrkułu“, które w téj chwili budziły w jego duszy pewne bolesne wspomnienia.

Berkowi nie chodziło o indywidualne jego niepowodzenie, ale o sprawę najstarszego i najbogatszego swego klienta. Pobiegł więc do domu, aby tam w bezpieczeństwie pomyśleć o ratowaniu pana Ignacego.

Rady jednak innéj na to nie było, prócz jak najprędszego doniesienia o tém rodzicom. Berko pobiegł więc do sklepiku, kupił za grajcar arkusz papieru, pożyczył w sąsiedztwie kałamarza i pióra. Z arkusza oddał ćwiartkę i zaczął pisać, a lzy kapły mu na papier:

„Wielmożni jegomości! Aj waj mir! Co to jest, ja tego nie rozumiem, to czary jakieś, to klipec ten Kordysz, a jego córka...“

Przeczytał co napisał, ale koncept nie podobał mu się. Podarł tę ćwiartkę i zaczął na drugiej:

„Bóg nawiedził Joba wielkiem nieszczęściem, ale to nieszczęście jeszcze większe...“

Znowu przeczytał i podarł. Oparł się o stół i zaczął myśleć i wdychać.

Nareszcie przyszło mu do głowy coś innego. Uznał za rzecz niebezpieczną powierzać tak straszne nieszczęście listowi. Mogłby jegomość, który jest słabowity, nagle przeczytać i apopleksyi dostać. Takie nieszczęście tylko kobieta umie ocenić i stosownie mu zaradzić. Tylko serce matki może ten cios od biednego Ignacego odwrócić. A że niebezpiecznie było do saméj jejmości pisać, a nawet i tak od razu nie można było wszystkiego wyjawić, więc po długiej naradzie z małżonką i po wspólnym płaczu, postanowił Berko sam do dworu pojechać i okropną wiadomość zrecznie matce do ucha wyszeptać.

I straszny był to dzień we dworze, gdy Berko



przyjechawszy tam na worze z mąką, opowiedział wszystkim pod sekretem okropne wydarzenie. Był to dzień straszniejszy od dnia sądu bożego, kiedy archanioł w trąbę uderzy i wszystkie groby się otworzą...

Jegomość z razu utrzymywał, że już to nieszczęście przeczuwał, bo właśnie téj nocy bódł go we śnie wół z węgierskimi rogami, chociaż na wieczerzę zjadł tylko małych pięć kotlecików z sosem. Babcia obliczyła, że właśnie siódmy dzień temu, jak przed obrazem Matki Bożkiej Częstochowskiej zgasła lampa, do której oliwę własną ręką nalewała. A ciocia Teresa zaklinała się na wszystko w świecie, że przed tygodniem widziała, jak czarownica przez komin na miotle wjechała i ukradła z bielizny Ignacego jedną sztukę, aby go oczarować.

Jedna tylko matka nie straciła głowy, z jakiej słynęła w całej okolicy. Wysłuchawszy do końca, uśmiechnęła się i rzekła:

— Nie bójcie się o Nania, on moje dziecko. Poromansuje trochę z ubogą dziewczyną, ale gdy przyjdzie do żeniaczki, to wybierze bogatą. I mnie nadskakiwał nie jeden hołysz, a dzięki Bogu, trzech mężów miałam, i zawsze byli ludzie majętni. Pamiętam, będzie temu lat czterdzieści, szalenie zakochał się był we mnie młody doktor. Nawet i ja pozwoliłam sobie więcej niż zwykle, ale dziś zapomniałam nawet, jak się nazywał!

— I ja tak sędzę kochana Julio — odparł jegomość; — bo widzisz kochasiu, on nietylko jest twoim dzieckiem, ale spodziewam się i mojem. A ja, wszak wiesz o córce kowala, co to miała takie jasne włosy?... A przecież gdy nadszedł czas statku, toć my się prze-

prosil, i ot żyjemy z sobą, a gdyby tylko nie ten wół z węgierskimi rogami...

Jejmość machnęła ręką, a jegomość umilkł nagle, jakby na dany rozkaz kochanej Julii. Była to kobieta praktyczna w całém pospolitem znaczeniu tego słowa. Nizka, dobrej tuszy i zaokrąglonych rysów, okazywała jeden z owych szczęśliwych temperamentów, które dary ziemskie więcej cenia, niżeli tam jakieś marzenia idealne. Lubią one smaczne pieczenie, dobre ciasta i ciężkie materye na suknie. Ubierają się jaskrawo, a głowy ich wyglądają jak wiszące ogrody Semiramidy. Są zawsze wesole i rumiane, a adoratora lubią jedynie wtedy, gdy go ręką dosięgnąć mogą. Na większe oddalenie serce ich nie wystarcza. Nie zgadza się to nawet z ich rozumem praktycznym. Jakkolwiek żywe oko pani Julii i czarny meszek na wierzchniej wardze okazywały, że to serduszko, przynajmniej dawniej, nie zadawało się regularném, monotonném biciem, powód jednak téj nieregularności serca musiał być bardzo blisko. Inaczéj urywała się nie wszelkiego niepokoju.

Taka kobieta musiała zapatrywać się na nieszczęście swego syna spokojnie i praktycznie. Naprzód była za tém, żeby ich jak najprędzej rozdzielić. Przekonała męża, że Ignacy już zanadto ma tych szkół i nauk, i że czas już uwolnić go od książek. I tak na nic ta nauka mu się nie przyda, bo będzie miał majątek i zarabiać na życie nie potrzebuje. Do dobrego zaś ożenienia się nauka nietylko jest niepotrzebna, ale często nawet zawadza, bo człowiek uczony robi się sztywnym i niezgrabnym w salonie, jak np. ksiądz proboszcz.



Te i tym podobne argumenta spowodowały wreszcie uchwałę familijną, która wyrzekła, że Ignacego trzeba ze szkół odebrać, czyli, jak to ówczesna młodzież szkolna się wyrażała, że Ignacy może już „pójść na pana.“

W pół godziny po tej uchwale pakowano już karetę czterokonną. Berko sam zapinał sprzązki u kufrow. Cała rodzina kładła do tych kufrów według swego usposobienia rozmaite *arcana*, które mogłyby służyć matce do odpędzenia złego ducha od Ignacego. I tak babcia włożyła poświęcany w Rzymie dzwonek loretański, który nie jedną burzę, zbierającą się ponad dworem, rozpuścił. Matka Ignacego miała go użyć w ostatecznym razie, i nad uchem winowajcy donośnie nim zadzwonić. Ciocia Teresa włożyła własny swój szkaplerz, z tém poleceniem, aby go Naniowi na szyi powiesić. Był to wypróbowany środek przeciw zalotnym i wyzywającym oczom, którego ciocia Teresa z wielkim skutkiem przez lat czterdzieści swojego panieństwa używała. Jegomość zaś cichaczem wsunął do kufra—dyscyplinę wysłużoną, podobno nawet boćkowską. Był to środek wybróbowany przez jego antenatów.

I tak wyposażona jejmość, pospołu z ciocią, Teresą, wsiadła do karety; a nim słońce nad „Starym cyrkulem“ zaszło, żołnierz stojący na moście widział już wjeżdżającą karetę do miasta. Na koźle przy furmanie siedział Berko i ocierał połą łzę z oczu, patrząc na te fatalne dwa okna „Starego cyrkulu“, gdzie prawdopodobnie przygotowywała się wielka tragedia.

W „Starym cyrkule“ na pozór nic się od tego czasu nie zmieniło. Szot chodził w tym samym ceglastym fraku, Stefanek zapisał się do instytutu organizmów, a w chwilach odpoczynku, wzdychał po straconym raju i czuł się bardzo nieszczęśliwym. Kordysz był ze wszystkich najszczęśliwszy. Śpiewał ułańskie piosenki i po całych dniach łątał buty.—A kochankowie?

Kochankowie byli na pozór także szczęśliwi...

Ignacy chodził z rana i po południu do ubogiej izdebki Kordysza, a często dopiero po północy do korepetytora przychodził. Ale w duszy jego widać już było pewną reakcyą. Różnie to sobie z razu tłumaczył i różnie tłumaczyła sobie biedna Paulina, ale z czasem musiała przecież ta reakcyą jasno i dobitnie się objawić. Jakiż zasób moralny mieli kochankowie, aby tę reakcyą w pierwszym zaczątku pokonać?...

Od czasu owych „zalotów“ całe dni spędzał Ignacy przy Paulinie. Pierwszy zapal, z jakim dwa serca wzajem w jedną istotę się zrastają, nie może trwać w równiej potędze, jeżeli go u obu stron nie podsycają zasoby, między którymi musi być równowaga jak najsubtelniejsza.

Ignacy widział wprawdzie Paulinę tę samą, przy jakiej owego pierwszego wieczoru od zmysłów odchodził. Dzisiaj był jednak daleko spokojniejszy. Paulina miała te same czarne oczki, ten sam nosek lekko do góry wzniesiony, te same drobne, alabastrowe rączęta. Patrzyła tak samo jak dawniej z uczuciem na niego i szczebiotała mu do ucha różne prześliczne rzeczy. Serce jednak Ignasia biło dosyć regularnie. Zkądże to pochodziło?



Przez szparę we drzwiach, w jakimś magicznym oświeceniu ujrzał Ignacy po raz pierwszy biedną Paulinkę. W snach jego ozwały się naraz wszystkie struny. Nie spoczął, dopóki drobna rączka Pauliny nie ścisnęła jego ręki, a głosik jej pieściwy nie wyszepnął mu do ucha pewnego słówka, które głośno nigdy się w takim razie nie wymawia. Od tego czasu wiele dni upłynęło. W ubogiej izdebce Kordysza coraz widoczniej wychylało się do niego odrażające oblicze ubóstwa. Pierwój nie miał na to oczu. Widział Paulinkę na jakimś ciemnym tle jako prześliczny obrazek. Dzisiaj, z każdym dniem więcej występowało to tło ciemne. Ubogie sprzęty raziły przyzwyczajonego do wykwintnych mebli młodziana. Porozrzucone kopyta i stare podarte buty, które stosami przed Kordyszem leżały, nie mogły także przyczynić się do utrzymania pierwszego uroku. Zresztą i w Paulince nie wystarczały jakoś te czarne oczki i usteczka różowe. Potrzeba było urok powierzchowności zasilić urokiem moralnym. A tam w duszy leżało jeszcze wszystko odłogiem. Wprawdzie pocziwy Szot założył w tej pięknej duszy mały ogródek, nagromadził tam w sposób encyklopedyczny różnych pięknych rzeczy, ale to przecież kształconemu systematycznie młodzieńcowi nie wystarczało. Z każdym dniem czuł więcej brak równowagi wzajemnej, a Paulina patrzyła nieraz całemi godzinami na niego, bo do rozmowy brakło im już przedmiotu. Ona chciała od niego się uczyć, połykała każde słowo, każde wejrzenie jego chciała odgadnąć; ale Ignacy nie miał wcale tyle hartu serca, aby miłością i pracą ukochaną istotą do siebie podnieść i widnokrąg jej duszy rozszerzyć.

Paulina była wprawdzie jedną z tych najszlachetniejszych istot, które rozrzućną ręką wyposaża Opatrzność. Przy wdziękach ciała były znakomite wdzięki duszy i serca. Te jednak nie były wykształceniem umysłowem należycie rozwinięte. Wiele rzeczy odgadywała instynktem, umiała się zastosować nawet do najwybredniejszych wymagań światowych, ale nie mając wszechstronnego wychowania, nie miała w sobie owego zasobu, którym kobieta może podsycać swój urok w obec takiego mężczyzny, jakim był Ignacy. Dłuższa miłość i szczere przywiązanie Ignacego mogły wprawdzie z czasem tę lukę w jej duszy wypełnić, ale na to potrzeba było innej miłości i innego serca niż to, jakim mógł rozporządzać kochanek Pauliny.

Koniec końców, Ignacy, czując się już w posiadaniu upragnionego skarbu swego, uspokoił się zupełnie, a ze spokojem wkradła się i reakcja. Kordysza wprawdzie z każdym dniem więcej lubił, bo Kordysz niewyczerpany był w opowiadaniach o Hiszpanii. Ale Paulinka, osobliwie przy stosie dziurawych i zabłoczonych butów, lub przy gurnuszkach na kominie, traciła z każdym dniem u niego. Pozostało więc tylko jakieś wspomnienie i przyzwyczajenie. Biedny Kordysz nie o tym procederze serca ludzkiego nie wiedział, i z każdym dniem przywiązywał się więcej do swego przyszełego zięcia. A Paulina?... Paulina czasami tylko płakała!

Tak stały rzeczy, gdy karetą czterokonna wjechała do miasta. Kampania więc, którą faktor Berko tak strategicznie przeciw szczęśliwym kochankom rozpoczął, mogła mieć jak najlepsze wróżby powodzenia.



— Co myślicie panie Marcinie?—rzekł nazajutrz rano Kordysz, wchodząc do izby eskulapa.—Zdaje mi się, że wypada pójść i przyszlą swatową powitać?

— Jakto?—zapytał eskulap,—czy matka Ignacego przyjechała?

— Wczoraj w wieczór, mieszka „pod Opatrznością.”

— Nie znam jój, lecz sądząc po synu, musi być godna kobieta.

— Wczoraj wieczorem Ignacy nie był u nas. Ale to właśnie mi się podoba. Matka powinna być na pierwszém miejscu aż do ślubu. Po ślubie dopiero, powiada ojciec Salezy, opuści człowiek ojca i matkę i pójdzie za nią... Dziś rano dowiedziała się Paulinka od kogoś, że matka przyjechała.

Eskulap zamyslił się.

— Ja wiem, o czém wy myślicie, panie Marcinie—ozwał się znowu Kordysz:—myślicie nad tém, że to może nie wypada, abym pierwszy poszedł do matki Ignacego. Przyjechawszy do miasta, powinniaby sama przyjść do nas i Paulinkę w czoło pocałować... Biedne dziecię, płacze od rana... no, ale ja nie mam żony w domu, nie zawadzi więc, jeśli ja sam pierwój ją odwiedzę, jako ojciec jój przyszlój synowój. A co, zgadłem?

— Może i o tém myślałem — odparł eskulap, — a może o czém inném... Ale jeżeli rzeczy tak się mają, to nie zawadzi pójść ją przywitać. Nie wypada przecież, aby kobieta wchodziła pierwsza w dom wdowca.

— Bardzo słusznie panie Marcinie — odparł wesoło Kordysz — bo co innego, gdyby ojciec Ignacego był przyjechał. Wtedy musiałby przyjść do starego

Kordysza. Ale kobieta... Aha! wpadła mi dobra myśl do głowy. Możebyście ze mną razem poszli do matki Ignacego? Zapewne wypadnie jakoś pomówić, a ja do tego nie tęgil!

Eskulap pomyślał trochę, a potem rzekł:

— Dobrze, pójde z wami.

— Natychmiast, tylko skoczę do siebie i włożę mundur! — odparł uradowany Kordysz, i wybiegł na schody.

W zajeździe „pod Opatrznością,” w dużym frontowym pokoju z balkonem, odbywał się właśnie sąd familijny. W ponsowój sukni tybetowój siedziała matka Ignacego na błękitnej kanapie. Ciocia Teresa, w eleganckim korneciku, przypominającym czasy dyrektoryatu francuzkiego, zajęła stanowisko posilkowe na krzeselku, tuż przy kanapie. Z drugiej strony na fotelu rozparł się Ignacy, założył z angelka nogę na nogę, i cieniutką szpicrutą wypisywał w powietrzu jakieś hieroglify, które do P były podobne. Przy progu, z miną prokuratora, stał Berko.

Na stole leżały resztki smacznego śniadania. Arcanów jednak, włożonych do kufra na wypadek krnąbrności Ignacego, nie było nigdzie widać. Dzwonek loretański, szkaplerz i argument boćkowski leżały prawdopodobnie jeszcze w kufrze.

Rumiana twarz jejmości, na której malowało się zadowolenie, również wesoła mina Berka okazywały, że sąd odbył się po myśli prokuratora, a obwiniony okazał skruchę i przyrzekł poprawę. Ciocia tylko



miała resztki łez w oczach, bo samo wspomnienie romansu alterowało ją nadzwyczajnie, jako grzech śmiertelny.

W tej chwili otworzyły się drzwi— i do pokoju wszedł naprzód Kordysz, w starym mundurze ułańskim, z kijem sękatym w rękę, a za nim z trzecią hiszpańską ukazał się Szot we fraku ceglasm, w peruce i butach z żółtymi sztylpami.

Zaraz przy drzwiach, nie przywitałszy się jeszcze z jejmością, pochwycił Kordysz Berka za kołnierz i jednym zamachem za drzwi aż na schody wyrzucił. Potem zamknął drzwi, a zbliżywszy się posuwistym krokiem dawnych ułanów ku kanapie, rzekł do jejmości:

— Zapewne mam honor powitać godną matkę pana Ignacego. Naprzód przepraszam, że tego Żyda musiał wyrzucić. Gdybym nie szanował godnej matki pana Ignacego, byłbym mu grzbiet wygarbował na jucht czarny. Obraził on dom mój i córkę moją.

— Kto panowie jesteście?—zapytała jejmość nie bez trwogi.

— Naprzód ten pan w peruce jest sławny i znany w całym mieście doktor Szot. A ja, pani dobrodziejo, jestem Marcyan Kordysz, stary legionista, jak ot ten krzyż wskazuje.

Jejmość spojrzała najpierw na eskulapa, który stał na środku pokoju w figurze półkola, jak to był zwyczaj za czasów Ludwika XVI. Po jej rumianej, pomarszczonej twarzy przebiegło jakieś nieokreślone uczucie, które mogło zająć miejsce między śmiechem a ciekawością.

— Pan Szot?—ozwała się po chwili—pan Szot...

jeśli sobie dobrze przypominam... powinniśmy być znajomi...

— Może być mościa dobrodziejo—odparł eskulap, nie zmieniając wcale figury półkola,—może być, w czterdziestoletnim przeciągu mego zawodu miałem dużo pacjentów... może być... ale tak dokładnie sobie nie przypominam...

— Patrz Julciu—rzekła ciocia półgłosem — jest to strój, który do nas przynieśli markizowie francuzcy.

— Tak jest—odparł eskulap, usłyszawszy tę na pół cichą rozmowę,—była to najświeższa moda roku 1795...

— I pan zatrzymałeś tę modę aż do dnia dzisiejszego?—wtrąciła z lekkim uśmiechem jejmość.

— Bo to był rok najwyższego szczęścia mego!—odparł spokojnie eskulap.—W tym stroju byłem najszczęśliwszym, i dla tego zachowam go do grobu, jako pamięć owego szczęścia...

Ciocia spojrzała na jejmość i uśmiechnęła się. Jejmość zaś zamyśliła się na chwilę, a obaczywszy twarz swoją w zwierciadle, które naprzeciwko wisiało, westchnęła lekko i zamilkła. Ignacy siedział na fotelu nieruchomy, poczerwieniały po same uszy.

Tymczasem Kordysz przysunął dwa krzesła do stolika, a usiadłszy na jednym i wskazawszy Szotowi ręką drugie, rzekł:

— Wiadomo zapewne pani dobrodziejo, w jakim interesie tu obaj przechodzimy. Pan Ignacy spieklaka, jak widzę, a to mi jest dowodem, że o całym interesie już z mamą dobrodziejką mówił. Mnie więc nie innego nie pozostaje, tylko złożyć moje winne uszano-



wanie pani dobrodziejce, jako matce przyszłego zięcia mego. Gdyby „on“ żył (a mówią już z pewnością, że umarł gdzieś na odległej wyspie), toby Kordysz może inaczej zaprezentował się matce swego zięcia; ale w takich okolicznościach cóż robić? Ubogi jestem, to prawda, ale tu (Kordysz wskazał na serce) jest czysto i spokojnie. Dziecko Kordysza warte jest wiele, bardzo wiele. Naprzód, jest ładne i rozumne dziecko, a po drugie, jest dzieckiem Kordysza, który lat dwadzieścia służył na koniu, był pod Somosierrą, nie mówiąc już o trzydniowym ogniu pod Lipskiem i t. d. Nie zaślepia mnie przy tém bynajmniej pycha, bo wiem, że nie każdy mógł tam być, gdzie ja byłem. Dla tego, dla ojca pana Ignacego będę miał zawsze rękę otwartą...

Ciocia zbladła ze zgrozy na taką perorę, i myślała już o dzwonku loretańskim, jako pierwszym *remedium* przeciw nadciągającej burzy. Ignacy siedział jak posąg i łamał w rękach szpicrutę. Matka nie mogła jeszcze tego wszystkiego w głowie uporządkować. Wziął się więc do słowa stary Szot.

— Ja z mojej strony — ozwał się po chwili milczenia — muszę jeszcze słów kilka dorzucić. Wprawdzie jest to już fakt stwierdzony, że pan Ignacy i Paulina kochają się jak dwa gołąbki. A kiedy dwa serca, dwie dusze razem z sobą się połączą, kiedy sam Pan Bóg z nieba spoglądał z radością na ten ślub dwóch serc pokrewnych: to już żadne przeszkody w świecie fizycznym nie powinny tych serc rozrywać. Ponieważ jednak zawsze boleśnie jest znajdować takie przeszkody, które chociaż nie dusze, ale osoby nasze na czas jakiś od siebie rozdzielają: przeto uchylając

wszelkie możliwe przeszkody, któreby nakrzykładał z nierówności sytuacji wyniknąć mogły, oświadczam niniejszem, że cały uciulany przezemnie majątek po mojej śmierci stanie się własnością Pauliny, z tém jednak zastrzeżeniem, gdybym z moją Julią nigdy się nie zeszedł.

Kordysz porwał się z krzesła, zaczął płakać i eskulapa całować.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi! — wołał wśród łez — chociaż dziecko Kordysza tego nie potrzebuje...

Obie kobiety patrzyły na nich z jakąś nieokreśloną trwogą. Zdawało im się, że mają przed sobą dwóch waryatów. Jejmość wprowadziła trochę się zasępiła, ale wnet wypogodziła twarz i ozwała się głosem stanowczym do Kordysza:

— Nie będę wam wiele czasu zabierała, panie majster. Z tego, com tu słyszała i com zrozumieć mogła, okazuje się, że mój syn rozpoczął jakiś studencki romansik z waszą córką. W prostoduszności waszej, panie majster, myślicie, że syn mój z Pauliną się ożeni. Ale weźcie tylko na uwagę, czy to być może? Mój syn będzie dziedzicem ładnej wioski i stosownie do swojej pozycyi wybierze sobie żonę, którąby najmniej tak, jak on miała majątek i nie gorszą od niego parentelę. Zkądże wam do głowy przyjść mogło, żeby mój syn wprowadził mi w dom synową, która prawdopodobnie umie mięso wieprzowe w rynce w cebulą udusić i kwiatek czerwony we włosy zatknąć... Ależ moja synowa musi więcej umieć i więcej czémś być w towarzystwie, niż ładna Paulinką majstra Kordysza!... Zresztą mój syn poznał już lekkomyślność swego kroku, za który was bardzo przeprasza. A gdyby zach-



dziły jeszcze jakie trudności, lub panna Paulina rościła sobie jakie pretensye, to ja chętnie to wszystko rozważę, i aby skandalu nie robić...

Nie mógł już dłużej wytrzymać stary Kordysz, który dotąd siedział na krześle, jak piorunem rażony. Zerwał się na równe nogi, i obmacał najpierw wszystkie żebra swoje. Zdawało mu się, że go ktoś rozgniół na miazgę. Odetchnął głęboko, aby wypróbować czy wszystkie żebra są całe. Potém uderzył się w głowę, czy mu się nie śni?

Przekonawszy się tym sposobem, że jest cały i że to rzeczywiście wszystko się dzieje na jawie, zwrócił się do Ignacego, który czerwony, jako piwonია, siedział w fotelu.

— *Mordie!*—krzyknął Kordysz, aż szyby zabrzęczały—i cóż pan na to wszystko?

Ignacy nic nie odpowiedział, tylko oczy w ziemię spuścił, kręcąc szpicrutę na wszystkie strony.

Kordysz patrzył na niego obląkanemi oczyma. Twarz jego ogniem płonęła.

— I cóż pan na to?—powtórzył, i konwulsyjnie podniósł kij sękaty do góry.

Ciocia krzyknęła i dostała spazmów. W téj chwili rozwarły się drzwi na oścież, i na progu pokazał się Berko z dwoma policyantami.

— Bierzcie go, ot tego pijaka!—krzyknął Berko z obronnej pozycyi za drzwiami, i wskazał na Kordysza.

Kordysz już nie więcej przed sobą nie widział. Posiniał cały, oczy na wierzch mu wylazły. Zwrócił się do skamieniałego eskulapa i zaśmiał się śmiechem obląkanego:

— Ha, ha, ha! do kałauzu panie starosto!...

Eskulap skłonił się nisko paniom, i wyszedł za nim do sieni.

Długi czas panowało w pokoju grobowe milczenie. Można było słyszeć trzy serca, bijące w trojgu piersiach gwałtownie...

Matka Ignacego przyszła pierwsza do siebie. Spojrzała na syna w wyrzucie. Spojrzenie to przebudziło Ignacego z odrętwienia, w którym przez całą okropną scenę zostawał. Zerwał się z krzesła, a oczy jego błysnęły dziwnym ogniem.

— Cóż to znówu znaczy!—zawołała matka—dokąd chcesz iść?

— Pójdę, pójdę za nim—odpowiedział w gorące Ignacy,—bo to jest człowiek bardzo godny...

— Czy może chcesz za jednym zachodem przyprowadzić mi i synową?—zapytała matka z wyrazem zjadliwego szyderstwa.

Szyderstwo to uderzyło wprost o duszę Ignacego. Zachwiał się i usiadł jak człowiek, który nagle siłę stracił.

Matka skorzystała z téj chwili. Wstała z kanapy, i z uśmiechem zadowolenia zbliżyła się do syna. Odgarnęła mu włosy i pocałowała go w czoło.

— Już się skończyło, kochany Nanio — rzekła wesoło uśmiechnięta;—piąty akt twojej awanturki studenckiej już odegrany. Sprawileś nam kłopotu i przestachu niemało przez tego opoja, który już gdzieś w areszcie siedzi. Widzisz, co by to było, gdybyś go miał za teścia... Ale dajmy już temu pokój. Komedia skończona... Ale cóż to za oryginał się zrobił z tego Szota! Nie poznał mnie wcale!



— Oryginał, to prawda! — odparła ciocia, którą już spazmy opuściły: — chodzi od lat czterdziestu co rok na górę...

Matka Ignacego zamyśliła się chwilę. Potém nachyliła się do ucha cioci Teresy i zaczęła coś jéj szeptać. Ciocia naprzód nasrożyła brwi, potém się uśmiechnęła, a w kilka minut potém dostała od śmiechu tak okropnych spazmów, że aż Ignacy z zadumy się obudził. Kobiety śmiały się ustawicznie, i szepcząc sobie coś do ucha, chichotały i wpadały w spazmy z radości.

Wśród śmiechu i wesołości kobiet, Ignacy téż przyszedł jakoś więcej do siebie.

## XII.

**N**a drugi dzień bardzo smutno było w izdebce Kordysza. Paulina siedziała pod oknem blada, jak śmierć. Oczy miała opuchłe z płaczu, a złote włosy w nieładzie spadały na jéj białe ramiona. Patrzyła przed siebie okiem obłąkanéj, a prawą rękę trzymała na sercu, jakby tam czuła ból srogi.

Kordysz stał na środku izby, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma. Twarz miał mocno zarumienioną, w oczach gorzał jakiś ogień niemiły.

— Hej hej! mocny Boże! — wołał głosem płaczliwym: — Kordysz w kałauziel... poczciwy Szot musiał aż chodzić po prezesach!...

W téj chwili otworzyły się drzwi, a do izby wszedł Stefanek. Gorączkowy rumieniec pałał na jego twarzy. Oczy błyszczały mu dziwnie.

Pozdrowiwszy Kordysza, zbliżył się do Pauliny i ukląkł przed nią. Paulina machinalnie położyła mu



rękę na głowie, bo zdawało jej się, że to Ignacy. Ale wnet spostrzegła się i krzyknęła.

— Niech mnie panna Paulina pobłogosławi— wyjąkał Stefanek, a Paulina poczuła na swojej ręce lzy gorące.

— Czy pan Stefan gdzie odchodzi?—zapytała zimno.

— Idę... idę daleko może! — odparł Stefanek, a lzy tłumiły jego słowa.

— Czy na długo?—tym samym głosem bez dźwięku zapytała dziewczyna.

— Może... może na zawsze!

Paulina milczała przez chwilę, jakby tego nie rozumiała. Potém ocknęła się, jakby ze snu, wyjęła z włosów błękitny kwiatek i rzekła:

— Weź ten kwiatek, panie Stefanie. On piecze mię w głowę. Zerwałam go wczoraj rano, gdy jeszcze byłam szczęśliwą!...

Stefanek ucałował kwiatek i rękę, która mu go podała, z nadzwyczajnym zapalem, a zerwawszy się z ziemi, stanął przed Kordyszem. Kordysz spojrział na niego, a widząc kwiatek w jego ręce, zwiesił głowę.

Stefanek dał znak Kordyszowi, aby wyszedł do sieni. Paulina nie zważała na to wcale.

Po chwili wrócił Kordysz jeszcze mocniej zarumieniony. Spojrział trwożliwie na córkę, i wsunął się zcicha do drugiej izdebki. Bawił tam czas niejaki, i słychać było, jakby jakieś żelazo czyścił. Potém wyszedł z izdebki, niosąc pod pachą coś zawiniętego.

Oczy jego uśmiechały się radośnie. Paulina nie nie widziała.

Na kurytarzu czekał na niego Stefanek. W milczeniu szli obaj obok siebie ku bramie. Przed „Starym cyrkułem“ stał furgon, na który pakowano kufry Ignacego.

Wyszedszy na rynek, skierowali kroki ku katedrze w kierunku starego zamku. Mijając róg kamienicy, odwrócił się Stefanek i spojrział w okna „Starego cyrkułu“, nad którymi wisiała czarna tablica. Zdawało mu się, że tam zobaczył jasną główkę i białą rączkę ku niemu wyciągniętą.. Przysporzył kroku, i „Stary cyrkuł“ znikł mu z oczu.

Wreszcie zbliżyli się do zamku. Długo szli pomiędzy starymi zwałiskami i okopami. W zagłębieniu dość obszerném ujrzeli mężczyznę, który na nich oczekiwał. Był to Ignacy.

— A umiesz dobrze strzelać?—zapytał Stefanka Kordysz, wydając z chustki ogromne dwa pistolety.

— Z Obrumpalskim strzelałem raz do bramy—odpowiedział Stefanek, rzucając Ignacemu wyzywające spojrzenie.

— Tylko prędko, bo nie mam czasu—odparł pogardliwie Ignacy.

— Do piekła jeszcze dość czasu!—wtrącił Stefanek z szyderezym uśmiechem.

— Na dwoje babka wróżyła—odparł spokojnie Ignacy.

Kordysz stanął między nimi, podniósł ręce i rzekł:

— Hola chłopcy! A wiecie wy, co to jest kula? To nie przelewki! To nie miechy na chórze w Dąbrowie, to nie romanse z ubogą dziewczyną!



Obaj zapaśnicy poczerwienieli.

Kordysz pogłaskał węża i mówił dalej:

— Kula, to rzecz bardzo głupia. Trzy luty ołowiu i nic więcej. A jak się wpakuje w piersi, albo puknie o czaszkę, to już człowiek ani drgnie! Rozumiecie to chłopcy?

— Prędzój, prędzój panie Kordysz! — zawołali obaj na raz.

Kordysz z niedowierzaniem spojrzał na obu, i uśmiechnął się. Podał im pistolety, rozmierzył kroki i komenderował:

— Raz, dwa, trzy!

Dwa strzały padły na raz. Stefankowi zleciała czapka z głowy, Ignacy miał kawałek poły oderwany.

Kordyszowi błysnęły oczy z radości. Przyskoczył do obu i uściskał ich.

— Któżby to myślał! Stali, ani drgnęli!

— Jeszcze raz! — krzyknął Stefanek i odepchnął rękę Ignacego.

Ignacy stanął znowu spokojnie w pozycji.

Kordysz nie posiadał się z radości. Nabił pistolety i podał im znowu.

— Raz, dwa, trzy!

Tym razem kule świsnęły koło uszu zapaśników. Kordysz rzucił się na obu i zaczął ich całować, skakał z radości i wołał:

— Dzielnie, dzielnie!... Nie myślałem, żeby dzisiejszy świat mógł tak zimno na kule patrzeć!...

W tej chwili na wyłomie muru ukazał się faktor Berko. Sapał jak miech, a pot lał mu się strumieniem z czoła.

— Aj waj! — krzyknął, a porwawszy wpół Ignacego, uniósł go gwałtem z miejsca pojedynku.

Kordysz spokojnie na to patrzył i uśmiechał się.

— Powoli Berko, powoli — rzekł do uciekającego Żyda. — Dziś ci grzbietu nie natłukę, bo jestem dobrzej myśli. Stali i ani drgnęli!

Rzekłszy to, ucałował Stefanka i obaj puścili się ku domowi.

W domu zastali Paulinę pochyloną, na sofce, prawie nieżywą. Koło niej stał Szot i trzymał w ręku flaszkę z orzeźwiającym spirytusem.

Z błyszczącym okiem i gorączkowym rumieńcem na twarzy, przybliżył się Kordysz do Pauliny. Trzymał w ręku czapkę Stefanka, kulą przedziurawioną.

— Patrz, Paulinko, patrz! — zawołał nad uchem nieprzytomnej Pauliny, — patrz! ktoby się spodziewał z miechodmucha! Ale i tamten stał, i ani drgnął. Kocham go za to, choć mi Paulinę bałamucił. Ale Stefanek zuch nielada!... Ani drgnęli przed kulą.

Paulinka na to nic nie odpowiedziała, bo prawdopodobnie nawet nie słyszała słów ojca.

Kordysz zwrócił się do eskulapa i rzekł:

— Jak to kobiety wielkich rzeczy nie rozumieją! Mówię ci, stali obaj jak murl!...

Szot zrobił znak ręką, aby milczał, i pochylił się nad Pauliną.

— Aha, rozumiem — rzekł Kordysz — ty kiwasz ręką, że to rzecz nie wielka. Prawda, prawda!



Bądź zdrów Marcinie, muszę go dzisiaj zabić! Inaczej Kordysz i naboju prochu nie wart. Słyszałeś, co dziś ludzie mówili? Kordysz jest niczém dzisiaj, jest ciurą i nic więcej! Hej, mocny Boże! jak to inaczej było pod Somosierrą!... Już czas, czas!

Wszedł do drugiej izby i drzwi za sobą zamknął. Wkrótce potem słychać było machanie pałaszem i jakieś jęki śmiertelne.

Szot zmarszczył czoło i rzekł do Pauliny, która tymczasem przyszła nieco do przytomności:

— Uspokój się dziecię moje, ojciec ma paroksyzm.

Niebezpieczeństwo ojca przywołało ją zupełnie do zmysłów. Spojrzała w koło i rzekła:

— Więc on nie zginął?

— Stefanek?...—odparł Szot—nie; ot stoi przed tobą moje dziecię; tylko czapka jego kulą przeszyta. Podaj mu rękę Paulino!—Ignacy zdrów i już odjechał.

Paulina podała mu rękę machinalnie i wpatrzyła się w niego szklanemi oczyma.

Stefanek ucałował gorąco tę zimną rękę.

— A teraz cyt, moje dzieci!—zawołał eskulap, i na palcach ku drzwiom odszedł—cyt, dzieci!

I przyłożył oko do dziurki od klucza. Po za drzwiami było słychać ciągle pasowanie się i szcęk pałasza.

Szot odszedł ode drzwi i zamyślił się głęboko. Po chwili przemówił:

— Dziś będzie miał paroksyzm najstraszniejszy. Wypadki wczorajsze i dzisiejsze wstrząsnęły mózgiem jego... Plan mój już dojrzał, trzeba użyć kuracyi ostatecznej. Reszta w ręku Boga. Zaraz zajmę się przy-

gotowaniami, a wy dzieci będziecie mi pomocni. W tej chwili nie trzeba mu przerywać, niech się zmęczy!

Rzekłszy to, wysunął się prędko do swego gabinetu, tam na klucz się zamknął. Słychać było tylko jakieś stuki, jakby coś przygotowywał.



tem układał. Ustawiczne to zajęcie, a przytém i czuwanie nad ojcem, który od południa leżał w jakimś dziwném delirium,—wszystko to odrywało Paulinę od wspomnień bolesnych i powoli uspakajało jęj duszę zranioną.

Stefanek biegał ustawicznie to z dołu na piętro, to z piętra na dół, a w twarzy jego malowało się pewne zadowolenie. Jakoś i cała postawa jego była od dzisiejszego rana śmielsza i szlachetniejsza. Zdawało się, że dzisiaj miał o sobie jakieś lepsze wyobrażenie.

Szot uśmiechał się i zacierał ręce. Gotował jakąś niespodziankę dla starego Kordysza, i spodziewał się jak najlepszego powodzenia. Gdy już mrok zapadał, kazał szczerlnie pozasłaniać okna, a sam zajął się ostatecznym przygotowaniem do urzãdzenia jakiegoś niewidzianego dotąd widowiska!..

W drugim pokoju leżał Kordysz na łózk. Twarz miał mocno czerwoną, a w oczach widać było ogień gorączkowy; koło łózka leżała stara szabla. Ściany w około miały znaki od tęg szabli. Na tylnęj ścianie, koło pieca, rozpięty był kawałek płótna, gwoździami do muru przybity. Koło łózka siedziała Paulina i zimną wodą omywała skronie ojca.

Do izdebki wszedł zcicha eskulap i szybko drzwi za sobą zamknął. Zbliżył się do Kordysza i wziął go za rękę. Liczył tętna czas niejaki, a uśmiechnąwszy się do Paulinki, co miało oznaczać, że jest z obiegu krwi zadowolony, ozwał się do chorego:

— I jakże tam sąsiedzie?

### XIII.

Choroba ojca, na jaką w pewnych odstępach czasu zapadał, przytłumiła boleść Pauliny w tęg chwili. Eskulap nie dał jęj nawet wiele czasu do namysłu i dumania. Zatrudniał ją przez dzień cały rozmaitemi robotami, których znaczenie było dla nięj strasznie zagadkowe. Poznosił ze swego gabinetu najrozmaitsze jakieś narzędzia, o których wyobrażenia nie miała biedna dziewczyna. Prócz tego Stefanek robił podług informacyj eskulapa jakieś tajemnicze rzeczy, o których nawet Paulinie nie umiał nic zadawałającego powiedzieć. Paulina tyle tylko wiedziała, że to ma być kuracya ojca.

I tak wśród licznych zajęć, do czego eskulap nawet kilku znajomych użył, zeszedł Paulinie pierwszy dzień po rozłace. Nawet aptekarz miejski kilka razy zaglądał do izby Kordysza i coś pocichu z Sz-



Kordysz spojrział na eskulapa błędnym wzrokiem i rzekł:

— Nie zabiłem go,—i za to skazany jestem na męki piekielne!

— A gdzież wyrok?

— Pod głową leży!—odparł Kordysz, i zrobił poruszenie, jakby go tam pod głową coś piekło.

— A termin kary?—zapytał Szot, uśmiechając się znowu do Pauliny dla nadania jej odwagi.

— Termin kary?... termin... ot zapomniałem!

— Zdaje mi się... tak, napisano w wyroku, że za godzinę!

— Prawda, prawda... za godzinę, przypominam sobie!

— Cóż więc rozkażecie?

— Nasamprzód księdza, bo za życia był Kordysz z Bogiem, a Bóg z Kordyszem!... Trzeba się wyświadczyć, przyjąć św. wiatyk, a potem zamknąć oczy i... dmuchaj Kordysz do piekła!

— A długo wam jeszcze życia pozostaje?

— Jeszcze dobre pół godziny, bo na drogę do piekła także coś czasu potrzeba!

— A więc dobrze kochany sąsiedzie, stanie się podług waszej woli.

Za pięć minut był już ojciec Salezy przy łóżku chorego. Kordysz się wyświadczył, ze skrucą bił się w piersi, a wzięwszy wiatyk do ust, położył się w znak, zamknął oczy i... umarł.

Długo czas leżał Kordysz na łóżku i ani palcem nie ruszył. Leżał wyprostowany jak struna, a ręce miał przy nogach.

Długo tak leżał i jakoś nie się z nim jeszcze nie działo. Aż koło północy usłyszał jakąś precudną muzykę, jakby anieli w niebie grali. Przysłuchiwał się czas niejaki tej cudnej muzyce, a tak mu jakoś słodko było, jakby mu kto na raz odjął wszelkie cierpienia życia, czyli raczej pamięć tych cierpień na ziemi... Tony te były tak słodkie, tak dziwnie leczące, że Kordysz na chwilę zapominał o piekle. I pomyślał sobie:

— Zapewne niosą mnie dyabli do piekła, i na większe moje umartwienie obrali sobie drogę koło nieba! Św. Piotr nie domknął zapewne drzwi do nieba i dla tego słyhać tę muzykę niebiańską!... Coby za szczęście dla mnie było, gdyby to choć przez pomyłkę dostał się Kordysz do tej muzyki!... A jaby tam tam także zaśpiewał mośpanie o Sommosierze,—może oni tam o tym nie wiedzą!...

W tej chwili zabrzmiała smutna melodia, na jaką zazwyczaj śpiewał Kordysz swoje piosenki o Sommosierze. Kordysz poruszył wąsami i pomyślał:



— Grają Sommosierre! Zapewne jakiś pocziwy *tambour-major* obaczył mnie i poznał, i kazał dla mojej pociechy zagrać bandzie o Sommosierze. A święci pytają go: „A na co to?” A on powie: „Ot dyabli tam niosą Kordysza do piekła!...” A może znajduje się jaka dusza miłosierna i Boga ujmie za kolana i rzeknie: „Odpuść mu Pani!...” Ale jaki ja głupi! Wszak o Sommosierze muszą w niebie śpiewać. Sam Bóg zapewne każe przed sobą dwa razy na dzień śpiewać, bo Sommosierre drugiego nie ma na świecie!... A ja myślałem, że w niebie nie umieją grać tej piosenki!...

Wreszcie melodia stawiała się coraz głośniejszą. Tony jej były długie i przeciągłe jak tony harmoniki. To się wznosiły do góry, jak orkan północny, to znów cichy jak poszept trawy podczas nocy miesiecznej.

Dusza Kordysza leciała na tych tonach, jakby na skrzydłach ptasich, gdzieś daleko i wysoko! Na dole leżały góry i rzeki, jak woda rozlana na stole, a tam w górze mrugały gwiazdy i żegnały go ze smutkiem.

Wreszcie usłyszał Kordysz jakiś szmer koło siebie, a tuż nad uchem zawołał ktoś głosem gromu:

— Marcyanie!

Kordysz otworzył oczy i ujrzał przed sobą jednego z archaniołów bożych. Był cały biały, jak mleko, a skrzydła miał długie aż po kostki. Ale za archaniołem ujrzał Kordysz z niemałym przestraszeniem trupa leżącego na katafalku, przed którym paliły się świece.

Kordysz spocił się ze strachu, a słowa zamarły mu na ustach.

— Marcyanie!—zawołał po raz drugi anioł o białych skrzydłach.

Kordysz otworzył znowu oczy i zaczął się w koło rozpatrywać. Izdebki swojej wcale nie poznał. Tymczasem anioł zawołał po raz trzeci:

— Marcyanie!

Teraz trzeba było koniecznie odpowiedzieć, aby się nie narazić aniołowi.

— Jestem Marcyan Kordysz—donośnym głosem odpowiedział.

— My tylko znamy duszę po imieniu, jakie jej na chrzcie dano!—odparł anioł.

— Jaśnie pani!—ozwał się Kordysz — tożby wszystko za nie było, co w życiu dobrego zrobił K o r d y s z?

— Wszystko już zważono!—odparł krótko anioł. Kordysz przymknął oczy i pomyślał sobie:

— Masz babo dyable reduty! Tak prędko wyrok referują, ani do repliki nie przypuszczają. Choćby człowiek rad zaczekać, aby tak prędko do piekła nie maszerować, to nie dadzą, tylko śpieszą się, jakby im kto na karku siedział!... trzeba choć rozmowę przedłużyć, przecież coś się urwie!...

Kordysz otworzył więc znowu oczy i ozwał się:

— Jaśnie pani! Naprzód upraszam, z kim mam honor mówić, bo sług bożych i woźnych jeszcze nie znam!



— Jestem archanioł Gabryel — odpowiedziało widmo.

— Kordysz... czyli Marcyan tylko, uniżone służby swoje oświadczą wielkiemu aniołowi i prosi o łaskawą protekcję!

— Zrobię, co w moich siłach!

— Ja też to nieraz tak myślałem sobie, że i między dostojnikami bożymi znajdzie się przecież choć jedna pocziwa dusza, bo tu na ziemi...

— Używasz języka ziemi, a ja nie rozumiem cię!

— Krzyknął Kordysz — nie byłem w niebie i nie nauczyłem się jeszcze po waszemu, i zdaje mi się, że to nawet nigdy nie nastąpi, bo gdy mnie wtrąca do piekła, to Marcyan będzie tak szwargotał, jak szwargocą dyabli w piekle!...

— Mowa twa razi wysłannika majestatu!

— Więc zamknę mordę i kwita! — odparł rozgniewany nieco Kordysz, i zamknął oczy.

Muzyka niebiańska zabrzmiała teraz jakąś smutną melodią. Zdawało się Kordyszowi, że leci w powietrzu i macha rękoma, jak ptak skrzydłem. Pod sobą widział dziwne rzeczy. „Stary cyrkuł“ zmalował i wyglądał jak kupka śmiecia. Magistrat miejski miał postać psiej budy, a urząd cyrkulowy podobny był do domku z kart, jaki dzieci sobie stawiają. I pomyślał sobie Kordysz:

— Mocny Boże! Jak to człowiek po śmierci wszystko inaczej widzi!

— Marcyaniel! — ozwał się znowu głos anioła.

— Do usług twoich, wielki aniele! — odparł Kordysz.

— Krótco już będziesz popasał tutaj!

Kordysz otworzył oczy i obejrzał się po izbie.

— A któż jest ten nieboszczyk na katafalku tam koło pieca? chciej mi powiedzieć wielki aniele! — zapytał Kordysz, chcąc swój popas przedłużyć.

— To ciało Kordysza leży na katafalku — odparł anioł.

— Już co temu, to nie wierzę, wielki aniele, dwóch Kordyszów nie było na ziemi.

— To twoje ciało — a ty, co ze mną rozmawiasz, — to dusza twoja!

Kordysz zerknął na katafalk i rzekł:

— Otoż macie! — pomyślał sobie Kordysz, i znowu zamknął oczy. — Jak widzę, trudno się wykręcić człowiekowi!

Teraz usłyszał jakby uderzenie gromu. Jasna błyskawica zaświeciła nad jego oczyma. Grom powtórzył się raz, drugi i trzeci. Kordyszowi się zdawało, że go ktoś żelazną ręką za kark chwyta i z sobą porywa!

— Oho, już capstrzyk na mnie! — pomyślał sobie — to sąd zwołują te gromy! Aż mi dreszcz po grzbiecie chodzi, strasznie, daleko strasznie niż pod Somosierrą!

I znowu ozwała się muzyka, a anioł zawołał:

— Marcyanie, Marcyaniel!

Kordysz otworzył oczy, ale cóż to za widok roztoczył się przed nim!

Anioł z długimi skrzydłami stał tuż przy nim, ale nie był to już archanioł Gabryel, ale prawdopodobnie anioł stróż. Trzymał rękę przy czole, jakby



plakał nad Kordyszem. A tam dalej, niby ku drzwiom płoło morze ogniste! A w górze, niby za drzwiami, jaśniały tysiące gwiazd, jakby lampy przy iluminacji, a pomiędzy gwiazdami błyszczała kapiąca od złota szata. Twarzy nie widział, tylko głos dał się słyszeć:

— Marcyanie, Marcyanie!

— Bądź zdrow!—pomyślał sobie Kordysz — już się teraz nie wykręcę! Anioł stróż płacze, musi tam dyabło dużo tych grzeszyszków leżeć na wadze!..

— Któż mnie woła?—zapytał Kordysz — albo-  
wiem nie wiem, jaki pokłon oddać temu, który mnie woła! A jeśli się nie mylę...

— Jestem pełnomocnym wysłannikiem Tego, który sądzi żywych i umarłych!—odpowiedział głos z pomiędzy gwiazd.

Kordysz zasmucił się, otarł łzę z oczu i rzekł do siebie:

— Już to sprawa moja lepiejby wypadła, gdybym wprost stał przed wielkim ołtarzem. A tak musi Kordysz niższym bogom się kłaniać! Ale cóż robić! Snadź taki porządek w niebie. I nawet tak być powinno! Pan Bóg sądzi cesarzów, królów, generałów, a wachmistrza lada który święty przepisał!

— I cóż mam mówić wielki marszałku majestatu bożego? zapytał po chwili Kordysz.

— Masz oto przedemną sam siebie oskarżyć!—  
była odpowiedź z pomiędzy gwiazd.

Kordysz poskrobał się w głowę i rzekł:

— A czyby nie było lepiej wielki marszałku

niebieski, gdyby ktoś inny mnie oskarżał, a ja tylko słuchał i bronił się!

— To być nie może!

— Bo człowiek mógłby coś zapomnieć, a zaraz byłby krzyk, że zataił!

— Wszystkie grzechy twoje leżą ci przed oczyma! Kordysz zamyślił się i rzekł w duchu do siebie:

— Nie wykręci się człowiek! Jeszcze samemu trzeba wszystko gadać! Ani rusz coś utargować! Ale przecież trzeba jakoś kręcić. Szot powiada, że dzisiaj człowiek nawet do piekła bez adwokata się nie dostanie!

A stanąwszy w postawie skruszonego grzesznika, ozwał się w ten sposób:

— Mam sam siebie oskarżać! Alboż ja to wiem, co jest grzechem, a co nie? Wprawdzie różne myśli moje i uczynki stoją mi przed oczyma, jak liczby na szkolnej tablicy, ale nigdzie nie ma znaku, żeby to były grzechy. Ks. Salezy powiada, że rozum człowieka jest ułomny i ograniczony, i że bez łaski bożej nie pozna co złe, a co dobre! Otoż przedewszystkiém upraszam o tę łaskę, a jeśli łaskę mam, to już nie potrzebuję wyliczać grzechów moich, bo łaska to darowanie wszystkiego!

— Grzeszysz Marcyanie przez zbytne zaufanie w miłosierdziu bożem! — ozwał się głos z pomiędzy gwiazd.

— Uchowaj Boże! — odparł Kordysz — nigdy tego nie miałem na myśli, zapewne mnie źle zrozumiano.

— Marcyanie kręcisz jak adwokat, ale to ci nie



nie pomoże! Skrucha jest miła Bogu, a krętaństwem On się brzydzi!

— Jużci ja wiem to lepiej, że krętaństwem „on“ się zawsze brzydził. Pamiętam w Hiszpanii...

— Któż jest ten „on“, o którym mówisz?

— Cesarz Napoleon.

— U nas nie ma cesarzów, ani syndyków, ani żadnych wielkich ludzi. A ja mówiłem o Bogu!

— Toż Napoleon u was szeregowcem!—krzyknął Kordysz z najżywszym oburzeniem.

— Milcz! Tych rzeczy nie rozumiem!—odparł głos z po za złotój szaty.

Kordysz splunął, poskrobał się w głowę i rzekł:

— Alboż ja to zaraz z razu nie powiedziałem, że nie nie rozumiem, że ubogi jestem jak owieczka na duchu? A pocóż mnie musić, żebym gadał grzechy moje, kiedy ja nic nie rozumiem! Wszak tam wszystko zapisane być musi, to odczytać i kwita!... A zresztą gdyby w téj czarnej księdze co dużo było, to trzeba mieć wzgląd na Kordysza! W Piśmie Świętém napisano: Niech pierwszy rzuci kamień na mnie, kto jest bez grzechu!

— W niebie nie ma już żadnych grzechów!

— Więc mniejsza o to! Ale trzeba to uwzględnić, że Kordysz, który dwadzieścia lat służył dobru publicznemu, był w Hiszpanii, na wyspie San Domingo, musiał w końcu życia swego łatać Żydom buty i żyć wśród ludzi nikczemnych, którzy nawet nie umieli uczyć weterana! Więc też zwątpiwszy wśród tych ludzi, kłamałem i lajałem ich, mówiąc, że oni już nic wielkiego nie zrobią, bo

tylko gonią za groszem i śpią pod ciepłą pierzyną!... Czyżby dzisiaj wybrał kto z całego kraju taki pluton, jak ten, który szedł na działa pod Sommosierrą!... Héj mocny Boże! a za to jeszcze Kordysz musi jak ciura stać przed marszałkiem niebieskim!...

— Otoż jest jeden z grzechów twoich! Poniewierałeś społeczeństwo za to, że nie było z tobą pod Sommosierrą! Nie wiedziałeś, że jest czas wojny i czas cichój, ale równie jak wojna doniosłej pracy. Jest praca, która dalej sięga niż bomby i granaty. A grzeszy ten, kto jeden czas z drugim miesza!

Kordysz zamyslił się i zwiesił głowę. Po chwili rzekł:

— Tego wszystkiego nie rozumiem! Jestem żołnierz i basta!

— Toż jako żołnierz powinienes tylko słuchać pobudki, ale nie sam ludzi zawczasie budzić! Zresztą weźmie się to pod rozwagę! A teraz, kiedy nie chcesz nic więcej gadać, to skończymy sprawę ryczałem. Oto patrz przed siebie!

Kordysz spojrzął, i włosy stanęły mu na głowie. Przed nim buchały kłęby białego ognia, jak z siarki. Czuć nawet było mocną woń, tak, że Kordysz, mimo że to wszystko działo się po śmierci, kichnął tak głośno, że aż gwiazdy na niebie się zatrzęsły.

— Cóż to za ogień!—krzyknął przerażony Kordysz, i cofnął się o dwa kroki.

— To ogień, na który skazan jesteś wyrokiem!—zabrmiał głos z pomiędzy gwiazd.

Kordysz poczuł łzy w oczach. Kłęby ognia buchały w górę, aż dusiło! Jakże to w takim ogniu smażyć się!



I zapłakał gorzko Kordysz, a z po za gwiazd ozwał się znowu głos:

— Jedno tylko ratuje każdą duszę przed tym ogniem. Oto jój dobre uczynki! Zbierz więc Marcyanie wszystkie swe dobre uczynki, owiń niemi biodra twoje, aby ci ogień nie dojmował. I spróbój przejść przez ten ogień!

Kordysz z radości podskoczył do góry i zawołał:

— Toż ja nie potrzebuję nic więcej, tylko wdzieję swój mundur z pod Sommosierry, a ogień ten nie mi nie zrobi!

— Zbyt ufasz, a to jest grzechem!

Rozgniewał się Kordysz i ofuknął:

— Mości marszałku korony niebieskiej! Już też ja wiem najlepší, co znaczy mundur z pod Sommosierry! Ręczę, że dziesięć grzeszników wziąłbym z sobą, a wszyscy byliby ocaleni!... A prawdę mówiąc, nie ubliżając w niczém nikomu... ogień pod Sommosierrą, bodaj czy nie był większy od tych płomyków piekielnych!... Gdybym tylko miał ten mundur pod ręką...

To mówiąc spojrział posępnie Kordysz na anioła stróża. A anioł stróż wyjął z pod skrzydła mundur Kordysza.

— Weź mundur i brnij przez ogień. Bóg jest miłosierny!—ozwał się głos z po za gwiazd.

Kordysz ukorzył się, ale w duchu był pewien, że w mundurze swoim przez ogień przejdzie. A gdy już mundur miał na sobie, stanął w pozycji wojskowej, jakby do defilady i rzekł:

— Wielki marszałku niebieski! jeszcze o jedną łaskę proszę. Może mundur jest gdzie roz-

darty, a przez dziurę mógłby się ogień zakraść. Pozwól mi więc, abym idąc przez ogień, zanócił sobie jedną z naszych piosenek, któreśmy śpiewywali, idąc na armaty, na przykład ten marsz...

— Bóg jest miłosierny... pozwalam ci!—była odpowiedź.

Kordysz nabrał tchu w piersi, aby mu na dłuższy czas wystarczyło, a puszczając się w płomienie, zaśpiewał z całych płuc ulubioną melodyą dawnych towarzyszy.

I o dziwo! Przeszedł przez płomienie zdrów i cały!...

Wtém rozwarła się zasłona, a szkarłatny płomień buchnął mu w oczy całym kłębem!

— A to co znowu?—krzyknął przerażony Kordysz.—Marszałku niebieski, ratuj Kordysza!

Długo nie było słyhać głosu z po za gwiazd, a Kordysz drżał tymczasem ze strachu jak liść osiki. Wreszcie głos ozwał się:

— To drugi gatunek ognia, Marcyanie!

— Przejdę i ten w mundurze!

— Nigdy! Mundur twój, to za mało na ten ogień. Spali się jak pajęczyna!

— Jakto za mało? Mundur z pod Sommosierry? Czy kto słyszał coś podobnego?

— Mundur twój, to spełniony obowiązek, a na ten ogień potrzeba innéj rzeczy! Potrzeba uczynku, który spełniłeś, a który był nad twój obowiązek!

Kordysz zasmucił się i zaczął w całym życiu swoim szukać takiego uczynku. Ale wszystko, co tylko kiedy zrobił, wydawało mu się obowiązkiem. Zafrasował się więc niemało i rzekł z płaczem:



— Nic nie mam, cobym wdział na siebie, aby przebyć ten ogień. Już widzę, że trzeba w tym ogniu zostać i piec się aż do sądnego dnia! Przeczuwałem, że tak mnie osądzą! Ha! cóż robić?

I już się zamachnął biedny Kordysz, aby w płomień się rzucić, gdy nagle zawadził o coś na ziemi.

Była to para butów z czarnej cielęcej skóry.

A z po za gwiazd ozwał się głos:

— Czy nie znasz Marcyanie tych butów?

— Nie znam! Ale niech się bliżej przypatrzę... tu jakaś kartka przyszyta do ucha...

— Czytaj!

— „Robił Marcyan!”

— Czy nie przypominasz sobie przed laty dzieściu biednego sieroty, który stał w śniegu bosemi nogami...

Na to krzyknął Kordysz:

— Przypominam sobie! Wziąłem go do domu i zrobiłem mu parę butów!

— Otoż te buty kazał Bóg w niebie zachować, i teraz anioł stróż przyniósł ci je, abyś w nich przebrnął przez ten ogień piekielny!...

— Więc te buty wytrzymają taki ogień czerwony?

— Jest to dobry uczynek, który spełniłeś nad twój obowiązek! A owinąwszy nogi twoje w ten uczynek, przejdiesz przez ogień.

Kordysz rozplakał się z radości i ucałował buty, które lat dziesięć stały w niebie u Pana Boga! A wzuwszy je na nogi, przeszedł przez ogień, jakby przez wierzbę spróchniałą, która w nocy się świeci.

A gdy już był przed ową szatą złotą, z po za której głos wychodził, usłyszał nagle:

— Teraz stań Marcyanie, i odpowiedz mi jeszcze na jedno. Kogo to chciałeś zabić, machając szablą w powietrzu?

— Nie wiem, czy to do rzeczy należy—odparł Kordysz już w dobrym humorze,—ale jeśli wola, to na to odpowiem. Oto Francuz jeden, dobry mój przyjaciel, umierając w Hiszpanii, przywołał mię do swego łóżka i rzekł: „Gdyśmy się bili z Prusakami, otoczyliśmy pułk huzarów, który na czapkach miał trupie główki. Powinniśmy byli co do nogi ich wybić. Ale ja przez miłosierdzie puściłem jednego żywcem. Otoż moje nieszczęście. Stoi mi ciągle przed oczyma i wyzywa mnie. A więc Kordyszu, daj mi słowo, że go wynajdziesz i zabijesz jako nieprzyjaciela!” Tak mi mówił ów Francuz, a ja podałem mu rękę. Szukałem więc w różnych bitwach tego nieprzyjaciela i nie mogłem go zabić. Później zaczął mi tak samo, jak Francuzowi, stawać przed oczyma i wyzywać. Nie mogę znieść téj trupiěj główki! A przecież nie mogłem go zabić! Jak na złość razu jednego odbił się na murze przy piecu i ztamtąd zawsze sztydzi ze mnie!

Na to ozwał się głos z po za gwiazd:

— Pocciwy jesteś Marcyanie, ale nie wiesz, jaką bronią kazał ci walczyć z nieprzyjacielem ów Francuz umierający. Szablą mu nie nie zrobisz. Będzie on ciągle stał ci przed oczyma i sztydził z ciebie!

— A jakąż bronią miałem z nim walczyć?

— Pracą, i to pracą ciągłą a usilną! Powinieneś być, wróciwszy z pod Lipska, zasiąść przy warsztacie i pracować. Praca wzmacnia człowieka.



Z wielkiej błyskawicy, która od zachodu na wschód przeleciała, spadłeś na ziemię jak węgiel spalony, a światło, które z ciebie wychodziło, zagasło! Więc nie leżać ci było beczynnienie i myśleć o tém, czém się było! Ale tam, gdzie spadłeś, było pracować!... A wśród twój pracy, ty byłbyś dotąd zdrow i żył pocziwie na ziemi, ażby nadszedł czas zmiłowania bożego!

— Czemuż mi o tém pierwój nikt nie powiedział — krzyknął Kordysz?

— Bóg jest miłosierny! Proś, a może cię jeszcze powróci do życia!

— Proszę całą duszą! — zawołał Kordysz — bo tam na ziemi zostali jeszcze: Paulina i Szot, bardzo pocziwy człowiek!

— I sierota Stefanek, którego Opatrzność po raz drugi w dom twój sprowadziła dla twego dobra!

— Jakżebym chciał prędko powrócić na ziemię i wszystkich uściskać!

— Więc żyj! — ozwał się głos z po za gwiazd.

W téj chwili zaczęły bić gromy, stojąca w kącie śmierć koścista upadła z łoskotem, a gęste chmury otoczyły zewsząd Kordysza. Zabrakło mu w pierśsiach oddechu, zachwiał się i upadł.

A gdy oczy otworzył, było już rano. Słońce wrześnie świeciło do izby, a kos trzepotał się i krzyczał z radości. W izdebce wszystko było po dawnemu.

Kordysz przetarł oczy i spojrzał w koło siebie. Przy łóżku siedziała Paulina, Szot i Stefanek. Ucałował wszystkich po kolei i rzekł:

— Dziękujecie Bogu, że do was jeszcze wróciłem. Potém opowiem wam dziwne rzeczy. A teraz choć jeszcze raz do mnie Stefanie, niech cię uściskam. To-

bie wiele winienem, ale później o tém. Jestem zdrow jak ryba. Jutro kupię nowe kopyta i zapas skóry — będę znów robił nowe buty!

Szot mrugał na Stefanka i uśmiechał się, ale Stefanek nie widział tego. Wlepił oczy w bladą twarz Pauliny.



— Nie uwierzysz—rzekł przytém do niego—jak to kobiety na wszystkie drobnostki uważają!

— Czy pójdziemy do Kordysza?—zapytał Stefanek.

— Alboż to nie wiesz, że dzisiaj jest 15-ty września?—odparł z oburzeniem eskulap.

Stefanek przypomniał sobie, że w tym dniu zwykł Szot chodzić na ową górę nad Sanem, gdzie miał się zejść z narzeczoną.—Jakoś smutno zrobiło mu się na sercu. Nie rozumiał on wcale tych rzeczy, ale o rozumie i nauce starego eskulapa wielkie miał wyobrażenie, a to przecież nie kwadrowało jakoś z tą nauką i rozumem.

Szot tymczasem ubrał się we frak i buty, i poszedł odwiedzić Kordysza. A gdy za pół godziny wszedł znowu do gabinetu, była wesołość na jego twarzy.

— Poczciwy Kordysz zdrów jak bursztyn—rzekł do Stefanka;—kuracya udała się wybornie. Już siedzi przy warsztacie i śpiewa godzinki. Kończy właśnie łatanie butów, a potem wychodzi do miasta po skórę i kopyta. Trupia głowa, która za piecem wybiła się z pod wapna, jako dawne klasztorne malowidło, dobrze jest zabiłona. Powiada mi, że nieprzyjaciel zły na niego, iż wziął się do pracy, ale za to ucieka przed nim. Słowem, Kordysz odrodził się, i jest czerstwy na umyśle i ciele... Ale już czas, obym się znowu nie spóźnił! Zbierz się Stefanku, pójdiesz ze mną. Dzisiaj mam jakieś lepsze przeczucie. Zdaje mi się, że dzisiaj ją zobaczę. Jest to właśnie rok czterdziesty!

#### XIV.

Nazajutrz było właśnie 15-go września.

O świcie wstał Szot i zbudził Stefanka.

— Wstań bratku—rzekł do niego głosem serdecznym—i weź na siebie co masz najlepszego.

Stefanek ubrał się w granatową czamarkę, którą tylko zwykł był trzy razy do roku brać na siebie. Różnie myślał sobie o tym dziwnym rozkazie eskulapa, a będąc już zupełnie gotów, wszedł do gabinetu, gdzie Szot zawsze się ubiera. Ale jak wielkie było jego zdziwienie! Stary eskulap siedział już może od kilku godzin przed zwierciadłem. Tak bowiem wnosił Stefanek z peruki starannie ufryzowanej. Frak nowy, ceglastego koloru, z guzikami metalowymi, dużemi jak talerze, leżał na krześle, a świecące buty z złotemi sztylpami stały tuż koło niego. Wszystko świeciło się i błyszczało, jakby dopiero z wystawy rzemieślnika wyjęte. Do tego jeszcze dał Szot Stefankowi małe dłótko do ręki i kazał mu starannie oczyścić ozdoby na srebrném okuciu trzciny.



Stefanka ogarnęło jakieś smutne przeczucie. Radość i wesołość starego eskulapa razily go. Nie mógł na żaden sposób tego pojąć, jakim sposobem można przez lat czterdzieści kochać i być kochanym, i zawsze spóźniać się!

Szot wyjął mały medalionik z Matką Bożką Częstochowską i ucałował go.

— Patrzi! To upominek od Julii. Dała mi go, gdyśmy się po raz ostatni na owęj górze widzieli. Była to najdroższa jęj pamiątka po babce, która ją dostała z Rzymu. A ja w zamian za to, dałem jęj mały złoty krzyżyk, który miałem po dziadku. Krzyżyk ten był pod Wiedniem z królem Janem.

— Mówią, że krzyżyk dany na pamiątkę jest złą wróżbą—rzekł Stefanek, który nie mógł w sobie stłumić złego przeczucia.

— Prawda, gmin tak mówi—odparł Szot z uśmiechem politowania,—ale każda pamiątka sama przez się jest rzeczą małą, dopiero w sercu kochającém nabiera znaczenia! Ręczę ci, że Julia ten krzyżyk ustawicznie nosi na piersi, i przynajmniej przy modlitwie całuje go. A teraz bierz czapkę i chodźmy, bo inaczej znowu się spóźnię!

Stefanek wziął czapkę, i obaj wyszli z bramy „Starego cyrkułu.“

Był to jeden z najpiękniejszych dni jesiennęj pogody w ziemi naszęj. Słońce świeciło jasno, a pro-

mienie jego były tak ciepłe jak w lecie. Na całém niebie nie było ani jednęj chmurki. Ptaszęta śpiewały wesoło, jakby w lipcu, a nowa generacya motyli uganiała po nad rozkwitłemi kielichami kwiatów. W powietrzu czuleś woń, zaprawioną smakiem dojrzalych owoców.

I tak wesoło, tak lubo było na całym świecie, jakby nie było ani łez, ani boleści, ani serc cierpiących i rozdartych!...

Szot i Stefanek szli długi czas w milczeniu obok siebie. Szot uśmiechał się do marzeń swoich, a Stefanek był smutny i czegoś bardzo ciężko mu było na sercu.

Przeszli ruiny zamku i spuścili się w dolinę Sannu. Długi czas szli brzegiem wody, aż do wzgórza lasem okrytego. Minęli to wzgórze—jedno i drugie—wreszcie po kilkugodzinnej podróży dostali się na górę, której szczyt panował nad całą doliną Sannu.

Cóż za precudny widok roztoczył się przed ich oczyma! Ku prawęj stronie widać było w dali za siną mgłą niknące białe domki miasta, na lewo piętrzyły się coraz wyżej lasem porośłe wzgórza, a pod niemi wily się sine wody Sannu, jak wstęga oblubienicy.

Na samym szczycie góry leżało kilka dużych kamieni. Szot usiadł na jednym, a twarz jego przybrała wyraz smutku.

— Znowu spóźniłem się!—rzekł do Stefanki.

— Może przyszedłszy zawcześniej!—odparł smutno Stefanek.

— Zawcześniej?—powtórzył Szot, oglądając się na około po ziemi.—Zawcześniej, mówisz?... Widać, żeś nigdy jeszcze nie kochał! Serce kochające przeczuje,



a nawet zobaczy ślad jój!... Patrz, po tych trawkach przeszła, a te dwa kwiatki, zgniecione jój nóżką, jeszcze nie przyszły do siebie! Biedne kwiatki!... O! wyście szczęśliwsze ode mnie!... Patrz, ta ciemna smuga na zroszonej trawie, to jój stopy... a tu koło kamienia, dwa listki z błękitnego kwiatka urwane!... Zapewne pytała kwiatka, czy ją kocham jeszcze?—a kwiatek niezawodnie odpowiedział, że kocham!... Nie, inaczey kwiatek powiedział: skłamał, bo listki są pomięte i zgniecione... w gniewie pogniotła je i rzuciła!...

Stefanek smutno patrzył na dobroczyncę, który w téj chwili zbierał i chował resztki kwiecia.

— Widzisz bratku—mówił dalej Szot,—te listki i ten kwiatek zgnieciony muszą mi na cały rok wystarczyć!

— Niech pan tak nie mówi, bo mi się na płacz zbiera!—ozwał się Stefanek i sięgnął ręką do oczu.

— A tak, tak! odparł Szot,—gdy byłem młody jak ty, również tak myślałem. Ale z czasem i ty oswoisz się z zawodami życia. Przyjdzie czas, w którym będziesz tylko pragnął jednego listka, a dzisiaj całego ogrodu za mało dla ciebie. I ten listek nazwiesz jeszcze szczęściem, bo są ludzie, którzy nawet jednego listka na pociechę żywota swego nie mają!...

Stefankowi puściły się łzy z oczu.

— Lepiej płacz teraz, bratku — mówił dalej Szot,—niżelibyś miał potem płakać. Wielka bowiem różnica między marzeniem a życiem. Marzenie jest to źródło przezroczyści. Widzisz całe dno, a to, co na dnie, wygląda wszystko tak pięknie! Najmniejszy kamyczek ma barwę prześliczną, i zdaje ci się, że mógłby leżeć jako cacko na twoim stoliku. A życie to morze

bez dna. Chcesz być szczęśliwym, nie sięgaj nigdy na dno, bo tam są węże i potwory, których nie znasz! Szczęśliwy, kto po wierzchu się prześlizgnie! W mojej duszy pogoda. Tych kilka listków uspokoiło moje serce wezbrane — ucz się w życiu poprzestawać na małym, a przede wszystkim strzeż się, abyś wiary w ludzi nie stracił! Gdybyś nawet miał jakie podejrzenia, że cię oszukano i zdradzono, a podejrzeń tych nie miał czasu sprawdzić, to wierz lepiej, że cię nie oszukano i nie zdradzono! Człowiek bez wiary w serce ludzkie jest umarłym. Jest to drzewo uschłe, po którym nie spodziewaj się już owoców!...

Stefanek obejrzał się nagle, bo tuż za krzakami słychać było jakby śmiech przytłumiony.

W téj chwili zaszeleściały krzaki i dwie kobiety stanęły przed nimi.

Były to nasze znajome: jedna z nich ciocia Teresa, a druga matka Ignacego.

Ciocia Teresa miała ręce na piersi w krzyż złożone i wyglądała nadzwyczaj nabożnie. Matka Ignacego była zarumieniona, jakby śmiech w sobie gwałtem stłumić pragnęła.

Stefanek przestraszył się takiej niespodzianki. Zrazu zdawało mu się, że narzeczona Szota rzeczywiście po latach czterdziestu dotrzymała mu słowa. Ale zobaczywszy obie, usłyszał głos w sercu, że żadna z tych kobiet nie mogła być ową ubóztwianą od tylu lat Julią. I tak też zapewne było w istocie, bo Szot również wlepił w niej oczy, jakby je dopiero pierwszy raz w życiu widział. Po chwili jednak przypomniał sobie, że obie te kobiety są mu już znane.



— Pan Szot — ozwała się matka Ignacego — przypomni zapewne sobie...

— A tak, tak! przypominam sobie — odparł obojętnie Szot, zdejmując kapelusz: — w hotelu pod Opatrnością...

Matka Ignacego zwróciła się do towarzyszki i z uśmiechem żartobliwym szepnęła jej do ucha:

— Widzisz! Oryginał ten i tu nie poznaje mnie! A przed chwilą tak poetycznie o mnie rozprawiał!...

Ciocia Teresa spuściła w ziemię oczy i westchnęła nabożnie.

— Jakto? — ozwała się znowu Julia — to pan Szot prócz hotelu nigdzie indziej mnie nie widział?

— Może być, że jako pacjentkę — odparł spokojnie eskulap, niekontent z całej niespodzianki.

Obie kobiety spojrzały po sobie i rozśmiały się. Szot zmarszczył czoło. Był to zazwyczaj tak poważny moment w jego życiu, że nie rad słuchał śmiechów i żartów.

— Pan raz w życiu kochałeś! — rzekła ciocia Teresa i skrzyżowała ręce na piersi.

Szot spojrzał ostro w oczy mówiącej, a potem odpowiedział:

— Każdy człowiek musi przez całe życie coś kochać.

— A Julii nie kochaliśmy kiedy? — wtrąciła matka Ignacego z uśmiechem.

— Julii! — krzyknął Szot, a ręce jego wykręciły się nagle, jakby paraliżem tknięte, — Julii, mówisz pa-

ni! Może masz do mnie jaką wiadomość od niej!... Na miłość Boga!...

Matka Ignacego otworzyła mały koszyczek, który miała na rękę, i wyjęła z niego złoty krzyżyk.

Szot pochwycił konwulsyjnie za krzyżyk i krzyknął z całego gardła:

— Julia... moja Julia umarła!

Krzyk, który się z piersi biednego Szota wydarł, był tak okropny, tak rozdzierający... tyle boleści i rozpacz w nim się mieściło, że na ustach kobiet zastęgl nagle uśmiech żartobliwy, a twarze ich posmutniały.

Kilka chwil matka Ignacego patrzyła przestraszona i smutna w twarz Szota, a potem rzekła prędko:

— Tak jest, Julia pańska umarła!

Rzekłszy to, obróciła się szybko i pociągnęła za sobą towarzyszkę ku ścieżce, gdzie zdala czekał na nie służący.

Szot stał długo, jak posąg kamienny. Łzy padały mu z oczu, a usta miał na pół otwarte, jakby w duchu się modlił.

Potem ocknął się i zbliżył do krzaka. Odłamał dwie gałązki, związał je łykiem w kształt krzyża i zatknął w ziemię tuż przy kamieniu.

Uklęknął pod tym krzyżem i długo, długo się modlił!...

Nareszcie powstał, a twarz jego jaśniała tak pięknym wyrazem, jakby dopiero przed chwilą, w niebie z Bogiem rozmawiał i tam przed Nim widział ukochaną Julią!... Wziął pod ramię Stefana i obaj zwrócili się ku miastu. Schodząc z góry, czuł Stefan, że coraz więcej opiera się biedny Szot na jego ramieniu.



Przyszedszy do „Sarego cyrkułu“, zamknął się Szot w swoim gabinecie, i przez cały dzień nikt go nie widział.

Nazajutrz rano ubrał się, jak wczoraj i wyszedł do miasta. Za kilka godzin wrócił i wziął z sobą Kordysza, Paulinę i Stefana.

Weszli do kościoła OO. Franciszkanów.

Okna kościoła były przysłonięte czarnym kirem, a na środku stał olbrzymi katafalk z trumną. Kilku księży odprawiało mszy święte.

Wszyscy czworo ukłękli przed katafalkiem i gorąco się modlili.

A gdy w końcu Ojciec Salezy zaintonował „*requiem*“, a potem za duszę Julii prosił o pozdrowienie Anielskie, Szot padł krzyżem na posadzkę i płakał, jak dziecko...

Po egzekwiach wrócili wszyscy do „Starego cyrkułu“, gdzie Szot zaprosił ich do swego gabinetu. Po chwili Janek przyniósł butelkę starego wina i postawił na stole.

— Kordyszu — rzekł Szot, nalawszy w lampki wina—największe nieszczęścia, jakie Bóg na nas zsyła, nie powinny nas zabijać i czynić niedołężnymi w pełnieniu obowiązków. Pokrzepmy najprzód siły, a potem ułożmy program dalszego żywota, jak nam jeszcze pozostaje! Człowiek nie powinien żadnego

dnia stracić bez celu. Kiedy piorun w drzewo uderzy, to na odłamaną gałąź kwiat jeszcze dokwita, póki cała gałąź nie uschnie!...

Kordysz wychylił lampkę i spojrzał ze smutkiem w twarz starego Szota, na której obok głębokiej boleści malowała się męzka rezygnacja...

Po chwili Szot wyjął ze stolika jakiś papier, a rozwiniawszy go, rzekł:

— Mam kilka groszy oszczędzonych. Dotychczas stosunek mój do Julii nie pozwalał mi stanowczo niemi rozporządzić. Dziś, gdy ona umarła... mogę coś pewnego postanowić.

A zwróciwszy się do Pauliny i Stefana, rzekł do nich:

— Idźcie moje dzieci do drugiego pokoju i zagrajcie sobie cokolwiek na cztery ręce. Zagrajcie „Melodyą aniołów“—moja Julia zapewne ję w tej chwili w niebie słucha! My tymczasem mamy między sobą coś do pomówienia.

Błada twarz Pauliny ożywiła się na wspomnienie muzyki. W oczach Stefana zabłysło dziwne światło. Oboje wyszli do drugiego pokoju, a Szot starannie za nimi drzwi zamknął.

Wróciwszy do Kordysza, rzekł:

— Oto jest mój testament. Pieniądze te przeznaczam w połowie dla Pauliny, w drugiej połowie dla Stefana...

Kordyszowi stanęły łzy w oczach. Wyciągnął szorstką rękę i ścisnął serdecznie dłoń lekarza.

— Jedno tylko życzenie, nie warunek, przyłączam do tego testamentu — mówił Szot dalej.



— Jakie życzenie?—zapytał Kordysz.

— Aby te obie połowy zapisu do jednej skrzynki przeszły!

— A to jakim sposobem?—wtrącił zdziwiony Kordysz.

Szot uśmiechnął się boleśnie, i rzekł:

— Pocziwy Kordyszu! Jesteś żołnierzem, a nie nie rozumiesz! Czy nie widzisz, że Stefanek po uszy zakochany w Paulinie?...

Kordysz wytrzaszczył oczy. Po chwili rzekł:

— A Paulina?...

— Paulina—odparł z uśmiechem Szot — będzie niezadługo w nim zakochana po sam czubek głowy!

Kordysz ruszał głową to w tę, to w ową stronę.

— Czy myślisz Kordyszu, że on dla zabawki kazał sobie czapkę na głowie przestrzelić, i sądzisz, że Paulinka téj saméj nocy nie śniła o téj czapce przestrelonej?...

— Sąsiedzie!—zawołał Kordysz, ściskając Szota —ja to już ukradkiem tak sobie myślałem, bo prawdę mówiąc, chłopiec mi się podobał

I uścisnęli się obaj, i otarli łzy z oczu.

— Ale jeszcze jeden i to bardzo ważny warunek!—ozwał się Szot.—Młodzi ludzie idą zazwyczaj za tém, co się błyszczy, zostawiając to, co rzeczywistą korzyść przynosi. Paulina i Stefanek mają wielką skłonność ku temu. Otoż mój warunek zabrania im drogi, na której tyłu wpadło w manowce!

— Jakiż to warunek?

— Oto Stefanek ma zamiar zostać organistą. Lubi muzykę i ma niejaki talent. Obawiam się je-

dnak, aby mając po temu środki, nie zapragnął wawrzynów artysty. Ta mania artystowstwa jest jedném z nieszczęść naszych. Nie mówię ja o talentach pierwszego rzędu, bo te podlegają własnym prawom i nikt ich w polocie nie wstrzyma. Ale są talenta mierne, podrzędne, które na skromném stanowisku mogłyby być nieocenionym nabytkiem. Tym czasem zrywają się one do wyższego lotu, pracują na polu niewdzięczném, a chociaż drukują afisze lokciowe, zapraszając na swoje koncerty, nie są w rzeczywistości niczém inném, tylko — żebrakami! Widziałem ja tych naszych żebraków za granicą, i smutno mi było, że ich nie widział w jakim kościółku naszym na chórze przy organach!...

— Więc sądzisz panie Marcinie?...

— Sądzę, że byłoby najlepiej, aby Stefanek pozostał przy obranym przez siebie zawodzie. Niech dwa lata zostanie w instytucie, a potem prawdopodobnie organistą w Dąbrowie. Paulina znajdzie także dla siebie tam pole, a ja, jeśli Bóg życia pozwoli, osiadę także razem z wami i będę leczył w ubogich chatach ciało i duszę, czego najbardziej nam dzisiaj potrzeba.

— A ja—zawołał rozradowany Kordysz—sprawię sobie nowy warsztat, i dla całej wsi będę szył buty, żeby nie potrzebowali ludziska chodzić po jarmarkach.

Szot podał rękę Kordyszowi i zaprowadził go przed szafę z czaszkami.

— Patrz Kordyszu—rzekł do niego — ta prózna miseczka była przeznaczona dla ciebie, ale wykrećcieś się od niej!



— A ja myślałem — odparł Kordysz dobrodusznie — że to dla was, panie Marcinie; ale Bóg uchronił was, bo Julia umarła.

Szot zamyślił się chwilę, a potem rzekł:

— Aby dobrze i z pożytkiem żyć na świecie, trzeba je kochać. Wiara w ludzi może cuda zdziałać. Odbierz mi tę wiarę, a będę kaleką... Julia moja umarła, zostało mi jednak przekonanie, że mnie kochała do śmierci. Gdybym jednak zamiast wiadomości o jej śmierci, dowiedział się, że mnie nigdy nie kochała, wtedy miałbyś słuszość, że na tej próżnej miseczce byłoby miejsce dla mnie...

W tej chwili usłyszał Szot z drugiego pokoju kilka tonów fałszywych. Uśmiechnął się do Kordysza i z cicha podszedł ku drzwiom. Potem skinął na Kordysza, aby do niego się zbliżył.

Obaj stali podedrzwiami, a na twarzach ich malowało się zadowolenie. Kordysz pokręcał wąsy i ciągnął je aż po za uszy. Szot bawił się ogromnemi guzikami fraka.

Spojrzeni po sobie i zrozumieli się wzajem. Szot odszedł na środek izby i rzekł do Kordysza:

— Nie niema zgubniejszego nad serca rozdarte. Zamiast miłości wydają truciznę ironji. Serce Paulinki zabił się, bo to nie była miłość poczęta w duszy. Stefanek kocha ją całym sercem!

— A my? — zapytał ze łzami w oczach Kordysz.

— My będziemy razem z nimi... na organistówce w Dąbrowie! — odparł Szot i otarł łzę z oczu.

— A nasze kochanie? — wtrącił na pół żartem Kordysz.

— Będziemy kochali wszystkich, którzy nas tam otaczać będą, i żyć będziemy tak, aby oni wzajemnie nas kochali! — odpowiedział Szot i podał Kordyszowi drugą lampkę.

\* \* \*

Na tém kończę tym razem powieść moję. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że rzeczy tak dalej pójdą, jak stary Szot przepowiedział. Serce Paulinki niezawodnie zabił się i pokocha z całą właściwą jej namiętnością pocziwego Stefanka. Owe fałszywe tony w „Harmonii aniołów“ są niejako wskazówką tego twierdzenia. Stefanek także prawdopodobnie zajmie miejsce po Obrumpalskim na chórze w kościółku dąbrowskim, a Kordysz i Szot wejdą z miłością i pracą pomiędzy lud wiejski, który tego tak potrzebuje! Ignacy prawdopodobnie wyjedzie do Lwowa, i tam parę lat będzie używał świata, to jest, grał w karty, a potem nadszarpany mająteczek wyratuje bogatém ożenieniem się, jak to matka jego przepowiadała. Gdybym jednak dowiedział się, że się wcale inaczej stało, że jaki zły duch szepnął Szotowi coś o jego Julii do ucha, a ten w konsekwencyi swego uczucia rzeczywiście ulokował się na próżnej miseczce w czarnej szafie i tym sposobem cały ten program wywrócił: wtedy napisałbym drugi tom téj powieści, w którym może wykazałoby się jeszcze, że serce Paulinki wcale zabił się nie chciało, przez co byłby Stefanek zmuszony szukać pociechy w szerokim świecie i z rozdarte-



tém sercem skarżyć się na społeczeństwo i gazety,  
które gry i kompozycyję jego pojąć nie umieją!...

Ale wierzę, że do tego wszystkiego nie przyszło,  
i że program Szota spełnił się co do joty.

K O N I E C.



92487